Strefa Mroku

Jedenastu Apostołów Grozy

Andrzej Sapkowski
Jacek Dukaj • Andrzej Pilipiuk • Jacek Piekara
Andrzej Ziemiański • Rafał Ziemkiewicz i inni...

Książka stanowi integralną część pisma CLICK! FANTASY i nie może być sprzedawana oddzielnie

Strefa Mroku

Jedenastu Apostołów Grozy

Andrzej Sapkowski

Jacek Dukaj • Grażyna Lasoń-Kochańska
Damian Kucharski • Tomasz Pacyński
Jacek Piekara • Andrzej Pilipiuk
Jerzy Rzymowski • Michał Studniarek
Andrzej Ziemiański • Rafał Ziemkiewicz



Wydawnictwo Bauer
Warszawa 2002

nr indeksu 358932

Autorzy tekstów:
Andrzej Sapkowski, Jacek Dukaj, Grażyna Lasoń-Kochańska,
Damian Kucharski, Tomasz Pacyński, Jacek Piekara, Andrzej Pilipiuk,
Jerzy Rzymowski, Michał Studniarek, Andrzej Ziemiański, Rafał Ziemkiewicz

Redakcja:
Jacek Piekara

Edycja i korekta:
Agnieszka Trzebska, Piotr Moskal

Ilustracje i grafika na okładce:
Magdalena Miszczak

Układ graficzny książki:
Jacek Goliatowski

Skład i łamanie:
Jacek Goliatowski, Marek Janowski

Redakcja FANTASY-CLICK!
Wydawnictwo Bauer Sp. z o.o. Sp. K.
ul. Motorowa 1, 04-035 Warszawa
tel. (22) 517-01-93, fax (22) 517-04-68
e-mail: click@click.pl
http://fantasy.gry-online.pl/click

Druk i oprawa:
Drukarnia 101 DRUK – Łódź

Nakład: 80 000 egz.

Wstęp

Moi drodzy, mam ogromną przyjemność oddać w Wasze ręce specjalny dodatek do magazynu Fantasy. Oto udało nam się, ni mniej, ni więcej, tylko namówić czołówkę polskich pisarzy (plus kilku debiutantów lub prawie debiutantów) do napisania opowiadań traktujących o mrocznych stronach ludzkiej duszy. W końcu mamy Święta Bożego Narodzenia, a więc okres radości i wesela. Zapomnijcie o tym! W świecie zbudowanym przez naszych Jedenastu Apostołów Grozy (dlaczego jedenastu? – spytacie. Ano dlatego, że nie przypuszczacie chyba, bym z kogokolwiek z tych zacnych ludzi chciał zrobić Judasza!?) poznacie, co to jest strach, nienawiść, żądza zniszczenia i czyste, niczym nieskalane okrucieństwo. W tym uniwersum nie ma miejsca dla dzieciaków, nieważne, czy urodziły się w stajence, czy w pałacu.

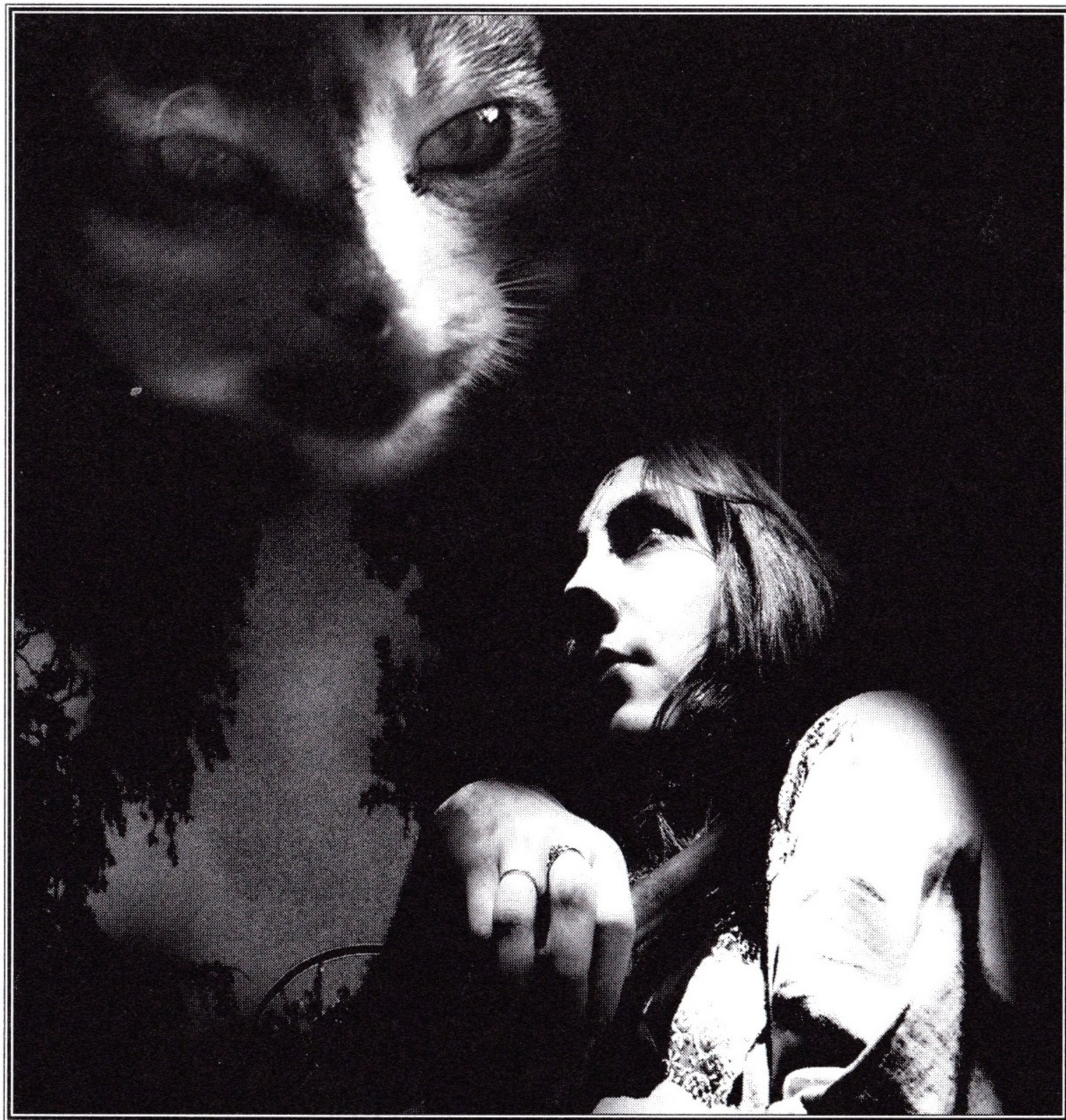
A jednak nasi Apostołowie widzą pewną nadzieję. Światełko w tunelu pobłyskuje może niezbyt mocno, niemniej pozwala wierzyć, że uporamy się kiedyś ze Złem. Jaką postać przyjmuje to Zło w naszej Strefie Mroku? Diabła z rogami? Wampira? Potwora Frankensteina? O, nie! W dzisiejszych czasach są to sadystyczny mąż, nieznajomy fotograf przybywający do sennego miasteczka, akwizytor, psycholog, spiskowcy walczący o słuszną sprawę, przystojny ekonomista, a nawet najbardziej chyba przerażający, bo bezosobowy, zwykły zbieg okoliczności.

Serdecznie Was zapraszam do Strefy Mroku. Nie wiem, czy po lekturze znajdujących się tu opowiadań odczujecie pewną niechęć do obejrzenia się za siebie lub poczujecie dziwny dreszcz, słysząc niespodziewany hałas. Ale mam nadzieję, że zrozumiecie jedno: potwory kryją się wszędzie. W sprzedawczyni ze sklepu i przyjacielu ze studiów, w pani wyprowadzającej na spacer pieska i w pięknej spikerce na ekranie telewizora. A jeśli się nie boicie, to spojrzyjcie w lustro. Widzicie? Stamtąd również patrzy na Was Bestia...

Jacek Piekara

Złote popołudnie

Andrzej Sapkowski



Andrzej Sapkowski (1948) – Adam Małysz polskiej fantastyki. Z wykształcenia ekonomista i specjalista od handlu futrami (podobno był tak zdolny, że sprzedawał je nawet w Czarnej Afryce). Zadebiutował w wieku 38 lat opowiadaniem *Wiedźmin*, które momentalnie zyskało mu ogromną popularność wśród czytelników. W roku 1994 obrzydł mu handel i chodzenie na ósmą do pracy. Poświęcił się pisarstwu całkowicie i jest to obecnie jedyne jego źródło utrzymania. Sapkowski jest laureatem prestiżowego Paszportu Polityki i wielokrotnym laureatem nagrody im. Janusza Zajdla. *Złote popołudnie* to historia Alicji w Krainie Czarów, opowiedziana w nieco hmmm... inny sposób. Ponieważ kocham Alicję, więc musiałem się też absolutnie i nieodwołalnie zakochać w opowiadaniu Andrzeja.

All in the golden afternoon
Full leisurely we glide...
Lewis Carroll

Popołudnie zapowiadało się naprawdę ciekawie jako jedno z tych wspaniałych popołudni, które istnieją wyłącznie po to, by spędzać je na długotrwałym i słodkim *far niente*, aż do rozkosznego zmęczenia się lenistwem. Rzecz jasna, błogostanu takiego nie osiąga się ot, tak sobie, bez przygotowania i bez planu, uwaliwszy się w pozycji horyzontalnej byle gdzie. Nie, moi drodzy. Wymaga to poprzedzającej go aktywności, tak intelektualnej, jak i fizycznej. Na nieróbstwo, jak mawiają, trzeba sobie zapracować.

Aby tedy nie stracić ani jednej ze ściśle wyliczonych chwil, z których zwykły się składać rozkoszne popołudnia, przystąpiłem do pracy. Udałem się do lasu i wkroczyłem weń, lekceważąc ostrzegawczą tabliczkę: BEWARE THE JABBERWOCK, ustawioną na skraju. Bez zgubnego w takich razach pośpiechu odszukałem odpowiadające kanonom sztuki drzewo i wlazłem na nie. Następnie dokonałem wyboru właściwego konara, kierując się w wyborze teorią *o revolutionibus orbium coelestium*. Za mądrze? Powiem więc prościej: wybrałem konar, na którym przez całe popołudnie słońce będzie wygrzewać mi futro.

Słoneczko przygrzewało, kora pachniała, ptaszęta i owady śpiewały na różne głosy swą odwieczną pieśń. Położyłem się na konarze, zwiesiłem malowniczo ogon, oparłem podbródek na łapach. Już miałem zamiar zapaść w błogi letarg, już gotów byłem zademonstrować całemu światu bezbrzeżne lekceważenie, gdy nagle wysoko na niebie dostrzegłem ciemny punkt. Punkt zbliżał się szybko. Uniosłem głowę. W normalnych warunkach może nie zniżyłbym się do skupiania uwagi na zbliżających się ciemnych punktach, albowiem w normalnych warunkach takie punkty najczęściej okazują się ptakami. Ale w Krainie, w której chwilowo zamieszkiwałem, nie panowały normalne warunki. Lecący po niebie ciemny punkt mógł przy bliższym poznaniu okazać się fortepianem.

Statystyka po raz nie wiadomo który okazała się jednakowoż być królową nauk. Zbliżający się punkt nie był, co prawda, ptakiem w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale też i daleko było mu do fortepianu. Westchnąłem, albowiem wolałbym fortepian. Fortepian, o ile nie leci po niebie razem ze stołkiem i siedzącym na stołku Mozartem, jest zjawiskiem przemijającym i nie drażniącym uszu. Radetzky

natomiast - albowiem to właśnie Radetzky nadlatywał – potrafił być zjawiskiem hałaśliwym, upierdliwym i męczącym. Powiem nie bez złośliwości: to było w zasadzie wszystko, co Radetzky potrafił.

– Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? – zaskrzeczał, zataczając koła nad moją głową i moim konarem.

– Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

– Spadaj, Radetzky.

– Aleś ty wulgarny, Chester. Haaa-haaa! Do cats eat bats? Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? A czy nie miewają czasami na koty nietoperze ochoty?

– Najwyraźniej pragniesz mi o czymś opowiedzieć. Zrób to i oddal się.

Radetzky zaczepił pazurki o gałąź powyżej mojego konara, zawisł głową w dół i zwinął błoniaste skrzydełka, przybierając tym samym sympatyczniejszy dla moich oczu wygląd myszy z antypodów.

– Ja coś wiem! – wrzasnął cienko.

– Nareszcie. Natura jest nieogarnięta w swej łaskawości.

– Gość! – zapiszczał nietoperz, wyginając się jak akrobata. – Gość zawitał do Krainy! Wesoooooły nam dzień nastaaaał! Mamy gościa, Chester! Prawdziwego gościa!

– Widziałeś na własne oczy?

– Nie... – stropił się, strzygąc wielkimi uszami i śmiesznie poruszając połyskliwym guziczkiem nosa. – Nie widziałem. Ale mówił mi o tym Johnny Caterpillar.

Miałem przez moment chęć zganić go surowo i nie przebierając w słowach za zakłócanie mi sjesty poprzez rozpuszczanie niepotwierdzonych plotek, powstrzymałem się jednak. Po pierwsze, Johnny „Blue" Caterpillar miał wiele przywar, ale nie było wśród nich skłonności do bujdy i konfabulowania. Po drugie, goście w Krainie byli rzeczą dość rzadką, zwykle bulwersującą, ale tym niemniej zdarzającą się wcale regularnie. Nie uwierzycie, ale raz trafił się nam nawet Inka, kompletnie odurniały od liści koki czy innej prekolumbijskiej cholery. Z tym dopiero była uciecha! Plątał się po całej okolicy, zaczepiał wszystkich, gadał w niepojętym dla nikogo narzeczu, krzyczał, pluł, bryzgał śliną, wygrażał nam nożem z obsydianu. Ale wkrótce odszedł, odszedł na zawsze, jak wszyscy. Odszedł w sposób spektakularny, okrutny i krwawy. Zajęła się nim królowa Mab. I jej świta, lubiąca określać się mianem „Władców Serc". My nazywamy ich po prostu Kierami. Les Coeurs.

– Lecę – oznajmił nagle Radetzky, przerywając moją zadumę. – Lecę powiadomić innych. O gościu, znaczy się. Bywaj, Chester.

Wyciągnąłem się na konarze, nie zaszczycając go odpowiedzią. Nie zasługiwał na żaden zaszczyt. W końcu ja byłem kotem, a on tylko latającą myszą, nadaremnie usiłującą wyglądać jak miniaturowy hrabia Dracula.

Co może być gorszego od idioty w lesie? Ten z was, który krzyknął, że nic, racji nie miał. Jest coś, co jest gorsze od idioty w lesie. Tym czymś jest idiotka w lesie. Idiotkę w lesie – uwaga – poznać można po następujących rzeczach: słychać ją z odległości pół mili, co trzy lub cztery kroki wykonuje niezgrabny podskok, nuci, mówi do siebie, leżące na ścieżce szyszki stara się kopnąć, żadnej nie trafia. A gdy dostrzeże was, leżących sobie na konarze drzewa, mówi: „Och!", po czym gapi się na was bezczelnie.

– Och – powiedziała idiotka, zadzierając głowę i gapiąc się na mnie bezczelnie. – Witaj, kocie.

Uśmiechnąłem się, a idiotka, choć i tak niezdrowo blada, zbladła jeszcze bardziej i założyła rączki za plecy. By ukryć ich drżenie.

– Dzień dobry, Panie Kotku – wybąkała, po czym dygnęła niezgrabnie.

– Bonjour, ma fille – odpowiedziałem, nie przestając się uśmiechać. Francuszczyzna, jak się domyślacie, miała na celu zbicie idiotki z pantałyku. Nie zdecydowałem jeszcze, co z nią zrobię, ale nie mogłem sobie odmówić zabawy. A skonfundowana idiotka to rzecz wielce zabawna.

– Où est ma chatte? – pisnęła nagle idiotka. Jak słusznie się domyślacie, nie była to konwersacja. To było pierwsze zdanie z jej podręcznika francuskiego. Tym niemniej ciekawa reakcja.

Poprawiłem mą pozycję na konarze. Powoli, by nie płoszyć idiotki. Jak wspomniałem, nie byłem jeszcze zdecydowany. Nie bałem się zadrzeć z Les Coeurs, którzy uzurpowali sobie wyłączne prawo do unicestwiania gości i stawiali się ostro, gdy ktoś ośmielił się ich w tym wyręczyć. Ja, będąc kotem, naturalnie olewałem ich wyłączne prawa. Olewałem, nawiasem mówiąc, wszelkie prawa. Dlatego zdarzały mi się już drobne konflikty z Les Coeurs i z ich królową, rudowłosą Mab. Nie bałem się takich konfliktów. Wręcz prowokowałem je, gdy tylko miałem chęć. Teraz jednak jakoś nie czułem specjalnej chęci. Ale pozycję na konarze poprawiłem. W razie czego wolałem załatwić sprawę jednym skokiem, bo na uganianie się za idiotką po lesie nie miałem ochoty za grosz.

– Nigdy w życiu – powiedziała dziewczynka lekko drżącym głosem – nie widziałam kota, który się uśmiecha. W taki sposób.

Poruszyłem uchem na znak, że nic to dla mnie nowego.

– Ja mam kotkę – oznajmiła. – Moja kotka nazywa się Dina. A ty jak się nazywasz?

– Ty tu jesteś gościem, drogie dziewczę. To ty powinnaś przedstawić się pierwsza.

– Przepraszam. – Dygnęła, spuszczając wzrok.

Szkoda, albowiem oczy miała ciemne i jak na człowieka bardzo ładne.

– Rzeczywiście, to nie było grzeczne, powinnam wpierw się przedstawić.

Nazywam się Alicja. Alicja Liddell. Jestem tu, bo weszłam do króliczej nory. Za białym królikiem o różowych oczach, który miał na sobie kamizelkę. A w kieszonce kamizelki zegarek.

Inka, pomyślałem. Mówi zrozumiale, nie pluje, nie ma obsydianowego noża. Ale i tak Inka.

– Paliliśmy trawkę, panienko? – zagadnąłem grzecznie. – Łykaliśmy barbituraniki? Czy może naćpaliśmy się amfetaminki? Ma foi, wcześnie teraz dzieci zaczynają.

– Nie rozumiem ani słowa – pokręciła głową. – Nie pojęłam ani słowa z tego, co mówisz, kocie. Ani słóweczka. Ani słówenienieczka.

Mówiła dziwnie, a ubrana była jeszcze dziwniej, teraz dopiero zwróciłem na to uwagę. Rozkloszowana sukienka, fartuszek, kołnierzyk z zaokrąglonymi rogami, krótkie bufiaste rękawki, pończoszki... Tak, cholera jasna, pończoszki. I trzewiczki na rzemyczki. *Fin de siécle*, żebym tak zdrów był. Narkotyki i alkohol należało zatem raczej wykluczyć. O ile, rzecz jasna, jej ubiór nie był kostiumem. Mogła trafić do Krainy wprost z przedstawienia w teatrze szkolnym, gdzie grała Małą Miss Muffet siedzącą na piasku obok pająka. Albo wprost z imprezy, na której młodociana trupa świętowała sukces spektaklu garściami prochów. I to właśnie, uznałem po namyśle, było najbardziej prawdopodobne.

– Cóż tedy zażywaliśmy? – spytałem. – Jakaż to substancja pozwoliła nam osiągnąć odmienny stan świadomości? Jakiż to preparat przeniósł nas do krainy marzeń? A może po prostu piliśmy bez umiaru ciepławy gin and tonic?

– Ja? – zarumieniła się. – Ja niczego nie piłam... To znaczy, tylko jeden, jeden maciupeńki łyczek... No, może dwa... Lub trzy... Ale na buteleczce była przecież karteczka z napisem: „Wypij mnie". To w żaden sposób nie mogło mi zaszkodzić.

– Zupełnie jakbym słyszał Janis Joplin.

– Słucham?

– Nieważne.

– Miałeś mi powiedzieć, jak masz na imię.

– Chester. Do usług.

– Chester leży w hrabstwie Cheshire – oznajmiła dumnie. – Uczyłam się o tym niedawno w szkole. Jesteś więc Kotem z Cheshire! A jak mi usłużysz? Zrobisz mi coś przyjemnego?

– Nie zrobię ci niczego nieprzyjemnego – uśmiechnąłem się, szczerząc zęby i ostatecznie decydując, że jednak zostawię ją do dyspozycji Mab i Les Coeurs. – Potraktuj to jako usługę. I nie licz na więcej. Do widzenia.

– Hmmm... – zawahała się. – Dobrze, zaraz sobie pójdę... Ale wpierw... Powiedz mi, co robisz na drzewie?

– Leżę w hrabstwie Cheshire. Do widzenia.

– Ale ja... Ja nie wiem, jak stąd wyjść.

– Chodziło mi wyłącznie o to, byś się oddaliła – wyjaśniłem. – Bo jeżeli chodzi o wychodzenie, to daremny trud, Alicjo Liddell. Stąd nie da się wyjść.

– Słucham?

– Stąd nie da się wyjść, głupiutka. Należało spojrzeć na rewers karteczki na buteleczce.

– Nieprawda.

Machnąłem zwisającym z konara ogonem, co u nas, kotów, odpowiada wzruszeniu ramionami.

– Nieprawda – powtórzyła zadziornie. – Pospaceruję tu, a potem wrócę do domu. Muszę. Chodzę do szkoły, nie mogę opuszczać lekcji. Poza tym, mama tęskniłaby za mną. I Dina. Dina to moja kotka. Mówiłam ci o tym? Do widzenia, Kocie z Cheshire. Czy byłbyś jeszcze łaskaw powiedzieć mi, dokąd prowadzi ta dróżka? Dokąd trafię, gdy nią pójdę? Czy ktoś tam mieszka?

– Tam – wskazałem nieznacznym ruchem głowy – mieszka Archibald Haigha, dla przyjaciół Archie. Jest bardziej szalony niż marcowy zając. Dlatego mówimy na niego: Marcowy Zając. Tam zaś mieszka Bertrand Russell Hatta, który jest szalony jak kapelusznik. Dlatego też mówimy na niego: Kapelusznik. Obaj, jak się już zapewne domyśliłaś, są obłąkani.

– Ale ja nie mam ochoty spotykać obłąkanych ani furiatów.

– Wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.

– Ja? Nieprawda! Dlaczego tak mówisz?

– Gdybyś nie była obłąkana – wyjaśniłem, trochę już znudzony – nie trafiłabyś tutaj.

– Mówisz samymi zagadkami... – zaczęła, a oczy rozszerzyły jej się nagle. – Ejże... Co się z tobą dzieje? Kocie z Cheshire! Nie znikaj! Nie znikaj, proszę!

– Drogie dziecko – powiedziałem łagodnie. – To nie ja znikam, to twój mózg przestaje funkcjonować, przestaje być zdolny nawet do delirycznego majaczenia. Ustają czynności. Innymi słowy...

Nie dokończyłem. Nie mogłem jakoś zdobyć się na to, by dokończyć. By uświadomić jej, że umiera.

– Widzę cię znowu! – zawołała triumfalnie.

– Znowu jesteś. Nie rób tego więcej. Nie znikaj tak nagle. To okropne. W głowie się od tego kręci.

– Wiem.
– Muszę już iść. Do widzenia, Kocie z Cheshire.
– Żegnaj, Alicjo Liddell.

Uprzedzę fakty. Nie poleniuchowałem już sobie tego dnia. Wyczmucony ze snu i wyrwany z błogiego letargu nie byłem już w stanie odbudować w sobie poprzedniego nastroju. Cóż, na psy schodzi ten świat. Żadnych względów i żadnego szacunku nie okazuje się już śpiącym lub odpoczywającym kotom. Gdzie te czasy, gdy prorok Mahomet, chcąc wstać i iść do meczetu, a nie chcąc budzić kotki uśpionej w rękawie jego szaty, uciął rękaw nożem. Nikt z was, założę się o każde pieniądze, nie zdobyłby się na równie szlachetny czyn. Dlatego też nie przypuszczam, by komukolwiek z was udało się zostać prorokiem, choćby jak rok długi biegał z Mekki do Medyiny i z powrotem. Cóż, jak Mahomet kotu, tak kot Mahometowi.

Nie zastanawiałem się dłużej niż godzinkę. Potem – sam się sobie dziwiąc – zlazłem z drzewa i nie spiesząc się nadmiernie, podążyłem wąską leśną ścieżką w stronę domostwa Archibalda Haighy, zwanego Marcowym Zającem. Mogłem oczywiście, gdybym chciał, znaleźć się u Zająca w ciągu kilku sekund, ale uznałem to za zbytek łaski, mogący sugerować, że na czymkolwiek mi zależy. Może i zależało mi trochę, ale nie miałem zamiaru tego okazywać.

Czerwone dachówki domku Zająca rychło wkomponowały się w ochrę i żółć jesiennych liści okolicznych drzew. A do moich uszu dobiegła nastrojowa muzyka. Ktoś – lub coś – cichutko grało i śpiewało „Greensleeves". Melodię znakomicie dopasowaną do czasu i miejsca.

Alas, my love, you do me wrong
To cast me off discourteously
And I have loved you oh so long
Delighting in your company...

Na podwórko przed domkiem wystawiono nakryty czystym obrusem stół. Na stole ustawiono talerzyki, filiżanki, imbryk do herbaty i flaszkę whisky Chivas Regal. Za stołem siedział gospodarz, Marcowy Zając, i jego goście: Kapelusznik, bywający tu niemal stale, i Pierre Dormousse, bywający tu – i gdziekolwiek – niezmiernie rzadko. W szczycie stołu siedziała natomiast ciemnooka Alicja Liddell, z dziecięcą bezczelnością rozparta w wiklinowym fotelu i trzymająca oburącz fili-

żankę. Wyglądała na zupełnie nieprzejętą faktem, że przy five o'clock whisky and tea towarzyszą jej zając o nieporządnych wąsach, karzełek w kretyńskim cylindrze, sztywnym kołnierzyku i muszce w grochy oraz grubiutki suseł, drzemiący z głową na stole. Archie, Marcowy Zając, dostrzegł mnie pierwszy.

– Popatrzcie, któż to nadchodzi – zawołał, a tembr jego głosu wskazywał niedwuznacznie, że herbatę w tym towarzystwie piła tylko Alicja. – Któż to zbliża się? Czy mnie wzrok nie myli? Byłobyż to, że zacytuję proroka Jeremiasza, najszlachetniejsze ze zwierząt, mające chód wspaniały, a krok wyniosły?

– Musiano gdzieś potajemnie otworzyć siódmą pieczęć zawtórował Kapelusznik, łyknąwszy z porcelanowej filiżanki czegoś, co ewidentnie nie było herbatą. – Spójrzcie bowiem, oto kot blady, a piekło postępuje za nim.

– Zaprawdę powiadam wam – oznajmiłem bez emfazy, podchodząc bliżej – jesteście jako cymbały brzmiące.

– Siadaj, Chester – powiedział Marcowy Zając. – I nalej sobie. Jak widzisz, mamy gościa. Gość zabawia nas właśnie opowiadaniem o przygodach, jakich zaznał od momentu przybycia do naszej Krainy. Założę się, że też chętnie posłuchasz. Pozwól, że przedstawię ci...

– My się już znamy.

– No pewnie – powiedziała Alicja, uśmiechając się uroczo. – Znamy się. To właśnie on wskazał mi drogę do waszego ślicznego domku. To jest Kot z Cheshire.

– Czegoś ty naplótł dzieciakowi, Chester? – poruszył wąsami Archie. – Znowu popisywałeś się elokwencją, mającą dowieść twej wyższości nad innymi istotami? Co? Kocie?

– Ja mam kotkę – powiedziała ni z gruszki, ni z pietruszki Alicja. - Moja kotka nazywa się Dina.

– Wspominałaś.

– A ten kot – Alicja niegrzecznie wskazała mnie palcem – czasami znika, i to tak, że widać tylko uśmiech wiszący w powietrzu. Brrr, okropność.

– A nie mówiłem? – Archie uniósł głowę i postawił sztorcem uszy, do których wciąż przyczepione były źdźbła trawy i kłosy pszenicy. – Popisywał się! Jak zwykle!

– Nie sądźcie – odezwał się Pierre Dormousse, całkiem przytomnie, choć wciąż z głową na obrusie – abyście nie byli sądzeni.

– Zamknij się, Dormousse – machnął łapą Marcowy Zając. – Śpij i nie wtrącaj się.

– Ty zaś kontynuuj, kontynuuj, dziecko – ponaglił Alicję Kapelusznik. – Radzibyśmy posłuchać o twych przygodach, a czas nagli.

– Jeszcze jak nagli – mruknąłem, patrząc mu w oczy. Archie prychnął lekceważąco.

– Dziś jest środa – powiedział. – Mab i Les Coeurs grają w ich idiotycznego krokieta. Założę się, że jeszcze nic nie wiedzą o naszym gościu.
– Nie doceniasz Radetzkiego.
– Mamy czas, powtarzam. Wykorzystajmy go zatem. Taka zabawa nie trafia się każdego dnia.
– A cóż wy, jeśli wolno spytać, znajdujecie w tym zabawnego?
– Zobaczysz. No, droga Alicjo, opowiadaj. Zamieniamy się w słuch.
Alicja Liddell powiodła po nas zainteresowanym spojrzeniem swych ciemnych oczu, jak gdyby oczekiwała, że faktycznie w coś się zamienimy.
– Na czym to ja stanęłam? – zastanowiła się, nie doczekawszy się żadnej metamorfozy. – Aha, już wiem. Na ciasteczkach. Tych, które miały napis: „Zjedz mnie", ślicznie ułożony z czerwonych porzeczek na żółtym kremie. Ach, jakże smaczne były te ciasteczka! Naprawdę czarowny miały smak! I były czarodziejskie, w samej rzeczy. Gdy zjadłam kawałek, zaczęłam rosnąć. Przeraziłam się, sami rozumiecie... I prędko ugryzłam drugie ciasteczko, równie smaczne, jak to pierwsze. Wtedy zaczęłam maleć. Takie to były czary, ha! Mogłam raz być duża, a raz mała. Mogłam się kurczyć, mogłam się rozciągać. Jak chciałam. Rozumiecie?
– Rozumiemy – rzekł Kapelusznik i zatarł dłonie.
– No, Archie, twoja kolej. Słuchamy.
– Sprawa jest jasna – oświadczył dumnie Marcowy Zając.
– Majaczenie ma podtekst erotyczny. Zjadanie ciasteczek to wyraz typowo dziecięcych fascynacji oralnych, mających podłoże w drzemiącym jeszcze seksualizmie. Lizać i ciamkać, nie myśląc, to typowe zachowanie pubertalne, chociaż, przyznać trzeba, znam takich, którzy z tego nie wyrośli do późnej starości. Co do spowodowanego jakoby zjedzeniem ciasteczka kurczenia się i rozciągania, to nie będę chyba zbyt odkrywczy, gdy przypomnę mit o Prokruście i Prokrustowym łożu. Chodzi o podświadome pragnienie dopasowania się, wzięcia udziału w misterium wtajemniczenia i wkroczenia do świata dorosłych. Ma to również podłoże seksualne. Dziewczynka pragnie...
– Na tym więc polega wasza zabawa – stwierdziłem, nie zapytałem. – Na psychoanalizie mającej dociec, jakim cudem ona się tu znalazła. Szkopuł wszakże w tym, że u ciebie, Archie, wszystko ma podłoże seksualne. To zresztą typowe dla zająców, królików, łasic, nutrii i innych gryzoni, którym tylko jedno w głowie. Powtarzam jednak moje pytanie: co w tym jest zabawnego?
– Jak w każdej zabawie – powiedział Kapelusznik – zabawne jest zabicie nudy.
– A fakt, że kogoś to nie bawi, bynajmniej nie dowodzi, że ten ktoś jest wyższą istotą – warknął Archie. – Nie uśmiechaj się, Chester, nikomu tu nie

zaimponujesz twoim uśmiechem. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że choćbyś nie wiem jak się wymądrzał, nikt z tu obecnych nie obdarzy cię boską czcią? Nie jesteśmy w Bubastis, ale w Krainie...

– Krainie Czarów? – wtrąciła Alicja, wodząc po nas spojrzeniem.

– Dziwów – poprawił Kapelusznik. – Kraina Czarów to Faerie. To jest Wonderland. Kraina Dziwów.

– Semantyka – burknął znad obrusa Dormousse. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Kontynuuj, Alicjo – ponaglił Kapelusznik. – Co było dalej, po tych ciasteczkach?

– Ja – oświadczyła dziewczynka, bawiąc się uszkiem filiżanki – bardzo chciałam odszukać tego białego królika w kamizelce, tego, który nosił rękawiczki i zegarek z dewizką. Tak sobie myślałam, że jeśli go odszukam, to może trafię też do tej nory, w którą wpadłam... I będę mogła tą norą wrócić. Do domu.

Milczeliśmy wszyscy. Ten fragment nie wymagał wyjaśnień. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby, czym jest i co symbolizuje czarna nora, upadek, długie, niekończące się spadanie. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby, że w całej Krainie nie ma nikogo, kto choćby z oddali mógłby przypominać białego królika noszącego kamizelkę, rękawiczki i zegarek.

– Szłam – podjęła cicho Alicja Liddell – przez ukwieconą łąkę i nagle pośliznęłam się, bo cała łąka była mokra od rosy i bardzo śliska. Upadłam. Sama nie wiem jak, ale nagle chlupnęłam do morza. Tak myślałam, bo woda była słona. Ale to nie było wcale morze, wiecie? To była wielka kałuża łez. Bo ja płakałam wcześniej, bardzo płakałam... Bo bałam się i myślałam, że już nigdy nie odnajdę tego królika i tej nory. Wszystko to wyjaśniła mi jedna mysz, która pływała w tej kałuży, bo też tam przypadkiem wpadła, tak samo jak ja. Wyciągnęłyśmy się z tej kałuży nawzajem, to znaczy trochę mysz wyciągnęła mnie, a trochę ja wyciągnęłam mysz. Cała była mokra, biedaczka, i miała długi ogonek... Zamilkła, a Archie popatrzył na mnie z wyższością.

– Niezależnie od tego, co myślą o tym różne koty – oświadczył, wystawiając na widok publiczny swe dwa żółte zęby – ogonek myszy to symbol falliczny. Tym tłumaczy się, nawiasem mówiąc, paniczny lęk, który na widok myszy ogarnia niektóre kobiety.

– Jesteście obłąkani – powiedziała z przekonaniem Alicja. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– A słone morze – zadrwiłem – powstałe z dziewczęcych łez, to oczywiście doprowadzająca do płaczu zazdrość o penisa? Co, Archie?

– Tak jest! Piszą o tym Freud i Bettelheim. Zwłaszcza Bettelheima godzi się tu przywołać, albowiem zajmuje się on psychiką dziecka.

– Nie będziemy – skrzywił się Kapelusznik, nalewając whisky do filiżanek – przywoływać tu Bettelheima. Freud też niech sobie *requiescat in pace*. Ta flaszka to w sam raz na nas czterech, comme il faut, nikogo więcej nam tu nie potrzeba. Opowiadaj, Alicjo.

– Później... – zastanowiła się Alicja Liddell. – Później przypadkowo napotkałam lokaja. Ale gdy się lepiej przyjrzałam, okazało się, że to nie lokaj, ale wielka żaba ubrana w lokajską liberię.

– Aha! – ucieszył się Marcowy Zając. – Jest i żaba! Płaz wilgotny i oślizgły, który pobudzony nadyma się, rośnie, zwiększa swe rozmiary! Czego to symbol, jak wam się zdaje? Penisa przecież!

– No pewnie – kiwnąłem głową. – Czegóżby innego. Tobie wszystko kojarzy się z penisem i z dupą, Archie.

– Jesteście obłąkani – powiedziała Alicja. – I wulgarni.

– No pewnie – przytaknął Dormousse, unosząc głowę i patrząc na nią sennie. – Każdy to wie. Och, ona tu jeszcze jest? Jeszcze po nią nie przyszli?

Kapelusznik, wyraźnie zaniepokojony, obejrzał się na las, z głębi którego dobiegały jakieś trzaski i chrupotanie. Ja, będąc kotem, słyszałem te odgłosy już od dawna, zanim jeszcze się przybliżyły. To nie byli Les Coeurs, to była wataha zbłąkiń szukających wśród ściółki czegoś do żarcia.

– Tak, tak, Archie – nie zamierzałem uspokajać Zająca, który również słyszał chrupotanie i płochliwie postawił uszy. – Powinieneś pospieszyć się z psychoanalizą, w przeciwnym razie Mab dokończy ją za ciebie.

– Może więc ty dokończysz? – Marcowy Zając poruszył wąsami. – Ty, jako istota wyższa, znasz wszakże na wylot mechanizmy zachodzących w psychice procesów. Niewątpliwie wiesz, jak to się stało, że umierająca córka dziekana Christ Church, miast odejść w pokoju, nie budząc się z letargu, błąka się po Krainie?

– Christ Church – pohamowałem zdziwienie. – Oksford. Który rok?

– Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dwa – burknął Archie. – Noc z siódmego na ósmego lipca. Czy to ważne?

– Nieważne. Uczyń podsumowanie twego wywodu. Bo przecież masz już gotowe podsumowanie?

– Jasne, że mam.

– Płonę z ciekawości.

Kapelusznik nalał. Archie łyknął, jeszcze raz popatrzył na mnie wyniośle, odchrząknął, zatarł łapy.

– Mamy tu – zaczął uroczyście i podniośle – do czynienia z typowym przypadkiem konfliktu id, ego i superego. – Jak szanownym kolegom wiadomo, w psychice ludzkiej id jest tym, co niebezpieczne, co popędowe, co groźne i niezrozumiałe, tym, co wiąże się z niemożliwą do pohamowania tendencją do bezmyślnego zaspokajania przyjemności. Owo bezmyślne uleganie popędom usiłuje dana osoba – jak to przed chwilą obserwowaliśmy – niezdarnie usprawiedliwiać imaginowanymi instrukcjami typu: „Wypij mnie" czy „Zjedz mnie", co – oczywiście fałszywie – pozorować ma poddanie id kontroli racjonalnego ego. Ego danej osoby to bowiem wpojona jej wiktoriańska zasada rzeczywistości, realności, konieczności poddania się nakazom i zakazom. Realność to surowe wychowanie domowe, surowa, choć pozornie barwna realność „Young Misses Magazine", jedynej lektury tego dziecka...

– Nieprawda! – wrzasnęła Alicja Liddell. – Czytałam jeszcze Robinsona Crusoe! I sir Waltera Scotta!

– Nad tym wszystkim – Zając nie przejął się wrzaskiem – próbuje bez rezultatu zapanować nierozbudowane superego rzeczonej i – *sit licentia verbo* – przytomnej tu osoby. A superego, nawet szczątkowe, przesądza między innymi o zdolności do fantazjowania. Dlatego też próbuje przekładać zachodzące procesy na wizje i obrazy. *Vivere cesse, imaginare necesse est*, jeśli pozwolą szanowni koledzy na parafrazę...

– Szanowni koledzy – powiedziałem – pozwolą sobie raczej na uwagę, że wywód, choć w zasadzie teoretycznie prawidłowy, niczego nie tłumaczy, stanowi więc klasyczny przypadek akademickiej gadaniny.

– Nie obrażaj się, Archie – niespodziewanie poparł mnie Kapelusznik. – Ale Chester ma rację. Nadal nie wiemy, jakim sposobem Alicja się tu znalazła.

– Toście tępaki są! – zamachał łapami Zając. – Przecież mówię! Zaniosła ją tu jej przepełniona erotyzmem fantazja! Jej lęki! Pobudzone jakimś narkotykiem utajone marzenia...

Urwał, wpatrzony w coś za moimi plecami. Teraz i ja słyszałem szum piór. Usłyszałbym wcześniej, gdyby nie jego gadanina.

Na stole, dokładnie pomiędzy butelką a imbrykiem, wylądował Edgar. Edgar jest krukiem. Edgar dużo lata, a mało gada. Dlatego w Krainie służy wszystkim głównie jako posłaniec. Tym razem również tak było, bo Edgar trzymał w dziobie sporą kopertę, ozdobioną rozdzielonymi koroną inicjałami „MR".

– Cholerna banda – szepnął Kapelusznik. – Cholerna efekciarska banda.

– To do mnie? – zdziwiła się Alicja. Egdar kiwnął głową, dziobem i listem. Wzięła kopertę, ale Archie bezceremonialnie wyrwał ją jej, złamał pieczęć.

– Jej Królewska Wysokość Mab etc. etc. – odczytał – zaprasza do wzięcia udziału w partii krokieta, która odbędzie się...

Popatrzył na nas.

– Dziś – poruszył wąsami. – A więc dowiedzieli się. Pieprzony nietoperz rozgadał i dowiedzieli się.

– Cudownie! – Alicja Liddell klasnęła w dłonie.

– Partia krokieta! Z królową! Czy już mogę iść? Byłoby niegrzecznie się spóźnić.

Kapelusznik chrząknął głośno. Archie obrócił list w dłoni. Dormousse zachrapał. Edgar milczał, strosząc czarne pióra.

– Zatrzymajcie ją tu, jak długo się da – zdecydowałem się nagle i wstałem. – Zaraz wracam.

– Nie wygłupiaj się, Chester – mruknął Archie. – Nic nie zdziałasz, choćbyś i dotarł na miejsce, w co wątpię. Już za późno. Mab o niej wie, nie pozwoli jej odejść. Nie uratujesz jej. Nie ma sposobu.

– Może się założymy?

Wiatr czasu i przestrzeni wciąż jeszcze szumiał mi w uszach i jeżył sierść, a ziemia, na której stałem, za nic w świecie nie chciała przestać się trząść. Równowaga i twarda realność szybko i konsekwentnie wypierały jednak *horror vacui*, który towarzyszył mi przez kilka ostatnich chwil. Mdłości, jakkolwiek niechętnie, ustępowały, oczy z wolna przyzwyczajały się się do euklidesowej geometrii. Rozejrzałem się.

Ogród, w którym wylądowałem, był prawdziwie angielski, to znaczy zarośnięty i zakrzaczony jak cholera. Gdzieś z lewej zalatywało bagienkiem i dał się co i raz słyszeć krótki kwak, wywnioskowałem więc, że nie brakuje tu i stawu. W głębi płonęła światłami i bluszczem pokryta fasada niedużego piętrowego domu. W zasadzie pewien byłem swego, to znaczy tego, że trafiłem we właściwe miejsce i właściwy czas. Ale wolałem się upewnić.

– Czy jest tu ktoś, u diabła? – zapytałem zniecierpliwiony.

Nie czekałem długo. Z mroku wyłonił się rudy i pręgowany jegomość. Nie wyglądał na właściciela ogrodu, choć usilnie starał się wyglądać. Głupkiem nie był, najwyraźniej wpojono mu też w wieku kocięcym nieco manier i savoir vivre'u, bo gdy mnie zobaczył, pozdrowił grzecznie, siadając i owijając łapy ogonem. Ha, chciałbym zobaczyć któregoś z was, ludzi, reagujących w sposób równie spokojny na pojawienie się istoty z waszej mitologii. I demonologii.

– Z kim mam przyjemność? – zapytałem krótko i obcesowo.

– Russet Fitz-Rourke Trzeci, Your Grace.
– To – ruchem ucha pokazałem, co mam na myśli – oczywiście Anglia?
– Oczywiście.
– Oksford?
– W samej rzeczy.
Trafiłem więc. Kaczka, którą słyszałem, pływała zapewne nie po stawie, ale po Tamizie lub Cherwell. A wieża, którą widziałem podczas lądowania, to była Carfax Tower. Problem tkwił jednak w tym, że Carfax Tower wyglądała identycznie podczas mojej poprzedniej wizyty w Oksfordzie, a było to w 1645, na krótko przed bitwą pod Naseby. Radziłem wówczas królowi Karolowi, by rzucił wszystko w cholerę i uciekł do Francji.
– Kto w tej chwili rządzi Brytanią?
– W Anglii, Merlin z Glastonbury. W Szkocji...
– Nie pytam o koty, głupcze.
– Przepraszam, Wasza Miłość. Królowa Wiktoria.
Dobra nasza. Chociaż, z drugiej strony, babsko rządziło sześćdziesiąt cztery lata, 1837-1901. Zawsze była możliwość, że przestrzeliłem odrobinkę w przód lub w tył. Mógłbym wprost zapytać rudzielca o datę, ale nie wypadało mi, jak sami rozumiecie. Gotów sobie pomyśleć, że nie jestem wszechwiedzący. Prestiż, jak to mówią, *Über alles*.
– Do kogo należy ten dom?
– Do Venery Whiteblack... – zaczął, ale natychmiast się poprawił. – To znaczy, ludzkim właścicielem jest pan dziekan Henry George Liddell.
– Dzieci są? Nie pytam o Venerę Whiteblack, ale o dziekana Liddella.
– Trzy córki.
– Któraś ma na imię Alicja?
– Średnia.
Odetchnąłem ukradkiem. Rudzielec też odetchnął. Był przekonany, że nie wypytuję, lecz egzaminuję.
– Jestem wielce zobowiązany, sir Russet. Udanego polowania.
– Dziękuję, Your Grace.
Nie odwzajemnił życzenia udanego polowania. Znał legendy. Wiedział, jakiego rodzaju polowanie może oznaczać moje pojawienie się w jego świecie.

Przechodziłem przez mur, przez ściany oklejone krzykliwą kwiecistą tapetą, przez sztukaterię, przez meble. Przechodziłem przez zapach kurzu, lekarstw, jabłek,

sherry, tytoniu i lawendy. Przechodziłem przez głosy, szepty, westchnienia i łkania. Przeszedłem przez oświetlony living room, w którym dziekan i dziekanowa Liddell rozmawiali ze szczupłym przygarbionym brunetem o bujnej fryzurze. Znalazłem schody. Minąłem dwie dziecięce sypialnie, tchnące młodym, zdrowym snem. A przy trzeciej sypialni wpakowałem się na Strażniczkę.

– Przybywam w pokoju – powiedziałem szybko, cofając się przed ostrzegawczym sykiem, kłami, pazurami i wściekłością. – W pokoju!

Leżąca na progu Venera Whiteblack płasko położyła uszy, poczęstowała mnie następną falą nienawiści, po czym przybrała klasyczną postawę bojową.

– Pohamuj się, kotko!

– Apage! – zasyczała, nie zmieniając pozycji. – Precz! Żaden demon nie przejdzie przez próg, na którym ja leżę!

– Nawet taki – zniecierpliwiłem się – który nazwie cię Diną?

Drgnęła.

– Zejdź mi z drogi – powtórzyłem. – Dino, kotko Alicji Liddell.

– Wasza Miłość? – spojrzała na mnie niepewnie.

– Tutaj?

– Chcę wejść do środka. Usuń się z progu. Nie, nie, nie odchodź. Wejdź ze mną.

W pokoiku, zgodnie z obyczajem epoki, stało tyle mebli, ile wlazło. Ściany i tu pokrywała tapeta z przeraźliwym kwietnym motywem. Nad komódką wisiała niezbyt udana grafika przedstawiająca, jeśli wierzyć podpisowi, niejaką Mrs. West w roli Desdemony. A na łóżeczku leżała Alicja Liddell, nieprzytomna, spocona i blada jak upiór. Majaczyła tak silnie, że w powietrzu nad nią niemal widziałem czerwone dachówki domku Zająca i słyszałem „Greensleeves".

– Pływali łódką po Tamizie, ona, jej siostry i pan Charles Lutwidge Dodgson – Venera Whiteblack uprzedziła moje pytanie. – Alicja wpadła do wody, przeziębiła się i dostała gorączki. Był lekarz, przepisał jej różne leki, leczono ją też domową apteczką. Przez nieuwagę zaplątała się między lekarstwa buteleczka laudanum, a ona ją wypiła. Od tego czasu jest w takim stanie.

Zamyśliłem się.

– Czy ów nieodpowiedzialny Charles, to ten z fryzurą pianisty, rozmawiający z dziekanem Liddellem? Gdy przechodziłem przez salon, czułem emanujące od niego myśli. Poczucie winy.

– Tak, to właśnie on. Przyjaciel domu. Wykładowca matematyki, ale poza tym do zniesienia. I nie nazwałabym go nieodpowiedzialnym. To nie była jego wina, na łódce. Wypadek, jaki każdemu mógł się zdarzyć.

– Czy on często przebywa w pobliżu Alicji?

– Często. Ona go lubi. On ją lubi. Gdy na nią patrzy, mruczy. Wymyśla i opowiada małej różne niestworzone historie. Ona to uwielbia.

– Aha – poruszyłem uchem. – Niestworzone historie.

Fantazje. I laudanum. No, to jesteśmy w domu, *pun not intended.* Mniejsza z tym. Pomyślmy o dziewczynce. Życzeniem moim jest, aby wyzdrowiała. I to pilnie. Kotka zmrużyła złote oczy i nastroszyła wąsy, co u nas, kotów, oznacza bezbrzeżne zdumienie. Opanowała się jednak szybko. I nie odezwała się. Wiedziała, że pytanie o motywy byłoby potwornym nietaktem. Wiedziała też, że nie odpowiedziałbym na takie pytanie. Żaden kot nigdy nie odpowiada na takie pytanie. Robimy zawsze to, co chcemy i nie zwykliśmy się usprawiedliwiać.

– Życzeniem moim jest – powtórzyłem dobitnie – aby choroba opuściła pannę Alicję Liddell.

Venera usiadła, mrugnęła, poruszyła uchem.

– To twój przywilej, książę – powiedziała łagodnie. – Ja... Ja mogę wyłącznie podziękować... za zaszczyt. Kocham to dziecko.

– To nie był zaszczyt. Nie dziękuj więc, tylko bierz się do roboty.

– Ja? – niemal podskoczyła z wrażenia. – Ja mam ją uleczyć? Przecież to zabronione dla zwykłych kotów! Myślałam, że Wasza Wysokość sama raczy... Zresztą, ja nie umiałabym...

– Po pierwsze, nie ma zwykłych kotów. Po drugie, mnie wolno złamać każdy zakaz. Niniejszym go łamię. Bierz się do roboty.

– Ale... – Venera nie spuszczała ze mnie oczu, w których nagle pojawił się przestrach. – Przecież... Jeśli wymruczę z niej chorobę, wtedy ja...

– Tak – powiedziałem lekceważąco. – Umrzesz zamiast niej.

Jakoby kochasz tę dziewczynkę, pomyślałem. Udowodnij to. Myślałaś może, że wystarczy leżeć na kolanach, mruczeć i pozwalać się głaskać? Umacniać przekonanie, że koty są fałszywe, że nie przywiązują się do ludzi, lecz wyłącznie do miejsca?

Oczywiście, mówienie takich banałów Venerze Whiteblack było poniżej mojej godności. I całkowicie niepotrzebne. Stała za mną potęga autorytetu. Jedynego autorytetu, jaki akceptuje kot. Venera miauknęła cicho, wskoczyła na piersi Alicji, zaczęła mocno uciskać łapkami kołdrę. Słyszałem ciche trzaski pazurków, czepiających się adamaszku. Wyczuwszy właściwe miejsce, kotka ułożyła się i zaczęła głośno mruczeć. Mimo ewidentnego braku wprawy robiła to doskonale. Niemal czułem, jak z każdym pomrukiem wyciąga z chorej to, co należało wyciągnąć.

Nie przeszkadzałem jej, rzecz jasna. Czuwałem, by nie przeszkodził nikt inny. Okazało się, że słusznie. Drzwi otwarły się cicho i do pokoiku wszedł ów

blady brunet, Charles Ludwig czy Ludwig Charles, zapomniałem. Wszedł ze spuszczoną głową, cały skruszony i przepełniony żalem i winą. Natychmiast zobaczył leżącą na piersi Alicji Venerę Whiteblack i natychmiast uznał, że jest na kogo winę zwalić.

– Ejże, kkk... kocie – zająknął się. – Psik! Zejdź z łóżka nnnaaa... natychmiast!

Postąpił dwa kroki, spojrzał na fotel, na którym leżałem. I zobaczył mnie – a może nie tyle mnie, co mój uśmiech zawieszony w powietrzu. Nie wiem, jakim cudem, ale zobaczył. I zbladł. Potrząsnął głową. Przetarł oczy. Oblizał wargi. A potem wyciągnął ku mnie rękę.

– Dotknij mnie – powiedziałem najsłodziej, jak potrafiłem. – Tylko mnie dotknij, grubianinie, a przez resztę życia będziesz wycierał nos protezą.

– Kim ty jee... – zająknął się – jeee... steś?

– Imię moje jest legion – odrzekłem obojętnie. – Dla przyjaciół Malignus, *princeps potestatis aeris*. Jestem jednym z tych, którzy krążą, rozglądając się, *quaerens quem devoret*. Na wasze szczęście tym, co chcemy pożerać, z reguły są myszy. Ale na twoim miejscu nie wyciągałbym pospiesznych i zbyt daleko idących wniosków.

– To nnn... – zająknął się, tym razem tak gwałtownie, że oczy o mało nie wylazły mu z orbit. – To nnnieee...

- Możliwe, możliwe – zapewniłem, nadal uśmiechnięty na biało i ostro. – Stój tam, gdzie stoisz. Ogranicz aktywność do minimum, a obdaruję cię zdrowiem. *Parole d'honneur*. Zrozumiałeś, co powiedziałem, dwunogu? Jedynym, czym wolno ci poruszyć, są powieki i gałki oczne. Zezwalam też na ostrożne wdechy i wydechy.

– Ale...

– Na gadanie nie zezwalam. Milcz i nie ruszaj się, jakby twoje życie od tego zależało. Bo zależy, nawiasem mówiąc.

Pojął. Stał, pocił się w ciszy, patrzył na mnie i intensywnie myślał. Miał bardzo powikłane myśli. Nie oczekiwałem takich u wykładowcy matematyki. W tym czasie Venera Whiteblack robiła swoje, a powietrze aż wibrowało od magii jej pomruków. Alicja poruszyła się, jęknęła. Kotka uspokoiła ją, kładąc lekko łapkę na twarzy. Charles Lutwidge Dodgson – przypomniałem sobie jego miano – drgnął na ten widok.

– Spokojnie – powiedziałem nadspodziewanie łagodnie. –Tutaj się leczy. To terapia. Bądź cierpliwy.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Jesteś mmm... moją własną fantazją – mruknął wreszcie. – Nie ma sensu, bym z ttt...tobą rozmawiał.

– Z ust mi to wyjąłeś.

– To – wskazał łóżko lekkim ruchem głowy – to ma być ttt... terapia? Kocia terapia?

– Zgadłeś.

– *Though this be madness* – wybąkał, o dziwo bez zająknienia – *yet there is method in it.*

– I to także wyjąłeś mi z ust.

Czekaliśmy. Wreszcie Venera Whiteblack przestała mruczeć, położyła się na boku, ziewnęła i kilkakrotnie przeczesała futro różowym języczkiem.

– Chyba już – oznajmiła niepewnie. – Wyciągnęłam wszystko. Truciznę, chorobę i gorączkę. Miała jeszcze coś w szpiku kostnym, nie wiem, co to było. Ale dla pewności wyciągnęłam również.

– Brawo, My Lady.

– Your Grace?

– Słucham?

– Ja wciąż żyję.

– Chyba nie sądziłaś – uśmiechnąłem się z wyższością – że pozwolę ci umrzeć?

Kotka zmrużyła oczy w niemym podziękowaniu. Charles Lutwidge Dodgson, od dłuższej chwili śledzący niespokojnym wzrokiem nasze poczynania, chrząknął nagle głośno. Spojrzałem na niego.

– Mów – zezwoliłem wspaniałomyślnie. – Tylko nie jąkaj się, proszę.

– Nie wiem, co za rytuał się tu odprawia – zaczął cicho. – *Ale są rzeczy na niebie i ziemi...*

– Przejdź do tych rzeczy.

– Alicja wciąż jest nieprzytomna.

Ha. Miał rację. Wyglądało na to, że operacja się udała. Ale wyłącznie lekarzom. *Medice, cura te ipsum*, pomyślałem. Zwlekałem z zabraniem głosu, czując na sobie pytający wzrok kotki i niespokojny wzrok wykładowcy matematyki. Rozważałem różne możliwości. Jedną z nich było wzruszenie ramionami i pójście sobie precz. Ale za mocno zaangażowałem się już w tę historię, nie mogłem teraz się wycofać. Flaszka, o którą założyłem się z Zającem, to jedno, ale prestiż... Myślałem intensywnie. Przeszkodzono mi w tym.

Charles Lutwidge podskoczył nagle, a Venera Whiteblack wyprężyła się i gwałtownie uniosła głowę. Na esach-floresach wiktoriańskiej tapety zatańczył szybki, ruchliwy cień.

– Haa-haa! – zapiszczał cień, kołując przy żyrandolu. – Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

Venera położyła uszy, zasyczała, wygięła grzbiet, prychnęła wściekle. Radetzky przezornie zawisł na abażurze.

– Chester! – zawołał z wysokości, rozwijając jedno skrzydło. – Archie kazał powtórzyć, byś się pospieszył! Jest źle! Les Coeurs zabrali dziewczynę! Pospiesz się, Chester!

Zakląłem bardzo brzydko, ale po egipsku, więc nikt nie zrozumiał. Rzuciłem okiem na Alicję. Oddychała spokojniej, na jej twarzy dostrzegałem też coś na kształt rumieńca. Ale, cholera jasna, nadal była nieprzytomna.

– Ona wciąż śni – odkrył Amerykę Charles Lutwidge Dodgson. – Co najgorsze, obawiam się, że to nie jest jej sen.

– Ja też się tego obawiam – popatrzyłem mu w oczy. – Ale nie czas na teoretyzowanie. Trzeba wyrwać ją z maligny zanim dojdzie do rzeczy nieodwracalnych. Radetzky? Gdzie jest w tej chwili dziewczyna?

– Na Wonderland Meadows! – zaskrzeczał nietoperz. – Na polu krokietowym! Z Mab i Les Coeurs!

– Lecimy.

– Lećcie – Venera Whiteblack wysunęła pazury.

– A ja będę tutaj czuwać.

– Zaraz – Charles Lutwidge potarł czoło. – Nie wszystko rozumiem... Nie wiem, dokąd i po co chcecie lecieć, ale... Chyba nie obejdzie się beze mnie... To ja muszę wymyślić zakończenie tej historii. Żeby to zrobić... By Jove! Muszę pójść z wami.

– Chyba żartujesz – parsknąłem. – Nie wiesz, o czym mówisz.

– Wiem. To moja własna fantazja.

– Już nie.

W drodze powrotnej *horror vacui* był jeszcze gorszy. Bo spieszyłem się. Zdarza się, że podczas takich podróży pośpiech okazuje się zgubny. Mała pomyłka w obliczeniach i nagle trafia się do Florencji w roku 1348, w czas epidemii Czarnej Śmierci. Albo do Paryża, w noc z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego sierpnia 1572. Ale miałem szczęście. Trafiłem tam, gdzie należało.

Kapelusznik nie mylił się ani nie przesadzał, zwąc całą tę paskudną bandę efekciarzami. Oni wszystko robili z efektem i dla efektu. Zawsze. Tym razem też tak było. Usytuowany pomiędzy akacjami trawnik nieudolnie udawał pole do krokieta, dla efektu ustawiono nawet na nim półokrągłe bramki, w krokietowym żargonie zwane arches. Les Coeurs – w liczbie około dziesięciu – trzymali w rękach rekwizyty: młotki, czyli mallets, a po murawie walało się coś, co miało imitować piłki, ale wyglądało zupełnie jak zwinięte w kłębek jeże. Rej zaś wśród szajki wiodła oczywiście płomiennowłosa Mab, ustrojona w karminowe atłasy i krzykliwą biżuterię. Podniesionym głosem i władczymi gestami wskazywała Les Coeurs miejsca, które winni zająć. Jedną rękę trzymała przy tym na ramieniu Alicji Liddell. Dziewczynka przyglądała się królowej i przygotowaniom z żywym zainteresowaniem i płonącymi policzkami. W oczywisty sposób nie pojmowała, że szykuje się nie zabawa, lecz sadystyczna i efekciarska egzekucja.

Moje niespodziewane pojawienie się wywołało – jak zwykle – lekkie poruszenie i szumek wśród Les Coeurs, które Mab szybko jednak opanowała.

– Żałuję, Chester – powiedziała zimno, mnąc falbanki na ramieniu Alicji uzbrojonymi w pierścienie palcami. – Bardzo żałuję, ale mamy już komplet graczy. Między innymi z tego powodu nie wysłano ci zaproszenia.

– Nie szkodzi – ziewnąłem, demonstrując siekacze, kły, łamacze, przedtrzonowce i trzonowce, łącznie całą kupę zębiny i szkliwa. – Nie szkodzi, Wasza Wysokość, i tak zmuszony byłbym odmówić. Nie przepadam za krokietem, wolę inne gry i zabawy. Co zaś tyczy kompletu graczy, to tuszę, że macie i rezerwowych?

– A co ciebie – Mab zmrużyła oczy – może obchodzić, co mamy, a czego nie?

– Zmuszony jestem zabrać stąd pannę Liddell. Licząc, że nie zepsuję wam tym zabawy.

– Aha – Mab odwzajemniła mi się demonstracją uzębienia, słabo imitującą uśmiech. – Aha. Rozumiem. Wytłumacz mi jednak, dlaczego nasze odwieczne spory o hegemonię mają polegać na wzajemnym wyrywaniu sobie zabawek? Czy musimy zachowywać się jak dzieci? Czy nie możemy, ustaliwszy czas i miejsce, załatwić tego, co jest do załatwienia? Czy mógłbyś mi to wyjaśnić, Chester?

– Mab – odrzekłem; – Jeśli chcesz dyskutować, to ustal czas i miejsce. Ze stosownym wyprzedzeniem. Dziś nie jestem w nastroju do dysputy. Poza tym gracze czekają. Zabieram więc Miss Liddell i znikam, przestaję się narzucać.

– Po kiego grzyba – Mab, gdy się denerwowała, zawsze wpadała w jakiś okropny argot – i po kiego wała ci ten dzieciak, cholerny kocie? Dlaczego ci tak na nim zależy? A może to wcale nie chodzi o tego dzieciaka? Co? Odpowiedz mi!

– Powiedziałem, nie mam ochoty na dyskusje. Obejmuje to również odpowiedzi na pytania. Chodź tu, Alicjo.

– Ani mi się waż ruszyć, smarkulo – Mab zacisnęła palce na ramieniu Alicji, a twarz dziewczynki skurczyła się i pobladła z bólu. Z wyrazu jej ciemnych oczu wnosiłem, że chyba zaczynała rozumieć, w jaką grę tu się gra.

– Wasza Wysokość – rozejrzałem się i stwierdziłem, że Les Coeurs powoli mnie okrążają – raczy łaskawie zdjąć śliczną rączkę z ramienia tego dziecka. Bezzwłocznie. Wasza Wysokość raczy również łaskawie poinstruować swych sługusów, by wycofali się na przewidzianą protokołem odległość.

– Doprawdy? – Mab zademonstrowała dalsze zęby. – A jeśli nie raczę, to co, jeśli można wiedzieć?

– Można wiedzieć. Wtedy, ryża szelmo, ja też zachowam się nieprotokolarnie. Powypuszczam wątpia z całej waszej zasranej bandy.

I na tym zakończyło się gadanie. Les Coeurs zwyczajnie rzucili się na mnie, nie czekając, aż przebrzmi okrzyk Mab, a jej upierścieniona dłoń zakończy władczy gest. Rzucili się na mnie wszyscy, ilu ich było. Kupą.

Ale ja byłem na to przygotowany. Poleciały kłaki z ich ozdobionych karcianymi symbolami kubraków. Poleciały kłaki z nich. I ze mnie też, ale znacznie mniej. Przewaliłem się na grzbiet. Trochę to zmniejszyło moją ruchliwość, ale mogłem robić z nich sieczkę również za pomocą tylnych łap. Wysiłek pomału zaczął się opłacać – kilku Les Coeurs, zdrowo poznaczonych moimi pazurami i kłami, rzuciło się do sromotnej rejterady, lekceważąc wrzaski Mab, która w niewyszukanych słowach rozkazywała im, co i z czego mają mi wyrwać.

– A kto się w ogóle z wami liczy? – rozdarła się nagle Alicja, wnosząc do rejwachu zupełnie nowe nuty. – Jesteście talią kart! Tylko talią kart!

– Tak? – zawyła Mab, tarmosząc nią gwałtownie. – Co ty nie powiesz?

Jeden z Les Coeurs, kędzierzawy młodzian ze znakiem trefl na piersi, chwycił mnie oburącz za ogon. Nie znoszę takich poufałości, więc urwałem mu głowę. Ale inni siedzieli już na mnie i robili użytek z pięści, obcasów i krokietowych młotków, dysząc przy tym mocno. Zawzięci byli jak cholera. Ale ja też byłem zawzięty. Po chwili trochę się dokoła przeluźniło. Mogłem przejść od wojny pozycyjnej do manewrowej. Murawa była już diablo czerwona i diablo śliska.

Alicja z całej siły kopnęła Mab w goleń. Jej królewska wysokość zaklęła plugawie i strzeliła ją z rozmachem w twarz. Dziewczynka upadła, lądując na jednym z Les Coeurs, który właśnie usiłował wstać. Nim zrzucił z siebie Alicję, wydrapałem mu jedno oko. Temu, który starał się przeszkadzać, wydrapałem oba. Dwaj pozostali dali nogę, a ja mogłem wstać.

– No, kochana Queen of Hearts? Może wystarczy na dziś? – wydyszałem, oblizując krew z nosa i wąsów. – Może dokończymy innym razem, ustaliwszy wprzód czas i miejsce?

Mab poczęstowała mnie wiązanką, w której określenie „pręgowany skurwysyn" było najłagodniejszym, choć i najczęściej się powtarzającym. Najwyraźniej nie miała zamiaru odkładać konfliktu do innego razu. Kilku Les Coeurs ochłonęło już z pierwszego szoku i szykowało się do ponownego ataku. A ja byłem nieco zmęczony i ponad wszelką wątpliwość miałem złamane żebro. Zasłoniłem sobą Alicję. Mab wrzasnęła triumfalnie. Krzaki akacji rozstąpiły się nagle niczym Morze Czerwone. A stamtąd, zagrzewany do boju hałłakowaniem Les Coeurs, wybiegł truchtem Banderzwierz. Dokładniej, ładnie wyrośnięty egzemplarz Banderzwierza. Zgroźliwego Banderzwierza.

– Czapkę sobie z ciebie każę uszyć, Chester! – wrzasnęła Mab, wskazując Banderzwierzowi, na kogo ma się rzucić. – Jeśli zostanie z ciebie dość futra na czapkę!

Jestem kotem. Mam dziewięć żywotów. Nie wiem jednak, czy mówiłem wam, że osiem już wykorzystałem.

– Uciekaj, Alicjo! – syknąłem. – Uciekaj!

Ale Alicja Liddell nie poruszyła się, sparaliżowana strachem. Niezbyt się jej dziwiłem. Banderzwierz drapnął szponami murawę, jakby zamierzał wykopać stację metra albo tunel pod Mont Blanc. Zjeżył czarno-rudą sierść, przez co zrobił się blisko dwukrotnie większy, choć i tak był dostatecznie duży. Mięśnie pod jego skórą zagrały Dziewiątą Symfonię, ślepia zapłonęły piekielnym ogniem. Rozwarł paszczę w sposób, który mi bardzo pochlebiał. I rzucił się na mnie. Broniłem się zawzięcie. Dałem z siebie wszystko. Ale on był większy i sakramencko silny. Nim zdołałem wreszcie strącić go z siebie i odpędzić, dał mi solidny wycisk.

Ledwo trzymałem się na nogach. Krew zalewała mi oczy i stygła na bokach, a ostry koniec jednego ze złamanych żeber usilnie próbował szukać czegoś w moim prawym płucu. Alicja darła się tak, że w uszach świdrowało.

A Banderzwierz zamaszyście wytarł jaja o trawę, poruszył resztkami uszu, spojrzał na mnie spod poharatanych powiek i sponad broczącego nosa. Znowu rozwarł paszczękę. I zupełnie niespodziewanie ją zamknął. Zamiast znowu skoczyć i dobić mnie, stał w czarsmutleniu cichym. Jak dupa wołowa. Obejrzałem się odruchowo i powiadam wam, ostatni raz widziałem coś podobnego w „Narodzinach narodu Griffitha". Bo oto spomiędzy drzew szarżowała odsiecz. Ale nie była to US Cavalry ani Ku-Klux-Klan. Był to mój znajomy, niejaki Charles Lutwidge Dodgson. Wyglądał, powiadam wam, niczym święty Jerzy na obrazie Carpaccia, a uzbrojony był w miecz worpalny, ślący oślepiające migbłystalne refleksy.

Nie uwierzycie, ale Banderzwierz uciekł pierwszy. Śladem jego podkulonego ogona salwowali się ucieczką ci z Les Coeurs, którzy jeszcze władali nogami. A ostatnia zeszła z placu boju królowa Mab, plącząc się w atłasową suknię. Ja zaś widziałem to już jak przez napełnione buraczanym barszczem akwarium. A w chwilę później...

Przyrzeknijcie, że nie będziecie się śmiać. W chwilę później zobaczyłem królika o różowych oczach, patrzącego na cyferblat zegarka wyciągniętego z kieszeni kamizelki. A potem wpadłem do czarnej, bezdennej nory. Spadanie trwało długo. Jestem kotem. Spadam zawsze na cztery łapy. Nawet jeśli tego nie pamiętam.

– Ach – powiedział nagle Charles Lutwidge Dodgson, opierając się łokciem o wiklinowy koszyk z kanapkami. – Czy znasz, Kocie z Cheshire, to rozkoszne uczucie senności towarzyszące przebudzeniu o letnim poranku, gdy powietrze dzwoni ćwierkotaniem ptasząt, ożywczy wiaterek wieje przez otwarte okno, a ty, leżąc leniwie z półprzymkniętymi oczyma, widzisz, jakby wciąż śniąc, kołyszące się leniwie zielone gałązki, powierzchnię wody marszczoną złotymi falkami? Ach, wierzaj mi, Kocie, to rozkosz granicząca z głębokim smutkiem, rozkosz, która napełnia oczy łzami niby piękny obraz lub wiersz...

Nie uwierzycie. Nie zająknął się ani razu.

Piknik trwał w najlepsze. Alicja Liddell i jej siostry bawiły się hałaśliwie na brzegu Tamizy, po kolei wchodząc na przycumowaną łódkę i po kolei zeskakując z niej. Jeśli którejś zdarzyło się plusnąć przy tym w płyciutką wodę przy brzegu, piszczała przeraźliwie i wysoko unosiła sukieneczkę. Wówczas siedzący obok mnie Charles Lutwidge Dodgson ożywiał się lekko i lekko rumienił.

– And I have loved you oh so long... – zanuciłem pod wąsem, dochodząc do wniosku, że Marcowy Zając miał sporo racji w tym, co mówił.

– Słucham?

– „Greensleeves". Mniejsza z tym. Wiesz co, drogi Charlesie? Opisz to wszystko. Bajka, jak widać na załączonej ilustracji, z wolna jak gmach urosła i pełna jest postaci osobliwych. Czas, by to opisać. Tym bardziej, że początek już został zrobiony.

Milczał. I nie odrywał wzroku od piszczącej radośnie Alicji Liddell, unoszącej sukieneczkę tak, by dokładnie widać było majtki.

– Pół życia nas rozdziela – powiedział nagle cicho. – I czas, okrutnie szybko mknący. Nigdy już o mnie nie pomyśli w latach młodości nadchodzącej...

– Sugerowałbym raczej prozę – nie wytrzymałem. – Poezja się nie sprzeda.

Spojrzał na mnie i skrzywił się lekko.

– Czy mógłbyś się... hmmm... bardziej umaterialnić? – spytał. – To denerwujące patrzeć na twój uśmiech zawieszony w nicości.
– Dzisiaj, drogi Charlesie, nie potrafię niczego ci odmówić. Mam dług u ciebie.
– Nie mówmy o tym – powiedział z zakłopotaniem, odwracając wzrok.
– Każdy na moim miejscu... Nie mogłem przecież pozwolić, by ją... i ciebie... zabiła moja własna fantazja.
– Dziękuję, że nie pozwoliłeś. A tak między nami: skąd, chlubo jazd i piechot, miałeś miecz worpalny migbłystalny?
– Skąd miałem co?
– Forget it. Charlesie, odbiegamy od tematu.
– Książka opisująca to wszystko? – zamyślił się znowu. – Czy ja wiem? Doprawdy, nie wiem, czy potrafiłbym...
– Potrafiłbyś. Twoja fantazja ma siłę zdolną łamać żebra.
– Hmmm – zrobił ruch, jakby chciał mnie pogłaskać, ale rozmyślił się w porę.
– Hmm, kto wie? Może jej... spodobałaby się taka książka? Poza tym, uczelnia płaci marnie, zdałoby się parę funtów na boku... Oczywiście, musiałbym wydawać pod pseudonimem. Moja posada wykładowcy...
– Niezbędne jest ci porządne nom de plume, Charlesie – ziewnąłem. – Nie tylko ze względu na władze uczelni. Twoje rodowe nazwisko nie nadaje się na okładkę. Brzmi tak, jakby ktoś umierający na odmę płuc dyktował testament.
– Niesłychane – udał oburzenie. – Masz może jakąś propozycję? Coś, co brzmi lepiej?
– Mam. William Blake.
– Szydzisz.
– Emily Brontë.
Tym razem zamilkł i długo się nie odzywał. Panny Liddell znalazły na brzegu skorupkę szczeżui. Radosnym okrzykom nie było końca.
– Śpisz, Kocie z Cheshire?
– Staram się.
– No, to śpij tygrysie gorejący w gęstwie nocy. Nie będę ci przeszkadzał.
– Leżę na rękawie twojego surduta. Co będzie, gdy zechcesz wstać?
Uśmiechnął się.
– Odetnę rękaw.
Milczeliśmy długo, patrząc na Tamizę, po której pływały sobie kaczki i perkozy.
– Pisarstwo... – powiedział nagle Charles Lutwidge, sprawiając wrażenie raptownie przebudzonego o letnim poranku. – Pisarstwo jest sztuką martwą. Nadchodzi wiek dwudziesty, a ten będzie wiekiem obrazu.

– Masz na myśli zabawę wymyśloną przez Luisa Jacquesa Monde Daguerre'a?

– Tak – potwierdził. – Właśnie fotografikę mam na myśli. Literatura jest fantazją, a więc kłamstwem. Pisarz okłamuje czytelnika, wiodąc go na manowce własnej imaginacji. Zwodzi go dwuznacznością lub wieloznacznością. Fotografia nie kłamie nigdy...

– Doprawdy? – poruszyłem końcem ogona, co u nas, kotów, niekiedy oznacza szyderstwo. – Fotografia nie jest dwuznaczna? Nawet taka, która przedstawia dziewczynkę w wieku lat dwunastu, w dość dwuznacznym, daleko posuniętym dezabilu? Leżącą na szezlongu w dość dwuznacznej pozie?

Zaczerwienił się.

– Nie ma się czego wstydzić – poruszyłem znowu ogonem. – Wszyscy kochamy piękno. Mnie też, drogi Charlesie Lutwidge, fascynują młodziutkie kotki. Gdybym parał się fotografiką jak ty, nie szukałbym innych modelek. A na konwenanse pluń.

– Nigdy nikomu nie ppp... pokazywałem tych fotografii – niespodziewanie znowu zaczął się jąkać. – I nigdy nie ppp... pokażę. Choć trzeba ci wiedzieć, że był taki mmm... moment, gdy wiązałem z fotografiką pewne nadzieje... Natury finansowej.

Uśmiechnąłem się. Założę się, że nie zrozumiał tego uśmiechu. Nie wiedział, o czym myślałem. Nie wiedział, co widziałem, lecąc w dół czarną sztolnią króliczej nory. A widziałem i wiedziałem między innymi to, że za sto trzydzieści cztery lata, w lipcu 1996, cztery jego fotografie, przedstawiające dziewczynki w wieku od jedenastu do trzynastu lat, wszystkie w romantycznej i podniecającej wiktoriańskiej bieliźnie, wszystkie w dwuznacznych, lecz erotycznie sugestywnych pozach, pójdą pod młotek w Sotheby's i zostaną sprzedane za sumkę czterdziestu ośmiu tysięcy pięciuset funtów szterlingów. Ładną, jak na cztery kawałki obrobionego techniką kolotypową papieru.

Ale nie było sensu mu o tym mówić. Usłyszałem szum skrzydeł. Na pobliskiej wierzbie usiadł Edgar. I zakrakał przyzywająco. Niepotrzebnie. Sam wiedziałem, że już czas.

– Pora kończyć piknik – wstałem. – Żegnaj, Charlesie.

Nie okazał zdziwienia.

– Jesteś w stanie iść? Twoje rany...

– Jestem kotem.

– Byłbym zapomniał. Jesteś Kotem z Cheshire. Spotkamy się jeszcze kiedyś? Jak sądzisz?

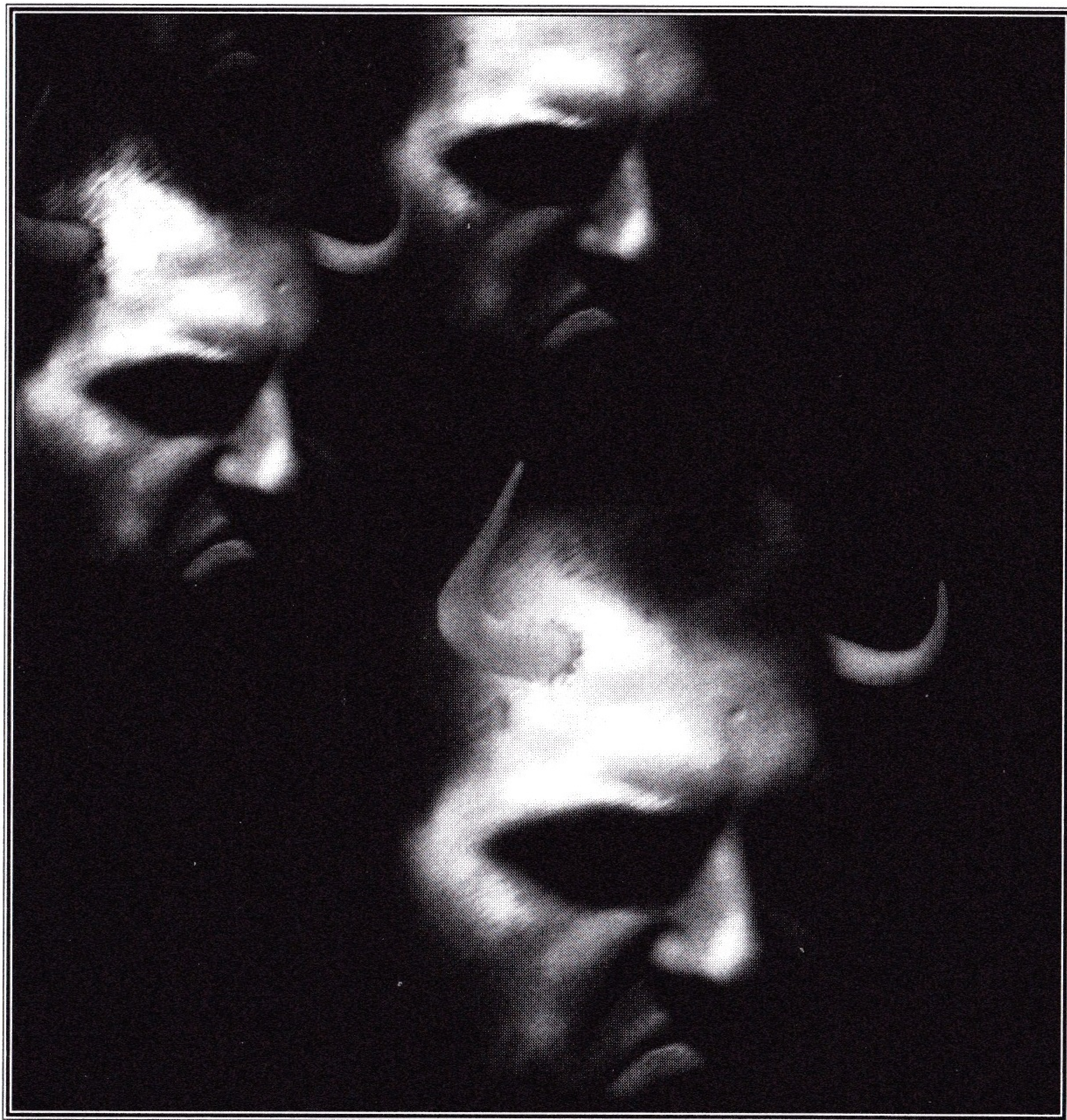
Nie odpowiedziałem.
– Spotkamy się jeszcze kiedyś? – powtórzył.
– Nevermore – powiedział Edgar.

I to byłby, moi drodzy, w zasadzie koniec. Będę się więc streszczał. Gdy wróciłem do Krainy, popołudnie trwało w najlepsze, bo czas płynie u nas nieco inaczej niż u was. Nie poszedłem jednak do Zająca i Kapelusznika, by wspólnie wypić wygraną w zakładzie flaszkę i pochwalić się kolejnym – po upartym Szekspirze – sukcesem w naprawianiu losów światowej literatury. Nie poszedłem do Mab, by spróbować załagodzić konflikt za pomocą banalnej, acz nadzianej komplementami konwersacji. Poszedłem do lasu, by poleżeć na konarze, wylizać rany i wygrzać futro na słońcu.
Tabliczkę z napisem: BEWARE THE JABBERWOCK ktoś złamał i wyrzucił w krzaki. Prawdopodobnie zrobił to sam Jabberwock, osobiście, bo zwykł był często to robić. Lubi zaskakiwać, a ostrzegawcza tabliczka psuje mu cały efekt zaskoczenia. Mój konar był tam, gdzie go zostawiłem. Wlazłem na niego. Spuściłem malowniczo ogon. Położyłem się, sprawdziwszy, czy gdzieś w okolicy nie kręci się Radetzky. Słoneczko przygrzewało. W gąszczu tumtumów i tulżyc wesoło kląskały peliczaple. Zbłąkinie rykoświstąkały. Jaszmije smukwijne robiły coś na pobliskim gargazonie, ale nie widziałem, co. Odległość była zbyt duża.

Było złote popołudnie. Było smaszno. I smutcholijnie. Jak to u nas. Zresztą, przeczytajcie sobie o tym sami. W oryginale. Albo w którymkolwiek z przekładów. Tyle ich przecież jest.

Gotyk

Jacek Dukaj



Jacek Dukaj (1974) – urodził się w Tarnowie, obecnie kończy studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Fantastyką zaraził się jeszcze w dzieciństwie i jak przyzwoity chory natychmiast zaczął zarażać innych. Zadebiutował w wieku 16 lat opowiadaniem *Złota Galera*, a potem wydał, między innymi, cztery książki (*Xawras Wyżryn*, *W kraju niewiernych*, *Czarne Oceany*, *Extensa*) oraz kilkadziesiąt opowiadań. Dwukrotny laureat nagrody im. Janusza Zajdla. *Gotyk* to tekst chory, wypaczony i szalony, który ma w sobie urok Frankensteina po przejściach. Nie wiem, czy lekturę można nazwać dobrą zabawą, ale... to wciąga!

Najwspanialsze twory człowiecze poczynają się z nienawiści, najczyściej lśni ostrze w ciemnościach nocy

Czaszki, żebra, kręgosłupy potrzaskane, czarne wykrzykniki kości udowych i ramiennych, strzępy skóry, a może ostatnich ubiorów, całunów trumiennych, w wiecznym cieniu i wilgoci, tak czy owak przegniłe do jednej cuchnącej, lepkiej masy, góra ludzkich szczątków, hałda organicznych starożytności wspina się pod chropowatą ścianą na wysokość pasa, piersi, oczu. Kiedyś byli trupami, dziś nawet nimi nie są. Zatrzeszczą, zagrzechoczą, kiedy przebiegnie szczur, rozsypią się w proch, gdy dotknie ich dłoń człowieka.

Krypta, tu spoczęli, w krypcie pod wiekowym kościołem. Jeszcze unosi się w chłodnym powietrzu echo liturgicznych śpiewów z celebry odprawionej kilka metrów ponad sklepieniem podziemnego grobu, w świecie światła i ruchu, jeszcze wsnuwa się w martwe nozdrza woń kadzideł. Ciepła jest wiosna tego roku – lecz wybiła już północ i czarne kamienie murów pocą się zimną wilgocią. Krople fizjologicznej wydzieliny budynku pozostają na palcach schodzących, bo mimo świec i pochodni, jakie niosą ze sobą, ręce odruchowo sięgają dla wymacania oparcia. Trudno utrzymać równowagę na nierównych stopniach, wyboiście ubitej ziemi, na czaszkach, żebrach, kręgosłupach.

– Panie Er, niechże pan postawi je tu, na sarkofagu.

Pan Er stawia posłusznie oba świeczniki i przystępuje do zapalania knotów. Milcząca procesja wyłania się z mroku. Krypta powoli napełnia się żółtym blaskiem; przedtem ciemność przynajmniej była martwa – teraz drga gorączkowo na granicy cienia.

Wszyscy noszą maski, większość także długie peleryny lub płaszcze, obszerne kurty, czarne albo czerni pokrewne: szare, brunatne, ciemnogranatowe. Maski stanowią szerokie konstrukcje z papieru, płótna i drewna, niekiedy także piór i cekinów, bardziej pasujące do kolorowych świateł weneckiego karnawału czy barokowego przepychu opery niż półmroku ciasnych kazamatów. Za to całkowicie kryją ich oblicza, czasami zasłaniając także usta i brodę, pozostawiając tylko otwory na oczy. Jeśli kaptur peleryny jest zsunięty, widać jeszcze włosy.

– Panie Ce, prosimy – rzecze wysoki, chudy brunet w masce roniącego krwawe łzy smoka, krzywy pysk szczerzy szklane kły, rdzawe łuski zachodzą mężczyźnie za uszy, pod szczękę.

Pan Ce występuje naprzód, korpulentny rudzielec, biała podobizna starożytnego bóstwa (Merkurego?) zakrywa mu twarz, mleczne pryzmaty wypełniają oczodoły, nie sposób stwierdzić, na kogo właściwie on patrzy. Pod pachą ściska czarną torbę lekarską.

– Gdzie? – pyta. Głos ma lekko zachrypnięty.

Płaczący Smok wskazuje najdalszy kąt pomieszczenia, przy hałdzie kości.

– Musimy wiedzieć.

Pan Ce kiwa głową. Kładzie torbę na wieku katafalku obok, otwiera ją, wyszukuje i wyjmuje kolejne przedmioty, dłonie ma w skórzanych rękawiczkach, szklane fiolki wyślizgują mu się spomiędzy palców.

Tymczasem do kąta krypty wchodzi dwóch dryblasów w żelaznych maskach, z łopatami w garściach. Zaczynają kopać, a raczej odgarniać ziemię, śmieci, kości, próchno drzewne i ludzkie. Nie trwa to długo, warstwa była bardzo płytka. Ktoś przysuwa jeden ze świeczników i oczom zebranych ukazują się zawinięte w ciemny płaszcz świeże zwłoki jasnowłosego mężczyzny. Leży na brzuchu, z rękoma wygiętymi za plecy, twarzą obróconą w lewo, od ściany.

Żelazne dryblasy strącają jeszcze z niego łopatami co większe grudy ziemi, po czym odstępują.

– Panie Ce.

Pan Ce podwija rękawy koszuli; przedramiona ma gęsto owłosione. Przyklęka przy trupie. Światło pada z tyłu, toteż mężczyzna przykrywa zwłoki swym cieniem jak kirem. Inni widzą tylko energiczne, zdecydowane ruchy rąk pana Ce, niczym dyrygenta albo operującego chirurga. Rach-mach-rach-mach, rach-mach-rach-mach i już, gotowe – wstał, otrzepał dłonie.

– Cisza teraz – nakazuje pogłosem, nie odwracając się do zebranych, którzy tłoczą się za jego plecami, zbita masa pozbawionych tożsamości postaci mocą nastroju chwili, a może bezsłownego obyczaju, zatrzymana dwa kroki od pana Ce. Nakazywał niepotrzebnie, cisza panuje i tak, chyba nawet wstrzymali oddechy.

Słyszą więc, czego normalnie by nie usłyszeli: mamrotane przez pana Ce, bez poruszania warg i zgoła bez otwierania ust, szybkie, rytmiczne frazy, powtarzane z zegarową cierpliwością. Słowa w nich zlewają się w jeden długi, basowy dźwięk, nie sposób rozpoznać nie tylko ich treści, ale nawet z jakiego języka pochodzą, nie jest to język tej ziemi.

Pan Ce spaceruje żwawo na owej niewielkiej przestrzeni, jaką mu pozostawiono, kilka kroków w te i we w te obok odkopanego ciała – i za siódmym nawrotem ciało się porusza. Najpierw drgnięcie wywichniętej ręki, potem trzepot

palców i epilepsja kończyn dolnych, wreszcie spazmy mimiczne i taniec gałki ocznej pod zaciśniętą powieką.

– A dokładnie, jak to było? – pyta cicho pan Ce, nadal nie odwracając się, skupiony na szarpiących się w płytkim grobie zwłokach. Przystanął i założył ręce za plecami.

– Wszedł niespodzianie – odpowiada Płaczący Smok. – Strażnik na schodach zdjął go od razu. Sztylet w serce.

– Dobrze, że nie w gardło. Zdążył coś powiedzieć?

– No przecież gdybyśmy mieli okazję go przesłuchać, nie trzeba by było...

– Cokolwiek. Słowo. W jakim języku. Bo dokumentów żadnych przy sobie nie miał, prawda?

Płaczący Smok rozgląda się po krypcie.

– Panie Wu!

Na co pada okrzyk z głębi:

– Nie rzekł nic!

Pan Ce kiwa głową.

Trup zdążył się przez ten czas nieco uspokoić. Doktor cmentarny klęka przy jego głowie, głaszcze go po zlepionych brudem blond włosach. Trup, nie unosząc powiek, instynktownie wtula twarz w gładką, ciepłą orękawicznioną dłoń. Z jego krtani uchodzą jękliwe, bulgoczące dźwięki, na które pan Ce reaguje krzywym uśmiechem, widocznym pod krawędzią białej maski.

Nachyla się jeszcze głębiej.

– Po co tam schodziłeś? – zaczyna szeptać. – Po co? Powiedz. Jak to się stało? Miałeś rozkaz, ja wiem. Co ci powiedzieli? Skąd wiedzieli? Skąd wiedziałeś? Powiedz!

Trup otwiera usta. Wypełza z nich dżdżownica, potem – powolne słowa.

– On... on mnie.... a-ale jjja nic nie zrobiłem, dlaczego on... booooli! – I już prawie szlochając: – Mnie nożem, zbój w kościele, o Boże, czy on, czy on... czemu się ruszać nie...? Będę żył, prawda? Pan mi pomoże, proszę pana...

Doktor cmentarny gładzi go uspokajająco po policzku.

– Już, już, już dobrze, będzie dobrze. Powiedz tylko. Kazali ci tam pójść? Śledziłeś ich może? Co? Kazali? Czego tam szukałeś?

– Głupi, głupi, jeden po drugim schodzili, zauważyłem, że... i jeszcze wszyscy oni... Z ciekawości. Matko Przenajświętsza, dlaczego tak boli, niech pan...

– Ciiii.

Pan Ce unosi głowę, obraca Hermesowe oblicze ku Płaczącemu Smokowi. Ten wzrusza ramionami.

– Proszę pana, proszę pana...! – jęczy martwy blondyn. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Mówi prawdę? – pyta zakapturzony mężczyzna w masce szalonego błazna.

– Na początku zawsze mówią – stwierdza doktor trupów. – Łgarstwa trzeba dopiero się nauczyć, łgarstwo trzeba wymyśleć; prawda przychodzi najłatwiej.

– To nam wystarczy – rzecze Płaczący Smok.

Pan Ce po raz trzeci kiwa głową.

Stękając, przewraca zwłoki na plecy. Blondyn zaczyna recytować litanię do Matki Boskiej. Prawa połowa jego twarzy jest czarna, zaskorupiała wilgotną ziemią, łącznie z okiem. Walczy o otwarcie oka lewego. Mamrocze słowa modlitwy, coraz szybciej. Kończyny podrygują w nieregularnych skurczach, połamane paznokcie drapią naokoło.

Koszula na piersi trupa przesiąknięta jest krwią, teraz już twardo skrzepniętą. Pan Ce łamie strup, rozdzierając energicznym szarpnięciem tkaninę; jeden z rogowych guzików strzela do góry i odbija się od drewnianej maski doktora, tsztuk, po czym ginie w półmroku krypty.

Nie podnosząc się, pan Ce sięga wzwyż, w prawo, do wnętrza torby. Coś wyjmuje, lecz dopiero, gdy jasny błysk przeszywa kryptę, widzą, co doktor przyłożył do torsu trupa: krótki, prosty nóż chirurgiczny. Rach-mach, rach-mach – krew oczywiście nie płynie, a i jęki młodzieńca są tylko odrobinę głośniejsze, za to sucha skóra pęka z ostrym trzaskiem, zgrzyta stal ześlizgująca się po mostku i żebrach. Na koniec pan Ce rozwiera klatkę piersiową samymi orękawicznionymi dłońmi, wbijając zakrzywione palce w świeże mięso. Blondyn usiłuje unieść głowę i zajrzeć sobie do wnętrza piersi, lecz nadal nie jest w stanie nawet otworzyć oczu.

Dogrzebawszy się do serca – małego, czarnego, nieruchomego mięśnia – pan Ce sięga po flaszeczki pełne gęstego oleju, tajemnych ingrediencji. Wylewa, wysypuje, wytrząsa je wprost w ciemną jamę w korpusie mamroczącego trupa.

– Matko miłosierdzia, matko litości i łaski, matko ofiarności i dobroci...

Szept doktora śmierci jest wobec tej litanii prawie niesłyszalny; zapewne znowu powtarza rytmicznie obcojęzyczne formuły. Modlą się obaj, jeno bóstwa różne.

Pan Ce prostuje się, szybkim ruchem zdejmuje świecę ze świecznika, wciska ją płomieniem w dół w otwartą pierś zabitego, po czym odskakuje.

Zielony płomień bucha na krótką chwilę na metr wzwyż, trup zgina się prawie w pół, rozchyla się lewa powieka, czerwone białko łypie w panice, krzyk przeraźliwy, wysoki i wibrujący, wyrywa się z brudnych ust. Zaraz opada, ginie, połknięty przez ciemność jak i sam trup, znowu kawał martwego ciała, bezduszna zgnilizna.

Pan Ce powoli wyciera dłonie – to znaczy skórzane rękawiczki – w białą szmatę, zapina mankiety koszuli, chowa do lekarskiej torby swoje akcesoria... Mleczne pryzmaty spoglądają na Płaczącego Smoka.

– Zakopcie go z powrotem – rzecze ten.

Dryblasy w żelaznych maskach przystępują do pracy, szczękają łopaty.

Uwaga zebranych powoli odwraca się od tego kąta krypty i tłum się spontanicznie reorganizuje, tworząc ciasny krąg wokół Płaczącego Smoka i drugiego świecznika. Cienie łopoczą na ścianach, w motylim rozedrganiu zachodząc na siebie i odskakując na boki, po cegłach, po głazach, po trumnach, kościach, sarkofagach. Plamy światła natomiast kładą się bliżej: na tych lśniących, wypolerowanych obliczach z drewna i papieru, zamrożonych w upiornych minach, grymasach zwierzęcych, wytrzeszczach pustych oczodołów. Tu tylko pióro zafaluje, tylko cekin błyśnie.

– Panowie – zaczyna cicho Smok – to dobra nowina i Bogu winniśmy dziękować, że ów nieszczęśnik nie okazał się posłanym za nami agentem.

– Nie trzeba go było od razu zabijać.

– Nie ma pan racji, panie En – rzecze Płaczący Smok. – Pan Wu słusznie uczynił i podobnego zdecydowania spodziewam się także od tego, co dzisiaj pełni wartę, jak i od przyszłych strażników. Dobrze wszyscy wiemy, jaki jest los nieostrożnych. My, którzy poświęciliśmy sprawie nasze życia, poświęcić musimy także nasze sumienia, jeśli poświęcenie życia ma mieć jakikolwiek sens. Inaczej po prostu zginiemy malowniczą śmiercią, jak oni wszyscy.

Pan En – siwy włos nad ptasią maską, zgarbione plecy pod czarną peleryną – nie ugina się wobec nieustępliwego spojrzenia Smoka.

– Nie mylę się, sądząc, iż jest to uwertura do pana właściwej propozycji – bardziej stwierdza, niż pyta. – Pan nas tak perfidnie zmiękcza, krok po kroku. Skoro istotnie obawiał się pan zdrady i zasadzki, czy dla przesłuchania tego biedaka musiał pan raz jeszcze sprowadzać tu nas wszystkich? To dopiero jest głupota i niepotrzebne ryzykanctwo! Ale nie, pan doskonale wie, co czyni: mieliśmy być świadkami, mieliśmy stać i patrzeć, zaakceptować konieczność, bez słowa przyznać rację środkom. I staliśmy, patrzyliśmy. A teraz powie pan swoje, panie El.

Pan El, pan Smok milczy. Milczy, gdy starzec mówi, milczy, gdy zapada cisza. I im dłużej milczy, tym bardziej rośnie jego władza nad zebranymi, i tym drobniejszy i bardziej wystraszony zdaje się pan En. Nie widać twarzy żadnego z nich, lecz gadzi pysk w płynnej oblewie światła i cienia przybiera szyderczy, groźny wyraz.

Żelazne dryblasy zakończyły tymczasem swoją pracę. Pan El odprowadza ich wzrokiem, kiedy chowają w kącie łopaty. Opiera się o trumnę, lewa ręka spoczy-

wa na pękniętej czaszce, pan El machinalnie ją podnosi i obraca w dłoni. Ktoś parska śmiechem. Płaczący Smok dmucha czaszce w oczodoły.

– Czyż nie zgadzamy się już wszyscy co do celu? – pyta retorycznie. – Czyż problemem naszym nie pozostaje w tej chwili jedynie nieskuteczność metod? Wspomnijcie pana Ka: była decyzja, był plan, była okazja. A on zawiódł. Dlaczego?

– Ponieważ jednak najwyraźniej zgoda co do celu nie jest tak zupełna – rzecze prędko pan En. – Albowiem w ostatecznym rozrachunku również ten mord nie byłby celem, jeno środkiem, słuszność którego można i należy kwestionować. Pan Ka się zawahał, pan Ka dopuścił do głosu sumienie.

– Otóż to! A dlaczego?

– Ponieważ jest człowiekiem – syczy starzec.

Płaczący Smok chyli przed nim głowę.

– A zatem rozumiemy się doskonale. Póki wykonanie należeć będzie do człowieka i do ludzkiej ręki cios ostatni, póty nie możemy być pewni sukcesu. Takie historie, jak pana Ka, będą się powtarzać i nawet w najdogodniejszej sytuacji najgorliwiej się tu nam zaprzysięgający – zawaha się, cofnie, odstąpi przed majestatem. Tu trzeba serca twardego i głowy zimnej. A my co?

– Jaka zatem jest pańska propozycja? – pyta wysokim głosem młodzian w masce upiora.

– Moja propozycja... – Pan El rozgląda się dokoła, aż wyławia wzrokiem w chybotliwym cieniu białą jak kość twarz Merkurego; pan Ce spakował się już i doprowadził do porządku po czarnych obrzędach, teraz stoi w milczeniu z lekarską torbą pod pachą, mleczne kryształy gapią się ślepo na Płaczącego Smoka.

Pan El wyciąga rękę i odwróconą czaszką wskazuje doktora. Doktor składa lekki ukłon.

– Nawet nie ma pan odwagi powiedzieć tego głośno! – parska pan En. – Cóż takiego wymyślił pan wraz ze swoim szatańskim przyjacielem?

Na te słowa Płaczący Smok po raz pierwszy okazuje irytację. Odrzuciwszy rozpęknięty czerep występuje ku starcowi, nachyla się nad nim. W owym ruchu, w pozie zawarta jest oczywista groźba, lecz gdy przemawia, głos prawie łamie mu się od nagle uwolnionego żalu.

– Dlaczego mówisz do mnie, jakbym był twoim wrogiem? Dlaczego dopowiadasz moim zamiarom podłe motywy? Wyprzesz się mnie teraz? To ty mnie wszystkiego nauczyłeś, od ciebie przejąłem ideały, wszystko, w co wierzę i dla czego gotów jestem oddać życie. Więc teraz, kiedy pojawia się szansa na zwycięstwo, choćby cząstkowe, jak powiesz małe i o niczym nieprzesądzające, jakim wszakże wy, ty i twoi towarzysze, nie możecie się jak dotąd poszczycić... więc te-

raz... – pan El musi przełknąć ślinę, słowa z trudem przeciskają się przez krtań – teraz ja jestem zły, teraz jestem przeniewierca, niegodny, diabeł i przeklętnik, bo kto tu królobójstwo był planował, kto monarszej krwi przelanie zaprzysięgał? Aniołowie! Święci!

– Przecież wiesz – rzecze cicho pan En. – Przecież nie muszę ci tłumaczyć. Nie mówisz teraz do mnie, mówisz do nich. Bo ty wiesz najlepiej. Racje, dla których godzimy się na czyny, na jakie się godzimy – one płyną z tego samego źródła, które ty teraz chcesz zbrukać, nurzając się w owych nieczystościach. Nie istnieją ideały absolutne, niezależne od wszystkich innych, których nic nie może dotknąć i nic nie ma na nie wpływu. Jeśli dla prawdy musisz zabijać, niewiele warta taka prawda. Kiedy dla zachowania życia musisz kłamać – cóż znaczy takie życie? Każdy ideał mierzony jest względem pozostałych ideałów. I jeśli teraz ty...

– O! Kazanie o moralności, jakżeby inaczej! To zawsze dobra strategia: nie ma takiego człowieka, takiego czynu i myśli, w których nie znalazłbyś grzechu. Więc najlepiej nie róbmy nic! Tylko że tak naprawdę twój sprzeciw budzi zupełnie co innego. Słusznie sam rzekłeś: nieczystość. Bo żebyśmy to samo przeprowadzili w marmurowych pałacach, w perfumowanym jedwabiu, wierszem pięknym i pod jasnymi sztandarami, samemu nie widząc, nie dotykając – o, to proszę, a jakże, słowa byś nie rzekł. Ale że śmierć w dekoracji śmierci, że brud w brudzie, krew w krwi i ciemność w ciemności – uuu, obrzydlistwo, poniżej naszej godności, żadnego w tym romantyzmu nie ma, żadnej glorii. Bo owszem, można nawet zabić, nawet samemu zginąć, byle zachowując pozory. Prawda? Prawda?

Ten spór nie ma końca, mogą tak godzinami, słowa przeciwko słowom, gad przeciwko ptakowi, wzajem się karmiąc i podjudzając. Większość zapewne zna ich argumenty na pamięć, słuchają ich teraz tak, jak się słucha rytualnej deklamacji, refrenu nudnego a koniecznego obrzędu. Rychło więc zaczynają się tłumione przez maski szepty, powolne rozmowy, ruch niecierpliwy na granicy cienia.

Ci dwaj spierają się nadal – aż trzeci głos wybija się ponad ich głosy, zdanie po zdaniu przyciągając uwagę kolejnych spiskowców, tak rozchodzą się po krypcie kręgi ciszy, na koniec milkną wszyscy prócz niego: pan Ce nadal mówi, cicho, niespiesznie, w stałym rytmie, roztargniona recytacja.

– ...ze stali, nie z gliny. W roku pańskim tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim, trzydziestego pierwszego marca, w mieście saraceńskim Grenadzie, dopiero co zdobytym przez chrześcijańskie wojska dzięki żydowskiemu złotu, król Ferdynand i królowa Izabella podpisali edykt o wygnaniu wszystkich żydów z Kastylii i Aragonii, pozbawiając domu i majątku setki tysięcy rodzin. Rabi Izaak Meszucha mocą Słowa powołał do służby Obrońcę, jak od wieków

w czasach strachu i opresji czynili mistrzowie Kabały – z gniewu, ze strachu właśnie i dla zemsty. Podług Księgi Stworzenia, Sepher Yetzirah, gdzie Drzewo Życia rozwija się w słowach i znakach, tak on – przemieszał je, zważył, transformował, Alef z nimi wszystkimi i wszystkie z Alef, Bet z nimi wszystkimi i wszystkie z Bet, powtarzają się w cyklu i istnieją w dwustu trzydziestu jeden Wrotach, bo wszystko, co jest uformowane, i wszystko, co jest wypowiedziane, pochodzi z Imienia. Jego prawdziwe imię jest oczywiście nieznane; większość nieprawdziwych również zapomniano. Zwano go Młotem, Marcusem, Dziadkiem Stalą, Abuelo Acero, Carnifexem, Carnicero, Mactare, Ish, Beluą, Pugnusem, Adamasem. Przetrwał w setce legend i tysiącu koszmarów. Można go dojrzeć w rogach obrazów, w tle fresków, w ułomnych formach rzeźb, uwiecznianego na przestrzeni wieków przez artystów śmierci, piekła, cierpienia i rozkładu. Jego to rodzaju wołanie rozlega się z Psalmu Dawidowego, kiedy chwalimy Boga tymi słowy: „Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie, godne podziwu są Twoje dzieła. I dobrze znasz moją duszę, nie tajna Ci moja istota, kiedy w ukryciu powstawałem, utkany w głębi ziemi. Oczy Twoje widziały me czyny i wszystkie są spisane w Twej księdze; dni określone zostały, chociaż żaden z nich jeszcze nie nastał". Lecz oni, którzy utkali Abuelo Acero – oni nie znali z góry wszystkich jego czynów. Przypisuje się mu niezliczoną ilość mordów. Na początku był zaiste strażnikiem, obrońcą Ludu Wybranego, strzegł ich w diasporze, usuwał wrogów, pomagał przyjaciołom. Ale czas mijał i ci, co znali Imię Dziadka Stali i mogliby obrócić go w proch – sami obrócili się w proch. Nie pozostał nikt, kto by nad nim panował, i nikt, kto mógłby wydawać mu rozkazy. Postępował więc z pamięci przyzwyczajeń, odgadując swoje cele i domyślając się powinności. Na koniec musiał radzić sobie sam, samemu dbać o przetrwanie i rekonstruować się z dostępnych materiałów. Podejmował się za złoto rozmaitych zadań, byle nie stojących w sprzeczności z dawnymi rozkazami. Musiał też samemu zacząć zgłębiać sekrety Kabały, by przeprowadzić rytuały podtrzymujące go w istnieniu. Skupował stare teksty i rzadkie substancje od pośredników w całej Europie, a ci z kolei kontaktowali go z ludźmi zainteresowanymi jego usługami. Wymieniłem z nim listy przez Buchhandlung Herr Lintzera. Marcus Mactare nigdy się nie zawaha, nie zarzuci raz podjętego zamiaru, nie cofnie się przed żadną koniecznością. Wykona, co przyrzekł. Nie powstrzyma go ni zimne ostrze, ni słowo święte, ni pistoletowa kula. Nie ma serca. Kawał starożytnego żelastwa poruszany Słowem. Jedna myśl: ratsach, ratsach, ratsach. Najwspanialsze twory człowiecze poczynają się z nienawiści.

Doktor trupów zamilkł, a oni przez długą chwilę wsłuchują się jeszcze w jego milczenie. Pod ścianą przebiega szczur, zwraca się ku niemu kilka masek – dopiero to wytrąca ich z zasłuchania.

– Khm, o czym właściwie pan mówi? – skrzeczy przez suche gardło pan En. – O jakimś przeklętym żydowskim golemie?

– Bo co? – atakuje bez zwłoki Płaczący Smok. – Bo to może być tylko durny młodzian o gorącej głowie, jeden, siódmy, dwudziesty, krew ich wszystkich na naszych rękach, gdy giną w skazanych na niepowiedzenie próbach – to jest w porządku, to jest dobre, na to się zgadzamy. Ale morderca, który nie zawiedzie, zimne żelazo bezduszne – o, nie, to wbrew tradycji, jak o tym pieśń ułożyć, jak rozczulić dziatki...

Wchodzi mu w słowo Upiór o wysokim głosie:

– Więc jak? Przesądzone już? Otrzymał zlecenie? Zapłacono mu? Kiedy zabije?

– Jutro w nocy – ucina pan El.

– Posłałem mu zaproszenie – rzecze pan Ce. – Powinien się tu zjawić.

– Wot i słowność potwora! – szydzi starzec.

Na co wielki hałas i ruch poczyna się w hałdzie kości i trumiennych szczątków, zgnilizna osypuje się po zgniliźnie, toczą się po ziemi brązowe czaszki, trzeszczy drewno. Ludzie odskakują, ktoś przewraca jedną ze świec. Nagła rekofiguracja tłumu zaburza ustaloną równowagę między światłem a cieniem. Cień, ośmielony, rzuca się naprzód i pod jego to płaszczem występuje z ukrycia za hałdą, w łomocie i zgrzycie ciężkiego metalu, Abuelo Acero, Dziadek Stal.

Stal jego kończynami, stal jego torsem, stal jedynym okryciem, stalowy grawerunek – martwą twarzą, stal, gdzie serce. Zatrzymał się, stoi. Jest niski, niższy od najniższego ze spiskowców. Proporcje jego metalowego ciała przywodzą na myśl małpią anatomię: absurdalnie szerokie bary, łapy sięgające prawie kolan, głowa jak młot, podana w przód, osadzona na karykaturalnie grubym karku. Stopy wielkie, płaskie, rozcapierzone w trudną do zliczenia ilość guzlastych paluchów, z których jedne są dłuższe, inne krótsze, jedne gładkie, inne kolczaste, jedne proste, inne zakrzywione. On w ogóle jest asymetryczny, zbudowany z nie pasujących do siebie części, poskładanych w chaotyczną całość. Tylko w zarysie przypomina człowieka. Żebra – z lewej siedem, z prawej pięć – stanowią kolekcję wygiętych do wewnątrz ułamków ostrzy szabli, bułatów, mieczy, kindżałów, kordelasów, pochodzących z różnych czasów i kultur, na niektórych można jeszcze dojrzeć wykute napisy, litery łacińskie i arabskie. Pierś kryje gruba łatanina rozmaitych blach, pancerzy, fragmentów zbroi, ryngrafów, tarcz heraldycznych, a to, co służy za prawy obojczyk, pochodzi chyba z lokomotywy czy innego potwora ognia i pary. Z prawego uda

wyrasta grzebień żeliwnych guzów uformowanych w miniaturowe maszkarony. Lewy bark, pokryty obłą ćwiartką dzwonu, jest wyższy, masywniejszy, lewe ramię powstało chyba z rozerwanej lufy armatniej; Marcus wydaje się przechylać na tę stronę. W istocie stoi prosto, w bezruchu właściwym przedmiotom martwym. Nie unosi wszak jego piersi żaden oddech, nie mrugają jego oczy. Nie posiada zresztą powiek. Te oczy – to płytkie wgłębienia w rzeźbionej tarczy twarzy. Płaska płyta oblicza, przynitowana do ciężkiego łba na policzkach i podbródku, ryta jest w prymitywny wzór sugerujący istnienie w tym ciemnym metalu ust, nozdrzy, uszu, oczu właśnie. Ale nadal jest to jedynie symbol twarzy, nie twarz. By zwiększyć podobieństwo, pomalowano go niegdyś w barwach różu, czerwieni i czerni; malunek częściowo zszedł, najlepiej zachowały się wysokie łuki brwi, pociągnięte grubo, na wschodnią modłę, oraz blade migdały policzków – niczym z prawosławnych ikon. Odmalowano mu także ciemne gwiazdy źrenic, lecz i one zgasły. Dziadek Stal spogląda na kryptę oczyma absolutnie bezbarwnymi jak owe starożytne posągi Apollinów i Aten. Nad szerokim kowadłem czoła rozciąga się wyszczerbiona kryza, fragment rycerskiego hełmu stanowiący część zwartej kopuły czaszki. W cieniu kryzy ginie wykuta w żelazie hebrajska litera. Podobnie pod okapami barków i miednicy niewidoczne są zawiasy, na których umocowano potężne kończyny: nogi i ręce to sploty stalowych wstęg, spiral, żebrowanych prętów, ciągów obręczy – każda kończyna niepodobna do innych. U lewej dłoni ma cztery palce, u prawej – siedem, w tym dwa kciuki (paznokieć jednego z nich to język pistoletowego spustu). Pod wałem miednicy żadne stalowe przyrodzenie nie piętnuje Belui znakiem płci – należy do płci Słowa, jest rodzaju Wypowiedzianego.

Stoi, czeka. Nikt nie ma odwagi odezwać się doń, nikt nie ma odwagi wykonać pierwszego ruchu. Jak odsunęli się ze strachu, gdy się objawił, tak pozostają stłoczeni w cieniu. Stal lśni w migotliwym blasku świec.

Oddychają szybko; to słychać – ich oddechy. Maski nieruchome, zwrócone w okręgu ku metalowemu posągowi: zwierzęta, bogowie, błazny, kolorowe alegorie; tylko oczy żywe w wąskich otworach. Obłoki ciepłej pary przed maskami.

Nareszcie pan En wyrywa się z kręgu. Spluwa, okręca się na pięcie i wychodzi, zawijając zgarbione ciało w czarną pelerynę; wraca echo jego kroków na pogrążonych w ciemności schodach.

Za nim podążają kolejni, odwracając się jakby ze wstydem, szybko kryjąc się pod kapturami, bez słowa, unikając nawzajem swego wzroku – jeden, drugi, trzeci, wydaje się, że tłum podjął decyzję, wychodzą wszyscy. Ktoś zabrał świeczniki, pozostało jedynie kilka samotnych świec – na trumnie, na sarkofagu, na wystającej cegle.

Pan El, zanim wyjdzie, sięga za pazuchę i wyjmuje pękaty mieszek. Carnicero unosi prawicę, rozwiera palce. Mieszek brzęczy, gdy uderza we wnętrze jego dłoni. Carnicero zamyka pancerną garść.

Pan El wychodzi. Na pierwszym stopniu ogląda się jeszcze przez ramię; potem wybiega pośpiesznie do kościoła.

Pozostał tylko doktor trupów. Ściska pod pachą swoją torbę. Białe oblicze Hermesa wpatruje się w kanciasty półprofil Dziadka Stali.

Abuelo Acero obraca głowę ku doktorowi, jakby istotnie widział go płytkimi grawerunkami oczu.

– Jutro dostaniesz list z informacją o miejscu jego pobytu następnej nocy – mówi doktor. – Po próbie pana Ka stał się bardzo ostrożny, przenosi się co chwila. Mamy człowieka na dworze, więc...

Pan Ce milknie, a ponieważ Belua milczy również, ponownie zapada ciężka cisza. Ich twarze – ciemna, metalowa i biała, kościana – trwają w bezruchu, zwrócone ku sobie.

– Jeśli... – zaczyna doktor szeptem, lecz traci dech po pierwszym słowie. Przekłada torbę z ręki do ręki, oblizuje wargi. – Przecież widzę, że przez te setki lat zdążyłeś wymienić się prawie całkowicie, część po części. Jesteś teraz na swoje własne rozkazy; sobie posłuszny i mocą przez siebie wypowiedzianego Słowa poruszany – ożywiłeś sam siebie. Tak poczynają się bogowie. Tak rodzą się religie. Ja...

Ale Carnicero nadal milczy.

– Czy ty w ogóle potrafisz mówić? – rzuca pytanie pan Ce, nie czeka wszakże na odpowiedź. – Tak czy owak, wiem, że posiadasz wiedzę stawiającą cię na równi z największymi mistrzami Sztuki naszych czasów. Obaj możemy bardzo skorzystać na tej współpracy. Tak naprawdę musisz się przecież bez przerwy ukrywać. Niewiele jest miejsc, gdzie możesz się bez obawy pokazać, nie masz dostępu do tylu ludzi, przedmiotów, informacji. Mógłbyś na mnie polegać. Zapewniłbym ci wszelkie...

Coś zaczyna się obracać we wnętrzu Dziadka Stali, pancerny zegar, zębate tryby między żelaznymi miechami. Nie porusza głową, nie zmienia się płaskorzeźba jego oblicza, a jednak zza płyt piersiowych dochodzi, między szumem i klekotem, zgrzytliwy głos, w nieludzko równym rytmie formułujący kolejne sylaby, słowa, zdania.

Oto mówi:

– Sługi sam sobie sporządzam. Nie pożądam, tkkkkkt, człowieczych hołdów. Cóż one mnie. Książęta, tkkkkkt, przede mną klękali, królowie przede mną, tkkkkkt, klękali, cesarze, papieże. Widziałem, tkkkkkt, narodziny i upadek impe-

riów, tkkkkkt, stąpałem po ich gruzach. Widziałem miasta, tkkkkkt, w ogniu, miasta pożarte przez pustynie, tkkkkkt, połknięte przez morza, kroczyłem ich ulicami, tkkkkkt. Spacerowałem przez żar wulkanów i, tkkkkkt, zmrażające wszelkie życie wichry krain lodu, tkkkkkt. Widziałem bitwy tak okrutne, tkkkkkt, że konie dusiły się od smrodu krwi, tkkkkkt, pobojowiska sięgające od horyzontu, tkkkkkt, po horyzont, groby jak kopalnie trupów, tkkkkkt. Brałem udział w tych bitwach. Stałem na blankach, tkkkkkt, niezdobytych twierdz i zdobywałem te, tkkkkkt, twierdze. Słuchali mnie wodzowie ludów Proroka, tkkkkkt, i Ukrzyżowanego, najwięksi rycerze, tkkkkkt, skłaniali przede mną głowy. Mój miecz zmieniał, tkkkkkt, granice mocarstw i linie dynastii, tkkkkkt. Powoływałem do życia i powoływałem, tkkkkkt, do śmierci; powoływałem do sławy, tkkkkkt, i zrzucałem w zapomnienie. Biskupowie, tkkkkkt, i scholarzy popadali z mej przyczyny, tkkkkkt, w obłęd. Bogów i religie wykuwałem, tkkkkkt, ja. Pierwszy jest kult strachu, drugi jest kult pożądania, tkkkkkt. Stworzony. Nie pamiętam, żebym został, tkkkkkt, przez kogokolwiek stworzony. Sam się stwarzam, tkkkkkt, nieustannie. Wy jesteście rdzą na moich, tkkkkkt, palcach. Precz.

Jego ton nie zmienia się do samego końca; ni ton, ni rytm, ni barwa głosu, jednaki metaliczny hurgot, tchnienie stalowych płuc – lecz zimna groźba zawarta w ostatnim słowie zdaje się tak oczywistą, że pan Ce nie waha się ani sekundy. Póki Marcus mówił, należało stać bez drgnięcia, lecz teraz doktor trupów zrywa się z miejsca, prawie biegiem dopada schodów i znika w ich mroku, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Słychać przez chwilę pośpieszny tupot jego stóp i istotnie Abuelo Acero przez tę chwilę jeszcze trwa zatrzymany w pozie, jakby nasłuchując. Potem wraca za hałdę kości, podnosi i rozkłada obszerną, czarną pelerynę, zawija się w nią szczelnie, na głowę naciągając ciężki kaptur – barczysty mnich o kroku jak uderzenie kowalskiego młota – i tak wychodzi na świat.

Kiedyś była to sypialnia pięknej kobiety. Abuelo Acero stoi przy szeroko otwartym oknie, nagi, to znaczy jeno w stali. Drewniany karzeł kuśtyka po pokoju, powłócząc wszystkimi siedmioma kończynami. Zegary miasta biją ósmą, zachodzi Słońce.

Kiedyś była to sypialnia pięknej kobiety, pozostałości okolonego czerwonymi frędzlami baldachimu ponad wysokim łożem powiewają w ciepłym, majowym wietrze płynącym nieregularnymi falami znad miasta. Reszta wystroju pomieszczenia pozostaje w bezruchu, zbyt ciężka dla poruszenia przez najsilniejszy nawet

wiatr. Ze ścian zwisają długie łańcuchy o ogniwach wielkich jak pięść i drobniejszych od obrączki; pod ścianami piętrzy się złom, żelazne piecyki, pęknięte kotły, wiadra blaszane, pogięte rury, piły, kleszcze i młoty, żeliwne płyty, fragmenty kunsztownych odlewów, parkanów, krat, rwanych z nitami okuć, nawet latarni ulicznych. Część przedmiotów z tej kolekcji zatraciła ostatnie cechy swej pierwotnej funkcji, nie sposób odgadnąć, jakie mogło być przeznaczenie owych amorficznych brył stali, sztuka, nie sztuka, artystyczne cierpienie metalu. Parkiet pokrywają opiłki i pył żelazny, każde stąpnięcie karła odzywa się donośnym zgrzytem i wizgiem.

Karzeł krząta się dokoła Dziadka Stali. Drewniane łapy ściskają butlę oliwy, kłąb wełny, drucianą szczotkę. Belua jest czyszczony, polerowany, pucowany. Gdyby w pokoju paliło się jakiekolwiek światło, zalśniłaby w nim promiennie ciemna stal – lecz światło nie jest potrzebne żadnej z tych istot. Ani też słowa. Nikt tu nic nie mówi. Drewniany karzeł starannie oliwi ciało swego pana. Jest zbyt niski, by sięgnąć jego górnych partii, więc przynosi sobie chybotliwy stołek i wspina się nań. Konstrukcja karła nawet nie stara się symulować ludzkiej anatomii, nie posiada on nawet głowy. Pojedynczy kloc drewna służy za korpus, a wyżegana w nim hebrajska litera różna jest od litery na czole Dziadka Stali.

Pozostałe Wypowiedziane sługi wypełniają swe zadania gdzie indziej. W sypialni zdajduje się jeszcze tylko Jednoręki: przykucnięty w najciemniejszym kącie, na swych cierpiętniczo pochylonych plecach kaligrafuje gęsim piórem dzierżonym w długiej, czterołokciowej ręce kartę papieru czerpanego. Co chwila zwija ramię w pętlę, otwiera szklane usta i nurza pióro w atramentowej ślinie. Nie ma głowy, nie ma oczu, podobnie jak pozostali, nie musi patrzeć, by widzieć. Pióro kreśli piękne, równe litery. Korespondencja z mediolańskim antykwariuszem – signore Marcus Mactare jest niezmiernie zainteresowany florencką wersją „Corpus Hermeticum", w oryginalnym przekładzie Marcelio Ficino.

U stóp Carnicero bieli się mniejszy prostokąt papieru: list od spiskowców. W pięciu wierszach drobnego pisma zawarto adres, dokładny opis miejsca noclegu ofiary i drogi najbezpieczniejszego podejścia. Trzeba wypełnić zadanie. Słońce już zaszło, zbliża się pora.

Słońce zaszło, miasto zmienia się w płaską konstelację kwadratowych cieni i okiennych świateł. Rzeka jest wężową plamą oleistej ciemności. Nie przegląda się w niej Księżyc ani gwiazdy, niebo jeszcze za dnia zaciągnęło się gęstym kożuchem chmur. Być może spadnie deszcz, wilgoć zbiera się w powietrzu. Wpływając do sypialni, przynosi ono ze sobą wszystkie zapachy maja i wszystkie zapachy miasta, woń kwitnącego bzu i smród rynsztoków. Carnicero odwra-

ca się od okna, a karzeł na pierwsze drgnięcie Belui spada na podłogę, porywa stołek i umyka w najdalszy kąt.

Abuelo Acero obrócił się plecami do okna, musi być bowiem skierowany twarzą ku wschodowi, tego wymaga Mniejszy Rytuał Pentagramu. Nie opuści schronienia, nie oczyściwszy się wpierw.

Teraz następują po sobie szybkie, odmierzone co do milimetra mechaniczne ruchy, płynna choreografia żelaza.

Dotknąć czoła dwoma palcami prawej ręki; przed tobą kula białego światła. Atah! Opuścić rękę na wysokość splotu spłonecznego; linia rozciąga się do stóp. Malkuth! Unieść rękę i dotknąć prawego barku; kula światła nad prawym barkiem. Ve Geburah! Ręka do lewego barku, za nią jasna linia, kula światła nad lewym barkiem. Ve Gedulah! Złożyć dłonie na środku piersi, gdzie przecinają się linie. Skłoń głowę. Le Olam, Amen! Wyprostowanym palcem powiedź błękitny płomień w powietrzu przed sobą: od lewego biodra nad czoło, do prawego biodra, wzwyż do lewego barku, od niego do barku prawego i do lewego biodra. Przebij palcem centrum pentagramu. YHVH! Obrót ku południowi. Wykreśl drugi pentagram. Adonai! Obrót ku zachodowi. Wykreśl trzeci pentagram. Eheieh! Obrót ku północy. Wykreśl czwarty pentagram. AGLA! Obrót ku wschodowi. Wbij palec w środek pierwszego pentagramu. Stoisz otoczony sieciami błękitnego płomienia. Rozłóż szeroko ramiona. Przed tobą, na stacji Wschodu – Archanioł Rafał! Za tobą, na stacji Zachodu – Archanioł Gabriel! Po prawicy, na stacji Południa – Archanioł Michał! Po lewicy, na stacji Północy – Archanioł Uriel! Dłoń do czoła, do splotu słonecznego, do prawego barku, do lewego barku i złożyć dłonie. Atah! Malkuth! Ve Geburah! Ve Gedulah! Le Olam, Amen!

Teraz gotów jest wypełnić zadanie. Drewniana podłoga dudni pod jego stopami, brzęczą łańcuchy na ścianach.

Żołnierz dosłyszał w miękkim szumie padającego leniwie deszczu krótki, ostry zgrzyt – i to przesądziło.

Wychodzi zza rogu budynku z bagnetem nasadzonym na karabin. Kaptur peleryny lepi mu się do mokrego czoła, woda skapuje z wąsów. Wszystkie okna pałacyku po tej stronie są ciemne, znikąd światła. Mruży oczy, próbując dostrzec cokolwiek w deszczowej ciemności.

Przystaje, nasłuchuje. Zgrzyt się nie powtarza.

– Kto tam?!

Ale nie odpowiada nikt.

Myśli: wrócić pod okap. Myśli: za godzinę zmiana warty.

Jednakże przypomina sobie, iż tu niedaleko, za żywopłotem, znajduje się w ogrodzeniu boczna furta, na którą kapitan osobiście założył dwie kłódki. Może ktoś próbował wejść i dopiero wtedy zorientował się, że jest zamknięte?

Żołnierz postępuje więc naprzód, rozgarnia lufą żywopłot zarastający z obu stron starą ścieżkę. Chce sięgnąć i wymacać kłódki; wówczas na moment przejaśnia się i ogrodzenie wyłania się z nocy.

Ręka trafiła w pustkę, nie ma tu żadnej furty, jeno dziura w parkanie.

Przez krótką chwilę gapi się bezmyślnie. Potem zaczyna się rozglądać naokoło, ręce same unoszą karabin, odciągają kurek. Daje krok lewo, krok w prawo – pięta zahacza o coś, żołnierz obraca się, spogląda na ziemię. Wygięte faliście drzwi furty spoczywają tu w błocie, wraz z zawiasami i nadal zatrzaśniętymi kłódkami.

Żołnierz prostuje się, nabiera powietrza, otwiera usta...

Po raz drugi usłyszał krótki, metaliczny zgrzyt.

Żelazo rozdziera mięso i kości. Deszcz zagłusza dźwięki rozrywanej skóry, pękającej jak skorupka jajka czaszki, miażdżonych słomek rąk i nóg, łamanej gałązki kręgosłupa; przy okazji złamany na dwoje zostaje karabin. Wyprute z korpusu płuca otwierają się z cichym sykiem. Długie węże wnętrzności padają w kałużę, plusk jest ledwo słyszalny. Nieludzka stopa wgniata je w ziemię.

Abuelo Acero wynurza się z żywopłotu. Przesiąknięty krwią płaszcz na nic mu się już nie zda, zdejmuje go, zwija i wciska pod pancerz.

Idzie równym krokiem ku zachodniej ścianie pałacyku, nie jest zdolny do biegu. Ciężki młot łba pochylony do przodu, niczym w byczej szarży. Na stalowej czaszce pękają banieczki zimnego dżdżu.

Pozostawia bardzo głębokie odciski stóp, w których natychmiast zbiera się woda; prawe różne od lewych.

Dotarłszy do muru, zakręca i kroczy wzdłuż niego, na północ. Tempo marszu się nie zmienia, wydaje się, jakby Carnicero mógł stąpać tylko w jednym rytmie – raz, raz, raz, raz – niezależnie od okoliczności, niezależnie od deszczu, nocy, uzbrojonych strażników i krwawych strzępów mięsa na nagiej stali. Nie jest zdolny do wahania.

Wtem przystaje, obraca się na pięcie przodem do budynku i odchyliwszy się wstecz dla krótkiego zamachu, wali łbem w mur. Sypie się tynk, kruszy elewacja. Jak maszerował, tak teraz grzmoci głową w ścianę w tym samym nieubłaganym, mechanicznym tempie. Raz, raz, raz, raz. Wyłupał sporą dziurę, wkłada w nią wielkie łapy, szarpie za cegły, wpycha je do wewnątrz. Dziura się powiększa. Wali teraz łbem na boki, wgniatając kolejne fragmenty. Hałas

jest mniejszy, niż należało się spodziewać, najgłośniej hurgoczą sukcesywnie wyłupywane ułamki muru, gdy spadają do środka na jakieś sprzęty.

Otwór jest już wystarczająco duży – Dziadek Stal wciska weń korpus, podciąga się rękoma i przeciska z mokrej ciemności w ciemność suchą.

Natychmiast wstaje i rusza ku drzwiom. Pomieszczenie jest niewielkie, coś na kształt magazynu pościeli bądź spiżarni: półki zastawione wiklinowymi koszami, beczułkowate skrzynie pod ścianami, stosy równo złożonych tkanin.

Drzwi zamknięto na klucz. Wyrywa zamek. To było głośne, drewno pękło z trzaskiem donośnym niczym strzał. Marcus nie czeka, nie nasłuchuje. Odrzuca zamek, trąca kolanem drzwi, wychodzi na korytarz.

Jest to krótki zaułek pałacowego labiryntu, zaraz łączący się z długim korytarzem biegnącym bodaj wzdłuż całego budynku. Pięć metrów dalej wspinają się wzwyż spiralne schody dla służby. Nie ma tu okien i nie pali się żadne światło.

Parkiet głośno trzeszczy pod nogami Carnicero, prawie pacząc się i załamując pod jego ciężarem. Szerokie stopnie schodów przyjmują swą udrękę z większą powściągliwością, ich ciche westchnienia zaraz giną w pluszowej ciemności.

Na piętrze panuje miodowy półmrok, lampy nasączają ściany i meble miękkim, oleistym blaskiem.

Abuelo Acero skręca w lewo i natychmiast wpada nań zaspana pokojówka, porcelanowy dzbanek uderza w żelazo. Abuelo urywa jej głowę.

Maszeruje po bordowym dywanie, mijając kolejne wysokie drzwi o rzeźbionych klamkach. Raz, raz, raz, raz.

Tamten musiał usłyszeć brzęk padającego dzbanka, a może głuchy łomot, z jakim zwaliło się na podłogę zdekapitowane ciało, ciekawość przemogła, wyjrzał na korytarz – gruby starzec w rozpiętej koszuli i binoklach na nosie, w ręce ściska jeszcze jakieś papiery. Od Carnicero dzieli go w tym momencie ponad dziesięć metrów – i to przeważa.

Dziadek Stal nie zawraca, nie przystaje, nie zwalnia; raz, raz, raz, raz – oddala się od starca. Ten wrzeszczy na całe gardło, trudno nawet rzec, jakie słowo i w jakim języku.

Zza załomu korytarza, przed Carnifexem, wypada dwóch żołnierzy w mundurach osobistej straży cesarza. Na widok idącego ku nim okrwawionego potwora wyrywa im się z ust krótki okrzyk, gorące przekleństwo. Lecz nie ustępują. Wyćwiczonym ruchem ściągają z ramion karabiny i strzelają, nawet nie przymierzywszy, odległość jest niewielka. Huk z pewnością obudzi tych, których nie obudził jeszcze wyjący pod niebiosa starzec.

Kule rykoszetują od mokrej stali. Któraś trafia w klosz wiszącej lampy, przechylony podmuchem płomień liże ścianę, tapeta zajmuje się ogniem.

Abuelo Acero jest już przy skrzyżowaniu korytarzy. Jeden żołnierz uciekł, wzywając pomocy, lecz drugi pozostał – zastawia się karabinem, bije kolbą w pancerny łeb – i temu Belua wydziera serce.

Skręca w prawo. Ledwo się wyłania zza rogu, dostaje salwę z pięciu luf, kule biją w żelazo jak grad w glinę – tu i ówdzie pojawiają się wgniecenia. Rykoszety zygzakują z wizgiem w zamkniętej przestrzeni.

Z boku wypada kolejny wojak, w samych portkach z niedopiętym pasem, w ręce ściska jednak nagą szablę i tą szablą poczyna siec Dziadka Stal po plecach, po barku – ciosy ześlizgują się po krzywiźnie dzwonu. Abuelo Acero, nie zwalniając, łapie szermierza pod ramię i w pachwinie i ciska nim w strzelców. Uskakują.

Formują żywą barykadę przed ostatnimi drzwiami. Carnicero idzie na nich z pochylonym młotem łba, kolebiąc barami, nierówne paluchy już się rozcapierzają. Za nim, w tle, powstaje żółty blask, gdy ogień rozlewa się po ścianach korytarza.

Archanioł Północy, Archanioł Prawdy, Uriel, stoi za plecami żołnierzy i przez błękitne płomienie pentagramu wskazuje drugiego od lewej, wysokiego bruneta o krzywych zębach. Ten jest mój! Ten należy do Narodu Wybranego! Tego chronić będziesz!

Krzyki z przodu, krzyki z tyłu, krzyki za drzwiami. Abuelo Acero nie zważa już na nic. Wbija się w barykadę, miażdżąc kości, wyciskając z mięsa ciepłą krew. Bruneta odrzucił pod ścianę, niech nie wchodzi mu w drogę. Lewą łapą naciska złoconą klamkę. Przybiegło jeszcze więcej ludzi, żołnierzy i cywilów, odzianych i półnagich, wieszają mu się na tym ramieniu, próbują odciągnąć, tłuką pięściami w stal, kalecząc sobie dłonie na ostrych krawędziach i chropowatych zadziorach. Belua strząsa ich z siebie.

Wchodzi do sypialni. Łoże jest puste, pościel rozrzucona. W bocznym przejściu stoi rudy wielkolud w pistoletami w obu dłoniach. Mierzył w głowę, oba strzały odbijają się od tarczy grawerowanego oblicza, pojawia się na niej nowa rysa, pozioma blizna w metalu, sięgająca od nie-nosa do nie-oka.

Abuelo Acero zwraca się ku wielkoludowi: to tędy cesarz uciekł. Wielkolud daje krok wstecz, zastrzaskuje drzwi. Tymczasem za Dziadkiem Stalą wpadają do sypialni kolejni żołnierze, ktoś porywa z szafki zapaloną lampę naftową i ciska nią w Dziadka. Nafta rozlewa się po szerokich plecach, spływa ognistą grzywą do żelaznych bioder i ud... Gdy Marcus przebija się przez zamknięte drzwi i z krótkiego przedpokoju wychodzi w oświetlony tuzinem świec gabinet, rozwijają się za nim wysokie skrzydła płomienia, niebieska łuna.

Płomień gnie się i trzepoce w przeciągu: w przeciwległej ścianie gabinetu otwiera się wąska klatka schodowa, zazwyczaj ukryta za przemyślnie zamontowanym regałem bibliotecznym, teraz uchylonym.

Wielkolud poderwał w powietrze dębowe krzesło i wali nim z furią w Carnicero, gromkim głosem wzywając pomocy, boskiej i człowieczej. Carnicero wyrywa mu fotel, ciska go w głąb wąskiego przedpokoju. Chwyta wielkoluda w pół i miażdży mu w soczystym uścisku wszystkie kości tułowia, po czym ciska w ślad za fotelem. Na koniec podnosi biurko i nim do reszty blokuje przejście. Kotłuje się tam zwarta ludzka masa, błyskają ostrza szabli, co i raz huczy pistolet.

Abuelo Acero podchodzi do okna. Na zewnątrz, na podjeździe dziedzińca, panuje chaos, gwardziści miotają się w te i we w te, obudzeni cywile wybiegają w negliżu w deszczową noc, odgania się ich precz, oficer w niedopiętej kurcie usiłuje zorganizować podwładnych, wrzeszczy i wymachuje pejczem. Zajechał powóz, po schodach tarasu zbiega ku niemu grupa kilku osób: żołnierze, w środku kobieta i mężczyzna w nocnych strojach, mężczyzna ogląda się w biegu za siebie i w górę, na oświetlone okna na piętrze – czy dojrzał tam okopconą płaskorzeźbę Carnifexowej fizjonomii? Od jego ognia zajęły się sute zasłony, stoi w aureoli pożaru, ujęty w ramy czarnych futryn: tableau piekła.

Stoi, wali łbem w szybę, rzuca się w przód, skacze. Ciężkie żelazo spada na kamienny taras z wielkim hukiem, grzmot jakby niebo się oberwało, wszyscy na moment zamierają i oglądają się na powstającego Beluę, stopy szeroko rozstawione, łeb pochylony, bary już się kołyszą, już rusza ku powozowi, raz, raz, raz, raz.

Nie zdąży jednak, nie ma szans, mężczyzna i kobieta wsiedli, zatrzasnęli drzwiczki, woźnica strzela z bata... Dziadek Stal nigdy ich nie dogoni.

Zstępuje po schodach tarasu. Flankują je niskie kolumienki zwieńczone kamiennymi kulami. Carnicero zbacza w lewo, wyciąga pancerne łapy, obejmuje kulę, ona ma ponad pół metra średnicy, odrywa ją od podstawy, wznosi nad głowę i, z zamachu całego tułowia ciska nią prosto w ruszające właśnie konie. Kula trafia w bok bliższego zwierzęcia, oba konie walą się w błoto, żałosne kwiki przeszywają powietrze, kamień zgruchotał siwkowi żebra, czerwone ułamki przebijają jasną skórę; konie usiłują się podnieść, padają z powrotem, rozkolebany powóz przewraca się wraz z nimi, woźnica zeskoczył w ostatniej chwili.

Abuelo Acero nie zatrzymał się, by obserwować rozwój wypadków, maszeruje ku powozowi. Krzyczą wszyscy.

Oficer zdołał zorganizować kilkunastu gwardzistów, teraz wydaje komendę. – Pal! – Salwa dosięga Carnicero w pół kroku. Traci równowagę, musi cofnąć nogę, to go opóźnia o sekundę.

Zdesperowany oficer chce za wszelką cenę zagrodzić mordercy drogę. Prowadzi ludzi do frontalnego ataku, opadają Dziadka Stal gęstą gromadą, wszyscy wyżsi odeń o głowę, ginie bez reszty pod ruchomą masą ich ciał. Wówczas niektórzy z uciekających z pałacyku cywili przystają: czekają rezultatu walki, obserwują dziką kotłowaninę. Pojawia się kilku nowych żołnierzy, ci nie przyłączają się do walczących, tylko przyklękają z gotowymi do strzału karabinami. Równocześnie tuzin osób biegnie ku wywróconemu powozowi, kobiety i mężczyźni.

Nie ma zaskoczenia: odrzuciwszy ostatniego trupa, Carnicero wygrzebuje się spod sterty zwłok. Gwardziści strzelają. Ignoruje ich. Deszcz i ludzkie ciała stłumiły ogień na jego plecach, pozostała czarna plama spalenizny, a odbijające się kule kreślą na niej jasne kropki i przecinki.

Przez ten czas mężczyzna zdążył się częściowo wyczołgać spod przewróconego powozu szarpanego bez przerwy przez konające konie. Trzech żołnierzy próbuje go teraz unieść, inni jednocześnie wyciągają uwięzioną kobietę od góry. Abuelo Acero wchodzi na powóz, miażdży drewno, mocarne nogi wbijają się w kruchą konstrukcję, bucha z niej przeraźliwy krzyk kobiety, której żelazna stopa zgruchotała miednicę. Belua prze naprzód.

Mężczyzna częściowo już się oswobodził, leży zwrócony twarzą do ziemi, błoto zlepia mu brodę i wąsy. Dowódca gwardii i jakiś młokos we włóczkowej czapce ciągną go za ręce, nie mogą wszakże oderwać wzroku od kroczącego przez szczątki powozu potwora. Przerażenie niemal ich paraliżuje – ze stalowych ornamentów Carnifexa zwisają krwawe strzępy mięśni, ścięgien, skóry, podartych mundurów, w szczelinach pancerza pozostały wklinowane ułamki palców, spomiędzy prętów prawego przedramienia zwisa nawet cała dłoń. Młodzieniec nieświadomie oddaje mocz. Dowódca wywrzaskuje w noc histeryczne rozkazy.

Abuelo Acero schodzi z miazgi powozu – stopa ląduje na plecach leżącego mężczyzny. Ten wydaje krótki charkot, po czym traci przytomność. Druga stopa wgniata w błoto jego głowę. Dziadek Stal wdeptuje mężczyznę w ziemię. Raz, raz, raz, raz.

Młodzieniec uciekł. Dowódca stoi i woła o pomoc. Nikt nie przybiega.

Carnicero pochyla się i dla pewności odrywa trupowi głowę. Ściska ją między dłońmi – czaszka pęka, krwawa masa przecieka między stalowymi paluchami. Koniec.

Błotnisty podjazd prowadzi z dziedzińca prosto do otwartej na oścież głównej bramy. Zanim do zwłok cesarza dobiegają pierwsi z nowej fali gwardzistów, Abuelo Acero jest już przy owej bramie. Stało tu dwóch pachołków, lecz uciekli, kiedy tylko skierował swe kroki w tę stronę. Wychodzi z posiadłości na

równie błotnistą drogę, skręca w lewo, ku światłom miasta, kryje się w cieniu wysokiego muru.

Oczywiście będzie pościg, pościg już rusza. Teraz jest ten krótki moment, gdy na skutek ogólnego chaosu i szoku udało się mordercy zniknąć im z oczu. Marcus musi wszakże zdawać sobie sprawę, jak wyraźne ślady pozostawia w miękkiej ziemi.

Dziadek Stal dociera do końca muru. Ogrodzenie zakręca tu w lewo, rychło zmieniając się w parkan z żelaznych prętów. Stoją wzdłuż niego co kilkanaście metrów marmurowe donice z kwiecistymi krzewami i między tymi donicami ciągnie się kamienny chodnik. Zeskrobawszy błoto i krwawe ochłapy ze stóp, Carnicero wstępuje na chodnik. Zza zakrętu dochodzą już nawoływania pogoni. Carnicero maszeruje w swoim rytmie, ocierając się barkiem o parkan. Donice przeskakuje z ciężkim łomotem.

Przeskoczywszy trzecią, zatrzymuje się. Zieje tu, metr od kamiennych płyt, głęboki dół. Obok, na obszernym zawoju płótna spoczywa wielka góra rozmokłej ziemi. Mactare skacze do wnętrza dołu. Wpada weń z głośnym pluskiem. Długimi rękoma sięga dalszych rogów płótna i pociąga je energicznie ku sobie. Zwala się na niego lawina błota, przykrywając wraz z głową. Nad powierzchnię, w noc i deszcz, wystają tylko stalowe ręce. Ściąga nimi pod ziemię płótno, potem wyrównuje jeszcze i przyklepuje spulchniony grunt. Gdy zza załomu muru wypadają dwaj żołnierze na koniach, łapy nikną w gliniastej glebie.

Czas stoi w wilgotnej ciemności, w zimnym uścisku piasku i kamienia; tu poruszają się tylko strumyki ściekającej w dół wody i wędrujące czarnymi gościńcami ślepe robaki. Abuelo Acero jest martwym chochołem stali – aż Archanioł Wschodu, Archanioł Rafał, czyni znak i Abuelo ożywa, poczyna wygrzebywać się z grobu.

Jest dzień. Nie pada. Od strony drogi, od frontu posiadłości docierają ludzkie głosy, echo rozwlekłych rozmów, czasami zaskrzypi wóz, parsknie koń. Belua zasypuje dół. Spod pancerza wyszarpuje skórzany worek, z którego wyjmuje brązowy habit. Naciąga go na siebie, przewiązując się w pasie sznurem. Stalowy młot łba kryje obszerny kaptur. Tak przebrany kieruje się ku drodze – barczysty mnich.

Jest dzień, wczesne popołudnie, po bladym niebie rozciągnęło się kilka pierzastych chmur, chłodny wiatr gna je znad miasta. Carnicero maszeruje równym krokiem, po kamienistym poboczu, z pochyloną głową, nie przyciągając niczyjej uwagi. Mijają go konni i dorożki. Niektórzy jeźdźcy gnają galopem – jak ten młodzieniec z gołą głową i biało-czerwoną szmatą w ręku, zachrypnięty od ciągłych okrzyków:

– Car ubityj! Niech żyje Polska! Car Mikołaj zabity! Powstaniemy! Ani tygodnia nie nosił korony Najjaśniejszej! Car zabity!

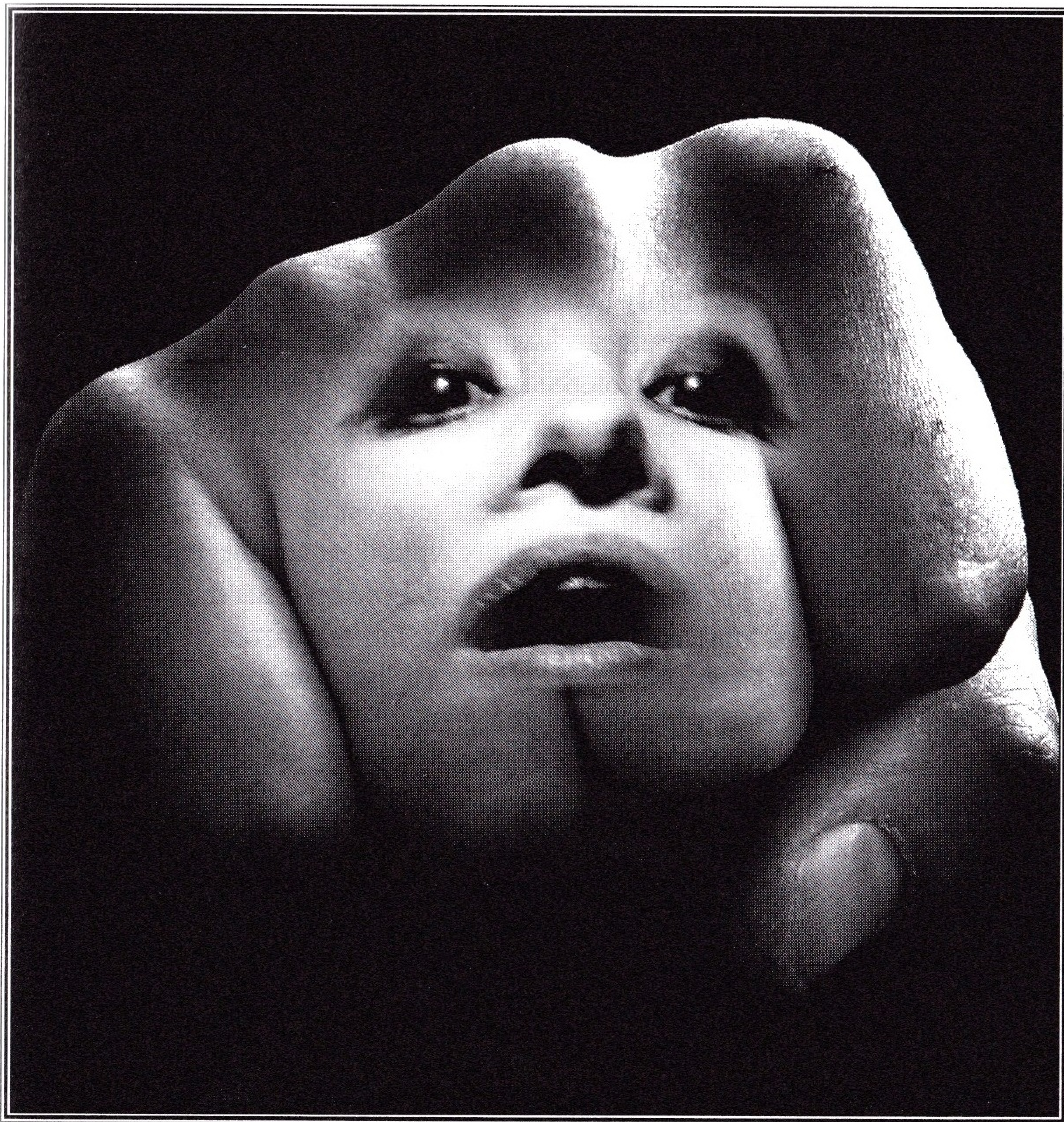
Abuelo Acero kroczy, nie oglądając się za siebie. Przed nim panorama wielkiego miasta – Warszawa, 30 maja 1829 roku. Biją kościelne dzwony. Wiatr niesie echo wystrzałów. Nad odległymi dachami obracają się w czarnych spiralach setki kruków i wron. Carnifex nie unosi głowy, nawet gdy grupa powstańców mija go w cwale, prawie przewracając. Idzie.

Za plecami ma wysoką, krzywą kolumnę dymu ponad zgliszczami spalonego pałacu.

Najwspanialsze twory człowiecze poczynają się z nienawiści, tkkkkkt.

październik 2002

Zielone pola Avalonu
Damian Kucharski



Damian Kucharski (1972) – dziennikarz i publicysta, który fantastyką, jak mówi, interesuje się „od zawsze". Jednak dopiero w tym roku na łamach *Fantasy-Click!* zadebiutował dwoma opowiadaniami, które podobno mają rozwinąć się w powieść o mrocznym i okrutnym świecie wygnanych i pozbawionych władzy nekromantów.
Zielone pola Avalonu nie są, wbrew pozorom, opowieścią fantasy. To historia wrażliwej i niezwykłej kobiety, która miała nieszczęście trafić na męża-sadystę. To opowiadanie o tragicznej rzeczywistości, pięknych marzeniach i walce o spełnienie tychże marzeń. Kucharski udowadnia, że w życiu należy walczyć z całych sił o szczęście. Gdyż tylko walcząc, zyskuje się do niego prawo...

Deidre nie mogła nastawiać budzika, bo sygnał z całą pewnością obudziłby Reginalda. Ale lata praktyki spowodowały, iż była czujna jak ptak. Punktualnie o piątej otwierała oczy i przeżywała chwilę satysfakcji, wpatrując się w połyskujące seledynowo w ciemnościach wskazówki zegara. Mała stała na piątce, duża już pochylała się w stronę dwunastki i tylko włos dzielił ją, aby ulokować się pomiędzy jedynką a dwójką. Deidre przez chwilę wsłuchiwała się w głośne sapanie śpiącego Reginalda, a następnie powolutku odgarnęła kołdrę. Mąż ruszył się niespokojnie, więc zamarła na moment. Potem opuściła cichutko bose stopy na podłogę i podniosła się z łóżka. Przemknęła jak duch przez sypialnię i bardzo, bardzo ostrożnie uchyliła drzwi. I równie ostrożnie zamknęła je za sobą. Od tej chwili mogła zachowywać się dużo swobodniej. Drzwi i ściany sypialni zostały niegdyś przebudowane i wypełnione specjalną dźwiękoszczelną watą. I nie było zza nich słychać ani szumu wody, ani nawet grającego radioodbiornika lub telewizora. Może dlatego Reggie tylko w sypialni przeprowadzał z nią *naprawdę poważne* rozmowy.

– Będę musiał z tobą *naprawdę poważnie* porozmawiać, Di – mówił, a jego ciemne oczy spoglądały na nią jak dwa wypolerowane okruchy obsydianu.

Nienawidziła, kiedy ktokolwiek nazywał ją Di, a Reginald mówił tak zawsze. Tylko raz zwróciła mu uwagę, na samym początku małżeństwa. Tylko raz, bo potem bardzo skutecznie przekonał ją, iż w tym domu tylko on jest od zwracania uwagi.

Była piąta i miała dwie godziny na przygotowanie wszystkiego, co trzeba. Zeszła na dół do lśniącej czystością kuchni i włączyła telewizor. Wyjęła paczkę tostów, jajka, dżem i sprawdziła, czy w automacie jest wystarczająca ilość ziaren kawy. Pamiętała ten poranek, kiedy zapomniała sprawdzić, czy w pojemniku jest kawa. Automat zasyczał, wypluł z siebie pół kubka ciemnej, gorącej cieczy, a potem umilkł. Nerwowo raz i drugi nacisnęła przycisk, czując cały czas na sobie wzrok Reggiego. Wiedziała, że przestał jeść i wpatruje się w jej plecy.

– Jakieś kłopoty, kochanie? – zapytał.

– Nie – odparła chyba nieco za głośno i zajrzała do pojemnika.

Zamarła, kiedy zobaczyła, że nie ma w nim ani jednego ziarenka kawy. Co gorsza, kawy nie było również w szafce. A przecież powinna tam stać! Brązowa paczka ze złotym napisem. Potrąciła paczkę z płatkami śniadaniowymi i w ostatniej chwili udało jej się ją złapać. Tylko dwa złote płatki wypadły i sfrunęły na podłogę. Pochyliła się, by je podnieść.

– Gdzie jest moja kawa, Di? – usłyszała.

Wzięła płatki z podłogi i włożyła z powrotem do otwartej paczki. Nie powinna tego robić, ale zdała sobie sprawę z błędu dopiero w chwili, kiedy je tam wrzucała. Reggie szarpnął ją za ramię. Kiedy wstał z krzesła? – zdążyła tylko pomyśleć.

– Myślisz, że będę jadł to gówno, kobieto? – trzymał ją za ramię palcami silnymi jak obcęgi – myślisz, że będę jadł płatki z tym całym syfem z podłogi?

Wziął paczkę i sypnął jej płatkami w twarz. Potem zanurzył prawą dłoń, nabrał garść płatków, skruszył je w palcach i zaczął wcierać w jej twarz i usta. Szarpnęła się, a on puścił ją nadspodziewanie szybko.

– Posprzątaj tu, flejo – powiedział z obojętnym niesmakiem i wtarł kilka okruchów podeszwą buta w podłogę.

Myślała, że wtedy wszystko się skończy. Nadspodziewanie dobrze, jak na stopień jej winy. Ale Reggie zapomniał o kawie tylko na moment. Zobaczył napełniony do połowy kubek i odwrócił się w jej stronę, niczym atakujący wąż. Jego oczy były puste i martwe.

– Jestem dobrym mężem, prawda Di? – spytał przeciągając samogłoski – mam pracę, przynoszę do domu pensję, nie wychodzę wieczorami, czyż nie? Opiekuję się tobą i dbam o ciebie. A czy chcę w zamian tak dużo? – znowu poczuła jak na ramieniu zaciskają się jego palce. Wiedziała już, że co najmniej przez tydzień będzie miała siniaki.

– Chcę tylko dostać śniadanie – ciągnął. – Dobre, domowe śniadanie z kawą. I co? – Wrzasnął prosto w jej twarz. – I dostaję to!

Chwycił kubek z szafki, a gorący płyn prysnął mu na palce i na dekolt Deidre.

– Jakąś resztkę marnych szczyn!

Chwycił ją za brodę i jednym ruchem rzucił na blat szafki. Nogami unieruchomił jej nogi. Wisiał nad nią potężny, ciemnowłosy i pachnący Old Spicem.

– Sama to sobie pij! – nacisnął palcami jej szczęki tak, że musiała je rozewrzeć i wlał pół kubka kawy w jej usta.

Ból ją ogłuszył. Wrzątek poparzył usta, język, podniebienie i gardło. Nie mogła krzyczeć, bo się dławiła, a poza tym cały czas jej szczęki były unieruchomione w tym potężnym uścisku palców Reggiego. W końcu pchnął ją na podłogę i upadła tam, łkając. Podszedł do stołu i zrzucił na podłogę i na nią samą wszystko, co

przygotowała. Jajka na bekonie i tosty, zimny sok pomarańczowy ze świeżo wyciśniętych owoców i serdelki z musztardą. Potem zrozumiała, że Reginald zastanawia się, co robić dalej i wiedziała, że musi wykorzystać ten moment. Gdyż w innym wypadku będzie z nią naprawdę źle. Obróciła się, podpierając łokciem.

– Spóźnisz się do pracy, kochanie – powiedziała, a łzy ciekły jej po policzkach, tak bardzo bolało ją samo mówienie – już prawie ósma.

Spojrzał na nią, a w jego oczach coś błysnęło. Jakby zadziałał jakiś wewnętrzny flesz. Nie były już czarne i martwe.

– No właśnie – powiedział z żalem w głosie – a tu taki bałagan. Zrobisz mi drugie śniadanie, aniołku?

– Oczywiście, kochanie – wstała – i zaraz się zabiorę za sprzątanie.

– Moja mała gospodyni – klepnął ją czule w tyłek i wyszedł z kuchni.

Zrobiła mu drugie śniadanie. Kanapki z salami, kanapki z tuńczykiem i sałatkę owocową w plastikowym pojemniku. Włożył wszystko do teczki i podziękował jej roztragnionym uśmiechem, a ona miała czas i odwagę, by zacząć płakać dopiero, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Tak więc od tamtej chwili dbała już, aby kawa z całą pewnością znajdowała się w pojemniku. Nie mogło też zabraknąć mleka, dżemu morelowego (tylko takiego, w którym były całe kawałki owoców), tostów, boczku, jajek, soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy i serdelków z indyka. Od czasu do czasu Reginald lubił też zamaczać tosta w syropie klonowym, ale zdarzało się to rzadko, gdyż dbał o linię. Na szczęście nie było tych produktów na tyle dużo, by Deidre miała kłopoty z zapamiętaniem, co kupić i co rano przygotować. Gorzej, że Reginald miał swoje upodobania. Jajka nie mogły gotować się dłużej niż trzy minuty, a serdelki musiały być podgrzane, ale nie na tyle, by parzyły w palce, kiedy zdejmowano z nich skórkę.

– Może ja ci obiorę parówki, kochanie? – zaproponowała kiedyś.

– Przecież nie będziesz mi usługiwać jak dziecku – obruszył się natychmiast.

Z kolei sok pomarańczowy miał być chłodny, ale nie na tyle zimny, by utracić aromat, a boczek przyrumieniony, ale broń Boże przypieczony lub zwęglony na brzegach. Zwęglony boczek kosztował Deidre wytłuczoną jedynkę i wizytę u doktora Milesa, który dobrotliwie narzekał jak *tak* piękna kobieta z *tak* zdrowymi zębami mogła dopuścić do tego, by *tak* nieostrożnie jeść brzoskwinię.

– Pestki to straszna sprawa, moja droga – mówił opiłowywując jej resztkę zęba i szykując miejsce pod koronkę – żebyś ty widziała, ilu siedziało tu ludzi, którzy myśleli, że ich zęby są twardsze od pestek!

Kiedy wróciła do domu, Reggie spojrzał tylko na nią zza gazety.

– Miło widzieć znowu twój piękny uśmiech – powiedział uprzejmie i rozlał do kieliszków białe wino.

Przygotował nawet półmisek owoców morza i dopilnował, aby zjadła wszystko, co nałożył jej na talerz. Zapalił świece w mosiężnym świeczniku (plama rdzy na nim kosztowała ją kiedyś siniaka pod okiem), a potem długo kochał się z nią na sofie. Patrzyła w śnieżnobiały sufit i myślała o tym, że kiedy skończy już nad nią sapać i dyszeć, będzie mogła pójść do kuchni i pozmywać naczynia. Ale jednocześnie była mu wdzięczna, że stara się jej sprawiać przyjemność, więc w odpowiednim momencie głośno krzyknęła i, tak jak lubił, przeorała mu plecy paznokciami.

Reggie wstawał o siódmej rano, ale zrobienie śniadania nie było jedynym obowiązkiem Deidre. Musiała zadbać, aby ręczniki były suche, świeże i pachnące, a do wanny lała się właśnie ciepła woda. I żeby nie było jej ani za dużo ani za mało, tak, by punktualnie o siódmej dziesięć Reginald mógł położyć się w wannie i aby woda sięgnęła mu obojczyków, ale nie wylała się na posadzkę. No i żeby nie była ani za zimna, ani za gorąca.

– Chłodna kąpiel psuje mi humor na cały dzień – wyznał jej kiedyś i miała okazję sprawdzić, jak bardzo zły jest to humor, kiedy *poważnie* porozmawiał z nią za wygłuszonymi ścianami sypialni.

Poza tym Reggie lubił czytać przy śniadaniu, więc na stole musiała leżeć dzisiejsza gazeta. A w garderobie wyprasowana koszula. Dobrze wyprasowana – jak zaznaczał. Resztę ubioru dobierał sobie sam i czasami w Deidre budziło się coś na kształt macierzyńskiego rozczulenia, kiedy miał kłopoty z doborem krawata i patrzył na nią tym wilgotnym, włoskim wzrokiem, mówiąc: „Kochanie, chyba tylko ty mi możesz pomóc".

Czas do ósmej, do wyjścia męża, był dla Deidre nieustannym zmaganiem z rzeczami i własną pamięcią. I nieustannym niepokojem, czy wszystko jest, jak trzeba. Kiedyś wypatrzył w holu plamę błota, której nie usunęła, zabierając sprzed drzwi gazetę.

– Wiesz Di – powiedział, dotykając przelotnie jej ramienia (z trudem pohamowała się tylko, by nie uskoczyć, a to by go na pewno rozsierdziło) – może powinienem zatrudnić sprzątaczkę. Pomogłaby ci trochę...

Zastanawiała się później nad tym, czy w ogóle choćby przez chwilę pomyślał serio o tej propozycji. Sądziła jednak, że to były jedynie nic nie znaczące słowa. Jak mógłby wpuścić do domu kogoś obcego? On, który nigdy nie zapraszał gości, a każ-

da wizyta elektryka, hydraulika czy innego fachowca (przecież w domu zdarzały się, jak wszędzie, awarie) była śledzona przez niego z najwyższą podejrzliwością. Raz na zawsze zabronił również wpuszczania domokrążców i akwizytorów, co zresztą wydawało się Deidre słuszne zważywszy na to, ile w telewizji mówiono o napadach i kradzieżach. Nie wyobrażała sobie jednak w domu obcej kobiety. Kobiety nieznającej przyzwyczajeń Reggiego, niewiedzącej, że story w salonie mają być zawsze zaciągnięte, a na kolekcji porcelanowych i gipsowych słoników nie ma prawa znaleźć się nawet jeden pyłek kurzu. Te słonie, począwszy od maleńkich jak paznokieć, aż do olbrzymów z dumnie zadartymi trąbami, doprowadzały początkowo Deidre do szału. Ale potem przyzwyczaiła się do nich tak jak do wszystkiego. Do tego, by codziennie dokładnie ścierać je za pomocą szmatki nasączonej antyelektryzyjącym płynem i uważać, aby po wytarciu stały dokładnie w tej samej pozycji, jak poprzednio. Reggie nie znosił, kiedy jego rzeczy były przekładane, a słonie z kolekcji ułożył w sobie tylko wiadomej (ale świetnie rozpoznawanej) konfiguracji.

Ten dzień miał jednak być, inny od poprzednich. Reginald wstał w dobrym humorze i schodząc do kuchni uszczypnął ją czule w pierś, uśmiechając się przy tym łobuzersko. Lubił, jak od samego rana jest zadbana i przygotowana do dnia. O siódmej rano musiała mieć przygotowany staranny makijaż i pomalowane paznokcie (a nie było tak łatwo uważać na lakier, kiedy miało się tyle domowych obowiązków). Dopuszczał co prawda, kiedy ubierała się w biały, frottowy szlafrok (sam jej go kupił na urodziny), ale znacznie bardziej wolał ją w którejś z jasnych, wydekoltowanych sukienek. Miała ich całą kolekcję. Krótkich, niesięgających kolan i obcisłych na tyłku. Wiedziała, że podobają mu się jej zgrabne nogi (kiedy go nie było lubiła przeglądać się w lustrze i doskonale zdawała sobie sprawę, że ma wyjątkowo ładne łydki oraz uda) i duży biust wypychający materiał sukienki. Nie lubił, kiedy nosiła staniki, chyba że wieczorem zakładała czerwony lub czarny z delikatnej koronki.

– Lubię, jak ci tak sterczą – mawiał, kiedy był w dobrym humorze i szczypał ją w sutki, a ona uśmiechała się, bo choć ją bolało, to wiedziała, że jest to oznaka czułości.

Jednak tego dnia Reginaldowi humor popsuł się dość szybko. O wpół do ósmej rano zadzwonił telefon i mąż Deidre stał w przedpokoju z zasępioną miną i mówił tylko:

– Tak, panie prezesie. Oczywiście, panie prezesie. Nie ma żadnego kłopotu, panie prezesie.

Ale kiedy odłożył słuchawkę, miał zaciętą twarz i znowu te martwe, czarne oczy bez wyrazu.

– Ten kutas wysyła mnie na tydzień w delegację – powiedział i uderzył słuchawką w aparat, tak że w środku aż coś jęknęło – zachorował gość ode mnie z działu i wysyłają mnie.

Odwrócił się i Deidre widziała, że drżą mu dłonie. Stał w przedpokoju, ubrany tylko w biały podkoszulek i białe bokserki, a Deidre wiedziała, że przebywa teraz gdzieś daleko we własnym świecie. Jego oczy ciemniały i mętniały coraz bardziej.

– Dokąd jedziesz, kochanie? – zapytała najspokojniejszym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Mogła nie pytać. Ale przecież wtedy Reggie mógłby podejść do niej tym swoim wolnym, kołyszącym krokiem i wziąć ją pod brodę.

– Nie interesuje cię dokąd wysyłają męża? – zapytałby z głuszoną wściekłością w głosie – nie ma dla ciebie różnicy, czy to jest Nowy Jork (tu padłby pierwszy cios), Pernambuco, czy Laponia?!

Geograficznym nazwom towarzyszyłyby następne uderzenia, a kiedy by już upadła na podłogę, pochyliłby się nad nią i podniósł szarpnięciem.

– Musimy *poważnie* porozmawiać o twoim stosunku do małżeństwa – powiedziałby.

Dlatego też wolała spytać. W jego oczach znowu błysnęło coś jak wewnętrzny flesz i odetchnęła z ulgą. Zacisnęła dłonie w pięści, by nie pokazać, że drżą jej palce.

– Do Londynu – powiedział z żalem – osiem godzin drogi pieprzonym samolotem, w którym nie można nawet zapalić.

Podrapał się za uchem i przeszedł do kuchni. Usiadł przy stole i pogrzebał widelcem w jajkach, które zdążyły pokryć się już szklistym nalotem. Deidre zamarła, ale wzięła się w garść i weszła odważnie do kuchni.

– Usmażyć ci następne, kochanie? – zapytała – przez ten telefon wszystko wystygło.

– Nie – mruknął – dziękuję – podniósł na nią wzrok – jesteś taka kochana, Di. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Wstał i przytulił ją mocno do piersi, a potem pocałował za szyją.

– Ślicznie pachniesz – powiedział – a co byś powiedziała na małe, pożegnalne rżniątko, hmm? W końcu nie będziesz tego mieć przez cały tydzień!

– Jasne, Reggie – powiedziała i wsunęła dłoń w jego bokserki – sama nie wiem, jak dam radę tyle bez ciebie wytrzymać.

Obrócił ją tak, że prawie położyła się na stole. Wyciągnął jej piersi zza sukienki i wszedł mocno od tyłu. Naczynia szczękały, kiedy stół poruszał się pod wpływem jego pchnięć. Deidre patrzyła na kawę w żółtym kubku, która kołysała się jak powierzchnia wzburzonego morza i miała nadzieję, że napój nie zaleje białego obrusa, gdyż z doświadczenia wiedziała, że plamy po kawie bardzo ciężko jest wywabić.

Dom bez Reggiego wydawał się inny. Pierwszego ranka Deidre obudziła się punktualnie o piątej i jak zwykle spojrzała na seledynowe wskazówki zegara. Ostrożnie odchyliła kołdrę i zsunęła stopy na podłogę. I w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, iż ostrożność jest zupełnie niepotrzebna. Leżała chwilę na wznak, wsłuchując się w ciszę panującą w pokoju. Słyszała tylko swój własny cichy i spokojny oddech. Ale obok niej panowała cisza. Żadnego sennego posapywania, chrząkania, szelestu pościeli. Miejsce obok było puste i chłodne. Powiodła palcami dłoni po delikatnej powierzchni jedwabiu, jakby chcąc się upewnić. Ale zamiast ciepłego ciała Reginalda był tylko jedwab. Wtedy uśmiechnęła się do własnych myśli, schowała stopy pod pościel i przekręciła się na bok. Wtuliła poduszkę pod głowę i zasnęła znowu.

Obudziła się, kiedy krótsza wskazówka sięgała dziewiątki. Przerażenie o mało nie zatrzymało jej oddechu. Czuła jak serce trzepocze w piersiach niczym mały, przerażony szczur złapany do laboratoryjnej klatki. Zimny dreszcz przebiegł od pośladków aż po nasadę karku. W jaki sposób obudzi Reggiego? Jak powie mu, że przyjdzie do pracy co najmniej godzinę spoźniony? Nie będzie miał czasu na *poważne* rozmowy, ale po południu, kiedy wróci z pracy, nic nie obroni jej przed *małą dyskusją* w sypialni. Bo Reggie tak powie: „czas na *małą dyskusję*, Di". I zaprosi ją do środka uprzejmym, pozbawionym emocji gestem. Deidre wiedziała, jak to będzie, gdyż kiedyś zdarzyło jej się zaspać prawie dwie godziny. Po południu Reginald stanął w sypialni, jeszcze w garniturze i z teczką w ręku. Ona siedziała na brzeżku łóżka wtulając dłonie pomiędzy drżące uda.

– Mam nadzieję, że nie miałeś przeze mnie kłopotów – powiedziała cicho, nie podnosząc wzroku.

To zdanie wyzwoliło w nim agresję. Cisnął w nią teczką, a srebrne okucie rozdarło skórę nad prawym okiem. Do dzisiaj miała w tym miejscu leciutką, bladą bliznę. Wąziutką kreseczkę wędrującą od prawego kącika w stronę skroni. Nie

szpeciła jej, a Reginald kiedyś powiedział, że dodaje jej twarzy charakteru. Ale potem było gorzej. Chwycił ją za włosy i rzucił twarzą w pościel. Czuła tylko zapach jego potu i zapach wściekłości.

– Prezes bardzo pilnie chciał się ze mną widzieć o dziewiątej – mówił, wyraźnie akcentując każde słowo i przy każdym słowie tłukąc ją z całej siły pięścią między łopatki.

Nie mogła ani krzyczeć, ani płakać, bo powietrze uwięzło jej w płucach. Zresztą krzyk i płacz najczęściej tylko rozdrażniały Reginalda. Wtedy chwycił ją obiema dłońmi za włosy i walił jej twarzą w poduszkę. To nawet nie bolało. Starała się tylko obracać twarz policzkiem, aby przez przypadek nie złamał jej nosa. Wreszcie zmęczył się i zlazł z łóżka. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na cichy płacz w wybrudzoną szminką poduszkę. A potem Reggie wrócił, przebrany już w domowe ubranie, i powiedział wesołym głosem.

– Wiesz co, pomyślałem sobie: pieprzyć prezesa. Co ja się będę przejmował? Zamówiłem chińszczyznę, kochanie. Co ty na to? Może wyjdę po butelkę wina, a ty się w międzyczasie wykąpiesz?

– Oczywiście, Reggie – odparła – miałam dzisiaj prawdziwą ochotę na coś ostrego.

– Coś ostrego będzie dopiero wieczorem – odparł z figlarnym uśmiechem i słyszała, jak schodzi po schodach, pogwizdując arię z *Cyrulika Sewilskiego*.

Dlatego teraz leżała, jak sparaliżowana, dopóki nie uzmysłowiła sobie, że nie musi nikogo budzić. Była dziewiąta godzina, a Reggie przebywał daleko stąd. Kilka tysięcy kilometrów dalej, w małym, londyńskim hoteliku na Gloucester Road. Zadzwonił do niej zaraz po przyjeździe i opowiedział (a raczej poskarżył się) dokładnie, jaki ma pokój i jak działa londyńskie metro (działało źle).

Wstała i odwróciła zegarek cyferblatem do blatu szafki. Zarzuciła na ramiona biały szlafrok i zeszła na dół, do kuchni. Wrzuciła do miseczki garść kukurydzianych płatków z owocami i zalała mlekiem. Przez chwilę miała ochotę wyjąć jajka oraz serdelki, ale potem uśmiechnęła się do siebie samej i wrzuciła wszystkie serdelki do worka na śmieci. Reggiego nie będzie przez tydzień, więc i tak nie będzie kto miał tego zjeść. Podgrzała tosta, posmarowała go duńskim masłem, po czym zostawiła na stole niedojedzone resztki. Do południa wylegiwała się w wannie i nastawiła jacuzzi na delikatny masaż. Od czasu do czasu, kiedy słyszała jakieś skrzypnięcie lub hałas dobiegający z zewnątrz, zamierało w niej serce. Zastanawiała się, co by było, gdyby teraz rozległ się w zamku drzwi chrobot klucza, a Reggie stanąłby w progu i z zadowoloną miną powiedział: „ale cię nabrałem, co?". Wiedziała jednak, że to absolutnie niemożliwe. Dokładnie o 23 czasu londyńskiego zadzwoniła do

jego nieprzytulnego (jak mówił) hotelu na Gloucester Road, aby życzyć mu dobrych snów i pocałować na dobranoc. Kiedy się z nią żegnał, słyszała w jego głosie niespotykaną czułość.

Tak więc nie musiała się bać, że to tylko dowcip. Znała go też na tyle, by wiedzieć, iż odwołany wcześniej z delegacji z całą pewnością zadzwoni, aby się poskarżyć i wyżalić. Bardzo rzadko rozmawiał z nią o swojej pracy i jeśli rozmowy takie już były, to ograniczały się do utyskiwań na tępych współpracowników i nic nierozumiejących szefów. Nie do końca wiedziała, czym się zajmował, poza tym, iż miało to związek z finansami i inwestycjami prowadzonymi głównie w Europie Zachodniej.

Po kąpieli dokładnie wytarła się suchym, dopiero co zdjętym z elektrycznego podgrzewacza, ręcznikiem i stanęła przed lustrem. Uśmiechnęła się na widok swojego ciała i lekko uniosła piersi dłońmi. Miała już trzydzieści jeden lat, ale ciało nastolatki. Szczupłe, zgrabne uda, idealnie przewężoną talię, biodra bez grama tłuszczu i piersi godne modelek Playboya. Była z Reggiem od jedenastu lat i nigdy nie kochała się z nikim prócz niego. Zdawała sobie sprawę z tego, że dwudziestoletnia dziewica to dość śmieszne w dzisiejszych czasach, ale jej doświadczenia erotyczne ograniczały się do pocałunków na prywatkach i ewentualnie delikatnych obmacywanek, z których szybko się wycofywała, widząc, że sprawy mogą zajść za daleko. Seks nie sprawiał jej ani szczególnej przyjemności, ani przykrości. Ale doskonale zdawała sobie sprawę, że Reginald oczekuje czegoś więcej. Z pism kobiecych czy z filmów świetnie wiedziała, jak powinna zachowywać się gorąca kochanka. „Och, kochanie, tak, tak właśnie rób", „Reggie, wsadź mi go, błagam", „Taaak, właśnie taaak, proszę cię". I spazmatyczny krzyk na koniec połączony z szarpnięciem paznokciami po plecach. Mógł być z niej zadowolony (widziała, że kiedyś oglądał w lustrze blizny po jej paznokciach z wyraźną satysfakcją), a jej nie sprawiało kłopotu wypowiadanie tych słów, które przelatywały gdzieś obok i niknęły, nieważne i nieistotne.

Przebrała się w zieloną sukienkę, zeszła do salonu i włączyła telewizor. Do wysmukłego kieliszka nalała sobie odrobinę martini, położyła się wygodnie na sofie i sięgnęła po puszkę z solonymi orzeszkami. I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Serce podskoczyło jej do gardła, ale zdała sobie sprawę, że to nie może być Reginald. Z całą pewnością nie dzwoniłby, tylko skorzystał z kluczy. Chyba, że... a jeśli zapomniał ich w Londynie? Nie, nie – starała się uspokoić – przecież wiesz, że to niemożliwe, aby wrócił już teraz. Wstała i cichutko podeszła do drzwi. Ktoś znowu nacisnął szybko i jakby ze zniecierpliwiem przycisk dzwonka. Raz, drugi i trzeci.

– Kto tam? – zapytała, przełamując się – kto tam? – powtórzyła głośniej.

– Federal Express – głos za drzwiami był trochę zniecierpliwiony – mam dla pani przesyłkę.

– Przesyłkę? – zdziwiła się – nie czekam na żadną przesyłkę.

– Proszę pani – głos naprawdę starał się być uprzejmy – ja tylko roznoszę paczki. Jeśli pani mieszka na Elm Street 12, to przesyłka jest do pani.

Deidre ostrożnie nachyliła się do wizjera. Przed progiem stał szpakowaty mężczyzna w pocztowym uniformie. Na ulicy zobaczyła zaparkowaną półciężarówkę z napisem FedEx. Ale ostatecznie przekonało ją, kiedy rozdzwoniła się komórka wisząca przy pasie u boku mężczyzny i wysłuchał on z niej jakiegoś głośnego, choć niewyraźnego polecenia i powiedział: „już jadę, szefie, tylko załatwię sprawę na Elm". Deidre odsunęła zasuwkę, a potem zdjęła łańcuch. Ostrożnie uchyliła drzwi.

– To dla pani – mężczyzna wyciągnął w jej stronę paczkę owiniętą w szary papier – pani Rice, prawda?

Deidre nie miała na nazwisko Rice. Pierwszy raz je usłyszała z ust tego mężczyzny. Już miała powiedzieć, że to pomyłka, i zamknąć drzwi, kiedy nagle wbrew sobie i zdumiona własnymi słowami powiedziała:

– Oczywiście, a któżby inny?

Zabrała paczkę z jego rąk (była ona naprawdę ciężka jak na swój rozmiar) i postawiła tuż za progiem.

– Proszę pokwitować – podał jej długopis, a ona jak głupia chciała wykaligrafować własne nazwisko i dopiero po chwili zorientowała się, że powinna podpisać się nazwiskiem Rice, więc zostawiła jakiś bazgroł, w którym wyróżniała się duża litera R.

Poczciarz nic nie zauważył i schował bloczek.

– Miłego dnia, proszę pani – powiedział i odwrócił się.

Zamknęła drzwi, czując dreszczyk niepokoju. Co znajduje się w tej paczce, która dziwnym zbiegiem okoliczności trafiła do jej rąk? Czy jeśli właściciel albo poczta zorientują się w oszustwie, nie będzie miała kłopotów? Czy uda jej się jakoś wyłgać? W jej podpisie – bazgrole – z całą pewnością nie dało się wyróżnić słowa „Rice", a sama Deidre nosiła nazwisko Reggiego, czyli Rose. Reginald kiedyś przyznał się, że jeszcze jego ojciec miał na nazwisko Rosellini, ale on sam zmienił je na bardziej amerykańskie. No cóż, jeśli nawet był różą, to taką, która ma bardzo wiele bardzo kłujących kolców.

Podniosła paczkę, zaniosła ją do kuchni i położyła na stole. Wyjęła z szuflady ostry nóż zakończony kłującym jak szpilka szpicem i biorąc głęboki wdech, roz-

cięła papier. W środku było kartonowe pudełko. Deidre odlepiła szarą taśmę i otworzyła karton. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo mocno zbitej, białej waty, a w niej... Wyciągnęła na stół opakowany w folię ciężki, chyba kamienny posążek. Zdjęła z niego folię i obejrzała go z mieszaniną fascynacji oraz zdumienia. Posążek przedstawiał postać siedzącą na kamieniu. Był to jasnowłosy mężczyzna ubrany w zielony kubrak i zielony, trójkątny kapelusik. W dłoniach trzymał coś, co przypominało niewielką gitarę o okrągłym pudle.

– Lutnia? – pomyślała Deidre.

Ale mężczyzna był nie tylko bardem lub trubadurem. Wzdłuż lewego uda widać było pochwę krótkiego miecza, a z tej pochwy sterczała błyszcząca srebrem głownia. Nie była to zresztą jedyna jego broń. Zza długiej cholewy prawego buta wystawała rękojeść noża. Jednak najbardziej zdumiewające były oczy figurki. Bard miał bardzo zimne i bardzo niebieskie oczy. Jak zimowe morze wokół norweskich fiordów – pomyślała Deidre, choć nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek widziała takie morze nawet w telewizji lub w albumie. Poza tym z całą pewnością był kimś, kogo budowę zwykło się nazywać herkulesową. Obcisły zielony kubrak wypychały potężne mięśnie, a lutnia zdawała się ginąć w jego wielkich dłoniach. Siedział na kamieniu lekko pochylony i jakby pogrążony w zamyśleniu. Palcami prawej dłoni niedbale dotykał strun instrumentu. W tym wszystkim Deidre była najbardziej zdumiona nieprawdopodobnym realizmem w przedstawieniu postaci przez rzeźbiarza. Bard miał jasną skórę i niewielki garb na nosie, a jego usta układały się w grymas lekkiego niezadowolenia.

Deidre przeciągnęła palcami po figurce i poczuła chłód metalu lub kamienia. Właśnie, z czego był zrobiony posążek? Uniosła go, zbadała powierzchnię dłońmi i doszła do wniosku, że jest to jednak kamień. Ale lutnia oraz głownia miecza i noża były najwyraźniej metalowe. Struny też były wykonane z cieniutkich, metalowych drutów.

– Kim ty jesteś? – zapytała w przestrzeń.

Nagle zdała sobie sprawę, że figurka może być jakimś okazem kolekcjonerskim i rzadkim dziełem sztuki. Nie znała się na sztuce i nie miała pojęcia, co w dzisiejszych czasach może być arcydziełem, a co kiczem. Ale jeśli rzeźba miała znaczną wartość, przestępstwo jej przywłaszczenia mogło zostać tym gorzej odebrane. Zastanowiła się, czy nie zadzwonić do FedExu i nie poinformować jego pracowników o pomyłce. Wtedy wszystko szybko się skończy. Zaraz przyjedzie uprzejmy i zabiegany pocztarz, odbierze posążek za pokwitowaniem i odjedzie. Jednak na myśl o tym, iż rzeźba tego pięknego mężczyzny mogłaby zniknąć z domu, poczuła jakiś żal.

– Ciekawe, kto do niej pozował? – zapytała samą siebie.

Wtedy z salonu rozległ się brzęczyk telefonu. Deidre drgnęła i rozejrzała się w panice. Sygnał znowu zaświdrował w jej uszach. Spłoszona wrzuciła pudełko, sznurki i masę waty do worka na śmieci i chwyciła figurkę w dłonie. Rozpaczliwie zastanawiała się, co z nią zrobić, a wtedy telefon zadzwonił po raz trzeci. Pobiegła z rzeźbą do przedpokoju, otworzyła drzwi swojej szafy i wepchnęła rzeźbę daleko w kąt, gdzieś pod równo złożone bluzki. Potem pobiegła do pokoju i rzuciła się do słuchawki, kiedy telefon zabrzęczał po raz piąty.

– Dom państwa Rose – powiedziała opanowanym głosem, z trudem powstrzymując szybszy oddech.

– Di? – głos Reginalda brzmiał tak wyraźnie, jakby mąż siedział w budce telefonicznej na sąsiedniej ulicy.

– A któżby inny, kochanie?

– Strasznie długo musiałem czekać, aż raczysz odebrać – powiedział z niezadowoleniem.

– Pastowałam podłogę w kuchni – powiedziała – i wiesz, zanim wytarłam ręce i dobiegłam, to zajęło trochę. Strasznie się cieszę, że dzwonisz.

– No – powiedział tylko, ale słyszała, że jest zadowolony.

Potem opowiadał jej przez kilka minut o londyńskiej pogodzie (była fatalna), angielskim jedzeniu (było zupełnie niestrawne) i swoich angielskich partnerach w interesach (byli nudni oraz ograniczeni umysłowo).

– Jeszcze całe pięć dni – rzekł na koniec – szału tu dostanę.

– Postaram się poprawić ci humor, jak przyjedziesz – powiedziała starając się wykrzesać w głosie nutkę zalotności.

– Jasne! – odparł i wiedziała, że tam po drugiej stronie Atlantyku uśmiecha się z satysfakcją – dobra Di, muszę kończyć. Zadzwonię jutro, dobrze?

Oczywiście nie zainteresowało go, co ona robiła przez cały dzień. Zresztą nawet gdyby ją spytał, nie zamierzała powiedzieć o dziwnej przygodzie z rzeźbą. Pluła sobie tylko w brodę, iż tak przeraził ją dźwięk telefonu, że schowała figurę do szafy. Przecież Reggie nie mógł widzieć, co się dzieje w domu w czasie rozmowy telefonicznej! A nawet, gdyby mieli wideotelefon, to na Boga, nie mógłby za jego pomocą dostrzec, co stoi na kuchennym blacie!

– Och, moja mała, ale z ciebie panikara – skarciła samą siebie i poszła do przedpokoju.

Otworzyła szafkę i sięgnęła w głąb, pod bluzki, tam gdzie ukryła figurkę. I nagle syknęła z bólu i zaskoczenia. W drewnie była jakaś drzazga albo pineska, która wbiła jej się w palec. Namacała jednak posążek i wyjęła go

z szafy. Zobaczyła, że wskazujący palec ma zraniony opuszek i cieknie z niego krew. Twarz barda była teraz nie biała, lecz różowa od krwi, a krew spływała też wolno z jego dłoni na lutnię.

– O rany – mruknęła i poszła do łazienki.

Odłożyła posążek na blat, przemyła rankę pod zimną wodą i wyjęła z szafki torebkę z plastrami. Uważnie zakleiła skaleczenie, które jak wszystkie skaleczenia na opuszkach palców miało, pomimo swej znikomej wielkości, tendencję do intensywnego krwawienia. Zastanowiła się, czy włożyć rzeźbę pod strumień wody, ale nie wiedziała, czy taka kąpiel by jej nie zaszkodziła. Przypuszczała, co prawda, że farba nie powinna reagować na wodę, ale uznała też, że lepiej dmuchać na zimne. Skończyło się więc na tym, iż przetarła rzeźbę dokładnie za pomocą wilgotnej szmatki. Potem poszła na górę i postawiła ją na szafce nocnej w sypialni.

– Hmmm, wiesz, miło będzie spać, wiedząc, że jesteś obok – powiedziała.

Położyła się dopiero koło północy. Obejrzała stary film z Marlonem Brando (kiedyś był naprawdę przystojny – pomyślała) i wypiła jeszcze dwa małe martini zmieszane z wodą. Czuła, że lekko szumi jej w głowie, bo zawsze szybko reagowała na alkohol. W końcu to właśnie po jakiejś mocno zakrapianej imprezie straciła dziewictwo w malutkim pokoiku w domu kumpla Reggiego.

– Nie chcę! – krzyknęła, kiedy zdarł jej majtki, ale był tak silny, że nie mogła nawet drgnąć.

Lewą ręką ścisnął jej dłonie w nadgarstkach (przez tydzień miała potem ślady jak po kajdankach), a prawą rozwarł jej uda. Potem już tylko zaciskała zęby, bo wszystko bardzo ją bolało w środku, a Reginald sapał i dyszał nad nią śmierdzący wódką i Old Spicem.

– Fajnie było, co mała? – powiedział na koniec i zdziwił się, zobaczywszy, że ma całe podbrzusze we krwi.

– Masz, kurwa, okres? – wtedy, mimo prawie całkowitej ciemności, pierwszy raz zobaczyła, jak jego oczy mętnieją.

– Nigdy jeszcze z nikim nie byłam – powiedziała cicho do poduszki, ale usłyszał te słowa i myślał chwilę nad nimi.

– O żesz, w mordę – powiedział – wypieprzyłem małą dziewicę – usłyszała w jego głosie wyraźne zadowolenie.

Położył się obok niej i dopiero teraz zdjął jej stanik szybkim, wyćwiczonym ruchem.

– No to chyba pociągniemy tę naukę – rzekł ze śmiechem.

Ale teraz po tych trzech małych martini w głowie czuła tylko przyjemny szum

i postanowiła pójść spać. Umyła zęby, przebrała się w ciemnozieloną jedwabną koszulkę nocną i wślizgnęła pod kołdrę. W półmroku zobaczyła figurkę barda stojącą u wezgłowia, na nocnej szafce.
– Dobranoc – powiedziała, ziewając – to był miły dzień.

Bardzo rzadko miewała sny. Najczęściej tylko jakieś nieuświadomione i nie zapamiętywane koszmary. Zdarzało się, iż budziła się z przyspieszonym oddechem, spocona i z sercem bijącym jak dzwon. Nie pamiętała, co ją tak przestraszyło, ale miała potem kłopoty z zaśnięciem. Tym razem jednak sen był bardzo wyrazisty, wręcz realny. Oto w progu jej sypialni stał jasnowłosy mężczyzna. Tyle, że teraz nie miał w dłoniach śmiesznego instrumentu z sześcioma strunami i był nagi. Zupełnie nagi, a w półmroku widać było potężne sploty jego mięśni.
– Jesteś taka piękna – powiedział miękkim głosem z jakimś dziwnym, staromodnym akcentem.
Musiał tak powiedzieć, bo piękni, nadzy mężczyźni pojawiający się w snach muszą być przecież uprzejmi. Obróciła się na bok i podparła ręką policzek.
– Chodź do mnie – powiedziała, gdyż przecież był to tylko sen i mogła robić wszystko, na co miała ochotę.
Uśmiechnął się, a ten uśmiech rozjaśnił jego lodowate, niebieskie oczy. Usiadł obok niej i delikatnie położył dłonie na jej włosach. Jego ręce były silne, ale niespodziewanie delikatne.
– Jak masz na imię, moja piękna? – zapytał.
– Deidre – odpowiedziała miękko, poddając się pieszczocie.
– To królewskie imię – rzekł poważnie – piękne imię.
Przesunął dłonie na jej ramiona i zaczął ją delikatnie masować. Okręciła się w jego rękach i ułożyła wygodniej.
– A ty? – zapytała – jak ty masz na imię?
Przez chwilę milczał, a dłonie pobiegły ku jej obojczykom.
– Lance – powiedział w końcu – myślę, że tak możesz mnie nazywać.
– Hmmm – zastanowiła się leniwie – gdzieś słyszałam to imię... chyba...
Palce mężczyzny delikatnie zsunęły się na jej piersi. Czuła, jak żar zstępuje z jej twarzy do sutków i biegnie aż do brzucha i pomiędzy uda. Szarpnęła się i chwyciła go za szyję. Zgarnęła jego głowę pomiędzy swoje piersi. Poczuła pocałunki. Delikatne jak powiew wiatru znad morza.
– Lance – powiedziała, żeby posmakować jego imię – och, Lance...
Kiedy obudziła się i zerknęła na zegarek, zobaczyła, że cyferblat cały czas obró-

cony jest w stronę blatu. Podniosła zegarek i z niedowierzaniem wpatrywała się we wskazówki. Była za pięć dwunasta! Nie pamiętała już, kiedy zdarzyło jej się spać tak długo. I wtedy przypomniała sobie ten niewiarygodny sen, który miała dzisiejszej nocy. Przypomniała go sobie i chociaż to był przecież tylko sen, poczuła, że rumieniec wypełza na jej policzki i dekolt.

– O, mój Boże – powiedziała do siebie – jakie ja śniłam świństwa!

Spojrzała na posążek barda, który w półmroku wydawał się uśmiechać do niej.

– Trzeba powiedzieć, kochanie, że masz nieliche wyobraźnię – rzekła i sama nie wiedziała, czy myśli o sobie, czy też o wyśnionym mężczyźnie, który pokazał jej rzeczy, o których do tej pory nawet nie odważyła się myśleć.

Od dawien dawna nie miała już erotycznych snów, więc ten sprawił jej prawdziwą przyjemność. Zwłaszcza, że był tak bardzo, bardzo realistyczny. Wręcz wydawało jej się, że czuje na sobie zapach mężczyzny ze snu, a piersi i podbrzusze leciutko, ale przyjemnie ją pobolewały.

Wyskoczyła z łóżka i przyszykowała kąpiel pełną piany. Wylegiwała się w niej co najmniej godzinę, a potem zamówiła ogromną i baaardzo niezdrową pizzę pełną frutti di mare. Spałaszowała całą, popijając lodowatym białym winem i nie pamiętała już, kiedy miała tak ogromny apetyt na cokolwiek.

– Lance – powtórzyła w myślach – co ja za imię sobie wymyśliłam? Ciekawe, czy ktoś taki istniał naprawdę? Może kolega ze szkoły, którego nawet już nie kojarzę, a którego imię na tyle mi się podobało, żeby podświadomie je zapamiętać? Jednak nie mogła sobie za nic przypomnieć, gdzie mogła słyszeć takie oryginalne imię, w którym było coś uroczo staromodnego.

Resztę popołudnia spędziła przed telewizorem, a kiedy zadzwonił Reginald, starała się rozmawiać z nim zupełnie naturalnie. Na szczęście nie wypytywał, co się dzieje w domu, bo zajęty był opowiadaniem o fatalnych warunkach pracy, podłej mżawce i zatłoczonym metrze. Słuchała tego, co mówi jednym uchem i czasami uprzejmie potakiwała, a czasami wyrażała zatroskanie. Wydawało jej się, że Reggie był zadowolony, kiedy odkładał słuchawkę. Wieczór spędziła równie leniwie jak popołudnie. Rozkoszowała się nie tyle możliwością nic nie robienia, ile faktem, że nie musi zwracać ciągłej uwagi na Reginalda i jego kaprysy. Czasami jeszcze czuła ukłucie lęku, kiedy myślała o tym, jak zareagowałby na zlew pełen brudnych naczyń, nieprzyzwoicie rozłożone pudełko po pizzy na kuchennym stole czy wilgotne ręczniki pietrzące się na suszarce. Ale wiedziała też, że będzie miała czas, by wszystko posprzątać i znowu stać się niezwykle solidną panią domu.

Tuż przed dwunastą poszła na górę do sypialni i wzięła pierwszą lepszą książkę z bibliotecznej półki. Czytała w łóżku przez mniej więcej godzinę (kiedyś uwiel-

biała czytać w łóżku, ale Reginald nie znosił, jak to robiła, więc odzwyczaiła się), a potem włożyła pomiędzy strony zakładkę i zgasiła lampkę.

– Ciekawe, co przyśni mi się dzisiaj? – pomyślała i miała nadzieję, że znowu będzie śnić o tym potężnym, jasnowłosym mężczyźnie o delikatnych dłoniach. Niestety zdawała sobie sprawę, że sny rzadko kiedy przychodzą na zawołanie i zamówienie.

Wtuliła twarz w poduszkę i zasnęła prawie natychmiast. Zerwała się z krzykiem w środku nocy, bo śniło jej się, że usłyszała w zamku chrobot klucza i że na progu domu stał Reginald z parasolem w dłoni i zmoczonym mżawką prochowcu. Zapaliła nocną lampkę i usiadła, wsłuchując się w ciszę. Nie było żadnego chrobotu klucza ani kroków w holu, jednak nie mogła się powstrzymać, by nie zejść na dół. Sprawdziła drzwi (były dokładnie zamknięte) i poszła do lodówki po wodę mineralną. Nalała sobie pełną szklankę wody bez gazu (bąbelki powodują wzdęcia – wyjaśnił kiedyś Reginald) i wypiła ją duszkiem. Spojrzała na ścienny zegar. Była czwarta rano i Deidre nie mogła oprzeć się myśli, iż jest to fatalna noc, gdyż zamiast pięknego sennego marzenia miała tylko koszmar z Reggiem w roli głównej. Czytała kiedyś w jednym z kobiecych pism (miała na to zwykle chwilę czasu, kiedy Reginald był w pracy), że każdy człowiek jest w stanie sterować własnymi snami i trzeba się tego uczyć, myśląc intensywnie przed pójściem spać o przyjemnych rzeczach, które mają nam się przyśnić. Nie do końca, co prawda, wierzyła w tak piękną teorię, ale uznała, że nie zawadzi spróbować. Nie pamiętała już, co to był za magazyn, bo Reggie nie znosił kobiecych pism, gdyż uważał, że zatruwają życie rodzinne i powodują, że kobietom przewraca się w głowach. Słowo „kosmodziwki" było czymś, czego lubił używać, aby określić kobiety nie tyle wyemancypowane, ile mające własne zdanie. Dlatego Deidre dbała, aby przed przyjściem Reginalda z pracy wszelkie tego rodzaju magazyny wylądowały w worku na śmieci.

W każdym razie wróciła do sypialni, weszła pod kołdrę, zgasiła światło i zamykając oczy, zaczęła koncentrować się na jasnowłosym mężczyźnie ze snu. Przypomniała sobie jego potężne bicepsy i długie, opadające na ramiona jasne włosy. Starała się wskrzesić jego zapach i jedwabisty dotyk skóry. Próbowała przypomnieć sobie ciepły oddech, który czuła na karku, na piersiach, między udami, wszędzie... Usiłowała usłyszeć jego miękki, poważny głos i słowa, które powtarzał: „Deidre, czy wiesz, że to imię królowej?". Ale niestety z przywoływań i marzeń nic nie wyszło. Zasnęła twardym snem i spała zarówno bez koszmarów, jak bez marzeń.

Obudziła się znowu koło południa, ale tym razem już nie tak podekscytowana i rozradowana, jak zeszłego dnia, lecz nieco ospała. Czuła, że coś drapie ją w gardle i miała wrażenie, jak gdyby łapała ją gorączka.

– Tylko nie to – pomyślała z rozpaczą – spędzić czas, kiedy nie ma Regi-

nalda, chorując w łóżku, kaszląc i smarcząc w chustkę byłoby chyba najgorszym rozwiązaniem!

Zaparzyła szklankę herbaty z cytryną, wyciągnęła zapasik lekarstw z szafki i wyszukała te przeciwko anginie, grypie i przeziębieniu. Zażyła solidną dawkę, a potem znowu zamówiła pizzę, lecz tym razem tylko z serem, oliwkami i ogromną ilością pikantnego sosu pomidorowego. Kończyła jeść (przeziębienie wydawało się odchodzić w niepamięć), kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. O mało nie zakrztusiła się kawałkiem pizzy i znowu przez chwilę musiała uspokajać rozdygotane serce. Dzwonek zabrzmiał jeszcze dwa razy. Szybko i niecierpliwie. Zbliżyła się na palcach i ostrożnie pochyliła się w stronę wizjera. Na progu stała młoda, elegancka kobieta w szarej garsonce. Miała ciemne, spięte w wysoki kok włosy i bystre, duże oczy. Zbliżyła znowu palce do dzwonka i Deidre dostrzegła, iż ma długie paznokcie (chyba z tipsami – pomyślała) pomalowane ciemnoczerwonym, wpadającym wręcz w bordowy lakierem.

– Proszę otworzyć – powiedziała nieznajoma spokojnym, ale stanowczym głosem i wdusiła przycisk jeszcze dłużej.

Deidre odczekała, aż dzwonek umilknie i odsunęła zasuwkę. Zdjęła łańcuch i uchyliła drzwi. Kobieta na pewno nie wyglądała na włamywaczkę lub akwizytorkę. Raczej na PR'a w dużej firmie notowanej na rynku NASDAQ. Deidre sama nie wiedziała, czemu taka myśl przyszła jej do głowy.

– Słucham? – powiedziała.

– Pani Rose, prawda? – zapytała kobieta bez uśmiechu. Jej wzrok był bystry, inteligentny i twardy.

– Tak – odparła Deidre.

– Czy pozwoli pani, że wejdę?

– Proszę – Deidre zawahała się przez moment, ale potem otworzyła szerzej drzwi.

Kobieta podziękowała skinieniem głowy i weszła do środka. Deidre poprowadziła ją do salonu i uprzejmym gestem wskazała miejsce na fotelu. Nie mogła nie zauważyć uważnego wzroku nieznajomej i tego, w jaki sposób spojrzała na kolekcję słoni.

– Czym mogę pani służyć? – zapytała.

– Nazywam się Rice – wyjaśniła kobieta – Ann Rice. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Deidre ledwo powstrzymała się, by nie przełknąć nerwowo śliny. A więc pojawiła się właściwa adresatka posążka! Teraz należało grzecznie wyjaśnić sprawę, oddać kobiecie jej własność i uprzejmie się pożegnać. Zamiast tego Deidre powiedziała:

– Przykro mi, ale nie. A powinno?

– Odebrała pani moją przesyłkę – głos kobiety stwardniał – cenną rzeźbę, którą ci debile z FedExu źle przepakowali i pomylili adres.
– Naprawdę mi przykro – powtórzyła Deidre – może się pani napije kawy?
– A może przyjdę z policją?
Deidre poczuła zimny dreszcz biegnący od nasady kręgosłupa aż po kark. Co powiedziałby Reginald na wizytę policji w domu? Jak by mu to wyjaśniła? Ośmieszasz mnie, Di – usłyszałaby – musimy chyba *przedyskutować* ten problem.
– Jak pani sobie życzy – powiedziała oschle, starając się zapanować nad emocjami – nie wiem, o co pani chodzi, ale uważam tę rozmowę za skończoną. Czy wyjdzie pani sama, czy to ja mam zadzwonić po policję?
Kobieta wstała z fotela i przyjrzała się Deidre zaintrygowanym, ale nie wrogim wzrokiem.
– Tak pani na niej zależy? – zapytała – ciekawe...
– Do widzenia.
– No cóż – pani Rice skierowała się do wyjścia – miłej zabawy, kochanie – powiedziała już, stojąc przy drzwiach i Deidre zobaczyła na jej twarzy lekki, ironiczny uśmieszek.
Osłupiała zamknęła machinalnie drzwi za swym nieproszonym gościem, poszła do kuchni i wypiła duszkiem szklankę wody. Zobaczyła, że drżą jej dłonie. Co ona miała na myśli? O co jej chodziło? – pytała sama siebie. I zabawne, że była wręcz pewna, iż zna odpowiedź, chociaż sama bała się przed sobą do tego przyznać.

Śniło jej się, że usłyszała kroki na korytarzu. Drzwi do sypialni było otwarte (a przecież pamiętała, iż zamknęła je, kładąc się do łóżka). W mroku stał jasnowłosy mężczyzna z jej marzeń. Tym razem nie był nagi, lecz ubrany w zielony kubrak, w lewej dłoni trzymał śmieszny trójkątny kapelusik, a w prawej lutnię. Wydawał się jakby nierealny, jakby rozmyty lub lekko przezroczysty. Wydawało się jej, że widzi poprzez jego ciało drzwi do łazienki.
– Krew, moja pani – usłyszała głos jak szept, który otulał ją – krew to życie, piękna Deidre. Krew to miłość...
Szept zanikał, a postać stawała się coraz bardziej przezroczysta, wreszcie zachwiała się, jakby w podmuchu wiatru, i szczezła w mroku. Deidre obudziła się nagle, oczy miała mokre od łez. Nie wiedziała, czemu chwycił ją za serce tak straszny, dojmujący żal. Obróciła się i płakała długo w poduszkę, sama nie pojmując, dlaczego rozpacza. Cały czas była pogrążona w czymś w rodzaju snu-nie snu i jawy-nie jawy. Gdzieś na granicy świadomości tańczyły słowa: „krew to miłość, krew to życie, piękna...".

Wreszcie wybudziła się naprawdę i podniosła z łóżka, czując, że bolą ją skronie. Spojrzała na zegarek. Była dopiero czwarta trzydzieści, a ona wiedziała, że nie da rady już zasnąć, pomimo że późno się położyła i niespokojnie spała. Słowa usłyszane we śnie cały czas ją zastanawiały i lekko przerażały. Czy nie powinna pójść do psychoterapeuty? Do psychoanalityka? Co to wszystko miało znaczyć? Spojrzała na stojącą u wezgłowia łóżka figurkę. Bard wydawał się zadumany i spoglądał gdzieś w dal wzrokiem, w którym Deidre wyczytywała tęsknotę. Nagle zdecydowała się. Porwała posążek, wzięła go w dłonie i zbiegła po schodach do kuchni. Zapaliła światło i gwałtownie wyciągnęła szufladę. Na podłogę z grzechotem posypały się sztućce. Deidre wyciągnęła nóż o spiczastym czubku.

– Chcesz krwi? – zapytała w powietrze – dobra, będziesz miał krew!

Zamknęła oczy i przejechała ostrzem przez środek dłoni. Zabolało. Zapiekło. Odważyła się odemknąć powieki i dostrzegła, że krew zalała środek dłoni i skapuje na podłogę.

– Jezuuus, co ja robię??? – zawyło w niej to rozsądniejsze „ja".

Ale szalona Deidre w tym samym momencie chwyciła w prawą dłoń posążek, a lewą dłoń, pełną krwi, zawiesiła nad głową barda. Figurka momentalnie pokryła się czerwienią. Deidre poczekała chwilę, a potem odstawiła rzeźbę na stolik. Skąpany we krwi bard wyglądał co najmniej dziwnie. Wtedy dopiero w pełni dotarło do niej, co naprawdę zrobiła i pobiegła do łazienki, starając się nie chlapać wszędzie krwią. Ale i tak na podłodze korytarza wykwitały w ślad jej kroków czerwone plamy.

Skaleczenie okazało się powierzchowne, ale spędziła w łazience sporo czasu, zanim udało się jej zatamować krew i nałożyć plastry, które trzymałyby się skóry. Potem – jak porządna pani domu – przeszła przez dom ze ścierką i starannie usunęła wszystkie szkarłatne plamy. Wreszcie spojrzała na posążek, na którym krew – jej krew! – zdążyła już ściemnieć i zastygnąć. Westchnęła i zabrała go do łazienki, a tam, tak jak poprzednio, dokładnie przetarła wilgotną szmatką. Następnie wysuszyła rzeźbę i zaniosła z powrotem na nocny stolik. Wsunęła się w pościel i spojrzała na twarz barda. Nie była pewna, czy kąpiele nie zaszkodziły posążkowi, bo bard teraz wydawał się patrzeć prosto na nią, a kąciki jego ust zginały się w leciuteńkim uśmiechu.

– Jestem szurnięta – powiedziała do siebie i zgasiła światło – szurnięta jak Marcowy Zając – porównanie rozbawiło ją i wyobraziła sobie siebie samą na herbatce z Kapelusznikiem, więc parsknęła śmiechem w poduszkę.

Tym razem była pewna, że to już nie jest sen. Mężczyzna siedział obok, na skraju łóżka, i z uśmiechem bawił się jej rudymi włosami. Zaplątywał je sobie wokół

palca i rozplątywał. Poczuła nieprawdopodobny wręcz strach, ale wtedy delikatnie dotknął jej policzka.

– Nie bój się, moja pani – powiedział, starając się nadać głosowi miękkość – przecież mówiłem ci, że krew to życie i krew to miłość...

Nie mogła pohamować drżenia dłoni ani bicia serca. Zaschło jej w ustach.

– Nie przybyłem, aby wyrządzić ci jakąkolwiek krzywdę – jej strach wyraźnie go przygnębiał – jestem po to, by ci służyć.

– By mi służyć? – zdołała wyjąkać.

– Twoja krew pulsuje w moich żyłach, bicie twego serca jest biciem mojego serca. Patrz...

Ujął delikatnie jej dłoń i przyłożył do swojej klatki piersiowej, potem wziął drugą dłoń i położył tuż pod lewą piersią Deidre. Poczuła, że oba serca – jej i Lance'a – biją jednym rytmem.

– Kim jesteś? – powtórzyła, ale teraz to pytanie było dużo poważniejsze niż tamto zadane, jak by się mogło wydawać, przez sen.

– Jestem Lance – odparł i zobaczyła w jego oczach nieskończony ból.

I wtedy nagle ujrzała go, jakby był kimś innym. Trwało to tylko moment, chwilę nie dłuższą niż ta, która pozwala na zmrużenie powiek albo na jedno uderzenie serca. Zobaczyła go w srebrnej, stalowej zbroi i w hełmie. Jasne włosy sypały się na lśniące naramienniki, u boku tkwił miecz o inkrustowanej złotem i szlachetnymi kamieniami rękojeści.

– Lancelot – powiedziała olśniona – jeden z rycerzy Artura!

I znowu widziała już tylko smutnego, jasnowłosego olbrzyma w zielonym kubraku.

– Inni zginęli, szukając świętego Graala – rzekł i słyszała w jego głosie ból – walczyli z Morganą i Mordredem, a ja zawiodłem. Szukałem doczesnych rozkoszy i oszalałem z miłości dla królowej. Zdradziłem mego władcę, uwiodłem jego żonę i zabiłem sir Gawaina, mego przyjaciela i najszczodrzejszego wśród ludzi. Gdy ginął Artur, mnie nie było w słodkiej Anglii – niezauważalnie zaczął mówić z tak silnym akcentem, że prawie go nie rozumiała – więc, kiedy mój król umarł, tylko ja jeden nie ruszyłem z nim na zielone pola Avalonu...

– Dlaczego tu jesteś? – ośmieliła się mu przerwać.

– By odkupić grzechy – powiedział znów wyraźnym głosem – by dawać, a nie brać. By służyć, a nie rządzić. By słuchać, a nie żądać. By myśleć o innych, a nie o sobie.

– Och, Lance – przytuliła go do siebie, czując jego ból i tęsknotę tak wyraźnie, jak gdyby były jej bólem i jej tęsknotą.

Dni do przyjazdu Reggiego, które spędziła w towarzystwie Lancelota, były najpiękniejszymi chwilami w jej życiu. Czasami wydawało się, że są tak cudowne, iż mogą być tylko bajką. Otoczył ją opieką i czułością, a w każdym momencie zdawała sobie sprawę z jego miłości i pożądania. Kiedy usypiała, wiedziała, że patrzy na nią, a jego palce delikatnie trącały struny lutni. Kiedyś zauważyła, że przestał grać, ale muzyka trwała nadal i kołysała ją do snu. Telefon od Reginalda odebrała tylko raz, pomimo że często słyszała awanturujący się dzwonek. Ale nie miała zamiaru rozmawiać z człowiekiem, który teraz wydawał jej się obcy i odległy. Tak więc tylko raz zeszła do salonu, by podnieść słuchawkę i wysłuchała całej litanii narzekań. Gdzieś tam czuła też w jego głosie zaniepokojenie, a pod tym zaniepokojeniem kryła się groźba. Nie mógł sobie pozwolić na mówienie o *małej dyskusji* lub *poważnej rozmowie*, gdyż był za daleko, ale wiedziała, że rośnie w nim chęć, aby sprowadzić ją z powrotem na ziemię i przypomnieć o małżeńskich obowiązkach.

Nie rozmawiała z Lancelotem o swoich kłopotach, a on nigdy już nie wrócił do tematu odkupienia win. Bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Arturze i jego rycerzach (kiedy była nastolatką, starała się czytać wszystko, co tylko możliwe na ten temat, ale ogromna większość wiadomości wyparowała z jej pamięci), lecz zdawała sobie sprawę, że Lance za bardzo cierpiał, aby mówić o tym spokojnie. Dlatego nie rozmawiali wiele. Czas spędzali w łóżku, w wannie, leniwie przytuleni na sofie w salonie, w kuchni, gdzie starała się gotować wymyślne potrawy, a on jadł i śmiał się, że prowadzi na nim eksperymenty. Wychodziła codziennie tylko na moment, aby kupić coś do jedzenia. Głównie owoce i świeże pieczywo. Lancelot lubił to samo, co ona. Smakował mu omlet z brzoskwiniami i cielęce bitki z francuskimi kluskami. Uwielbiał sałatę w ostrym czosnkowym sosie (przecież nie może mi śmierdzieć z ust – rzekł lodowatym tonem Reggie, kiedy zrobiła taką sałatę po raz pierwszy) oraz marcepan w czekoladzie.

Deidre nie myślała o powrocie Reginalda, ale zdawała sobie sprawę, że ten dzień nadejdzie. Dzień, kiedy Reggie stanie w drzwiach ich domu, a jego oczy zmętnieją. Wiedziała, że powinna się bać tej chwili, ale znajdowała schronienie w ramionach Lancelota. Jednak, kiedy siódmego dnia obudziła się całkiem sama w łóżku, nie była zdziwiona. Na początku myślała, że poszedł do łazienki, potem szukała go w salonie, aż wreszcie zdała sobie sprawę z faktu, że odszedł na dobre. Wróciła do sypialni i spojrzała na figurkę barda stojącą u wezgłowia. To był tylko pozbawiony życia kamienny posążek.

– To już koniec, prawda? – zapytała w przestrzeń ze smutkiem, ale bez żalu.

Zdawała sobie sprawę, że to musiało się stać. Wykąpała się, starannie ubrała i spakowała walizki, a potem postawiła je w holu pod schodami. Wszystkie czynności wykonywała automatycznie i bez pośpiechu, z jakąś przerażającą starannością. Było jej cały czas nieludzko smutno, ale jednocześnie żarzyła się w niej nadzieja, iż wszystko to miało swój sens.

Kiedy usłyszała chrobot klucza w zamku, nie przestraszyła się. Serce uderzyło mocniej, ale zaraz wróciło do spokojnego rytmu. Stanęła w holu. Ubrana w długą, obszerną sukienkę w kolorze złamanej czerwieni, którą Reginald kazał jej wyrzucić dawno temu, a która cudem ocalała w szafie. Reggie pojawił się w progu. Miał na sobie długi prochowiec, a w ręku trzymał ociekający wodą parasol.

– Co się dzieje, Di? – warknął zamiast powitania – dzwonię wczoraj, dzwonię dzisiaj. Myślałem, że przyjedziesz po mnie na lotnisko! Co ty wyprawiasz, do cholery?

Patrzyła na niego i wiedziała, że się go już nie boi. Ale on zrozumiał jej spokój jako zakłopotanie i przyznanie do winy. Zdjął z ramion płaszcz i odstawił parasol.

– Będziemy musieli *poważnie porozmawiać*, Di – powiedział grobowym tonem – o twoim stosunku do małżeństwa.

Z jego oczu znowu wyjrzało czarne zwierzę, które zwykle wprawiało ją w paraliżującą panikę. Ale nie teraz.

– Tak, Reginald – powiedziała spokojnie – pogadamy sobie o naszym małżeństwie.

Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na nią badawczo. Jeszcze nie zaniepokojone, ale już zaintrygowane.

– Chcesz mi pyskować, kobieto? – powiedziało.

– Nie – odparła spokojnie – spakowałam twoje walizki – machnęła dłonią w stronę schodów – zabieraj je i wynoś się stąd. Wynoś się z mojego życia.

Wtedy zwierzę ruszyło. W bezpardonowym, wściekłym ataku. Nawet nie zdążyła się zorientować, kiedy runęło na nią całym ciężarem, przyparło do ściany i chwyciło za szyję.

Jak zwykle pachniało Old Spicem.

– Czy ja dobrze słyszę? – zasyczało – och, wierz mi Di, to będzie *bardzo, bardzo poważna rozmowa* – powiedziało z przerażającym rozmarzeniem w głosie.

Wtedy z całej siły uniosła do góry kolano. I trafiła celnie. Reginald zawył i zwalił się na podłogę, nie mogąc złapać oddechu. Ciemne zwierzę w jego oczach cofnęło się. Jeszcze nie przerażone, ale już zaniepokojone. Kiedy zwijał się i ciężko dyszał (ubarwiając to dyszenie słowami, ty kurwo, ty dziwko, zabiję cię) podeszła

i zabrała parasol. Chwyciła go za srebrny szpic tak, że ciężka kościana rączka mogła jej służyć za broń. Uderzyła z półobrotu, celując prosto w twarz, ale zdołał zasłonić się dłonią. Krzyknął, bo chyba połamała mu palce. Uśmiechnęła się do własnych myśli i weszła do salonu. Odłożyła parasol i zajrzała do barku. Wyjęła wysoką szklankę i nalała sobie na pół palca martini, a resztę dopełniła wodą. Dopijała drinka, kiedy pojawił się w progu pokoju.

– Ty cholerna kurwo – powiedział głosem bez wyrazu – to ja sobie żyły wypruwam, żeby cię utrzymać, a ty tak mi odpłacasz?

Nie zamierzała go słuchać. Ujęła znowu parasol za srebrny szpic i podeszła do jego kolekcji słoni. Wzięła zamach jak wytrawny bejsbolista. Bach! Wielki zielony słoń oberwał prosto w głowę i rozpadł się na kawałki. Jeden z okruchów trafił Reggiego pod oko. Bum! Wycelowała w małego, kamiennego słonika z opuszczoną trąbą, a ten poleciał jak pocisk i ugodził Reginalda prosto w czoło. Reggie opadł na kolana, a ciemne zwierzę w jego oczach uciekało w dzikiej panice. Trach! Przezroczysty szklany słoń oberwał w samą trąbę i zakręcił się jak baletnica, roztrącając pozostałe figurki. Buch! Zamiotła parasolem po szafce, strącając wszystkie posążki na podłogę.

– Wynoś się, Reginald – powiedziała spokojnie – bo za chwilę dołączysz do swoich słoni.

Patrzył na nią wzrokiem, w którym nie było nic. Ani wściekłości, ani żalu, ani żądzy zemsty. A nie, jednak coś było. Jakieś niewiarygodne niezrozumienie.

– To juś? – zapytało małe, ciemne, skurczone zwierzątko w jego oczach – ziabawa siem juś śkończiła?

– Zabawa się skończyła – odpowiedziała zwierzątku i z całej siły, z góry, jak obuchem wyrżnęła kościaną rączką w szklany stolik.

Pękł z hukiem i lamentem rozpryskiwango wokół szkła. Ostry jak sztylet kawałek sam trafił do jej dłoni. Ujęła go ostrożnie, bo nie chciała poranić sobie palców.

– Masz ochotę na poważną rozmowę o naszym małżeństwie, Reggie? – spytała, uśmiechając się.

Starał się wycofać rakiem do holu i udało mu się to.

– Nie? To zabieraj walizki!

– Dobra – powiedział Pan Opanowany, zaczynając nową grę – teraz stąd wyjdę i wrócę, jak dojdziesz do siebie...

Ledwo zdążył się uchylić, bo szklany szpikulec przeleciał tuż obok jego policzka i rozprysnął się na ścianie.

– Zmykaj, Reginald – powiedziała obojętnym tonem.

Potem usłyszała już tylko trzask zamykanych drzwi i zasunęła zasuwkę. Weszła

do salonu pełnego okruchów rozbitego szkła i opadła na klęczki, nie zważając na to, że może poranić sobie kolana.

– Och, Lance – jęknęła wtulając twarz, w poduszki leżące na sofie, bo cała energia już z niej uciekła – gdzie jesteś, Lance?

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. A raczej trzy szybkie, krótkie dzwonki. Wstała i ujęła parasol. Nie był już śmiercionośną bronią, więc odłożyła go na bok. Powlokła się do drzwi i odsunęła zasuwkę.

– Niech będzie, co ma być! – pomyślała.

W progu stała Ann Rice. Jak poprzednio elegancka i zimna, niczym lód.

– Dobrze – powiedziała Deidre zrezygnowanym tonem – mam pani rzeźbę. Proszę wejść.

Pani Rice weszła do środka i uważnie przyjrzała się okruchom szkła w przedpokoju, a potem obejrzała kolekcję słoni, która zaścielała dywan w salonie. Uśmiechnęła się i uśmiech uczynił jej zimną twarz prawie że miłą.

– To już nieważne, kochanie – powiedziała – nie przychodzę w sprawie rzeźby. Pomyślałam sobie, że możesz potrzebować pomocy.

Sięgnęła do kieszeni i podała jej wizytówkę. Przeczucia zawiodły Deidre, gdyż pani Rice nie była PR koncernu notowanego na rynku NASDAQ. Była jednym z trzech wspólników firmy adwokackiej.

– Przyniosłam upoważnienie – powiedziała rozkładając na stole papiery – podpisz je szybko, moja droga i zaczniemy całą zabawę.

– Upoważnienie? – zapytała.

– Tak, kochanie. Upoważnienie do reprezentowania cię w czasie sprawy rozwodowej. Zaczniemy od zakazu zbliżania się na odległość pięciuset metrów, zablokowania kont męża na poczet podziału majątku oraz oddania ci do dyspozycji waszego domu do czasu wydania wyroku.

Deidre patrzyła na nią oszołomiona.

– Nie mam pieniędzy na adwokata – powiedziała w końcu.

– Jest taki dowcip, który mówi: co to jest tysiąc adwokatów na dnie morza? A odpowiedź brzmi: dobry początek – roześmiała się pani Rice – ale ja poprowadzę tę sprawę dla własnej satysfakcji, Deidre – dodała – więc podpisuj, dziewczyno!

Podpisała, a wszystko wydawało jej się jakimś zdumiewającym snem. Pani Rice zgarnęła papiery do teczki.

– Jeszcze dzisiaj załatwię nakaz – powiedziała – a za godzinę zjawi się przed twoim domem ochroniarz.

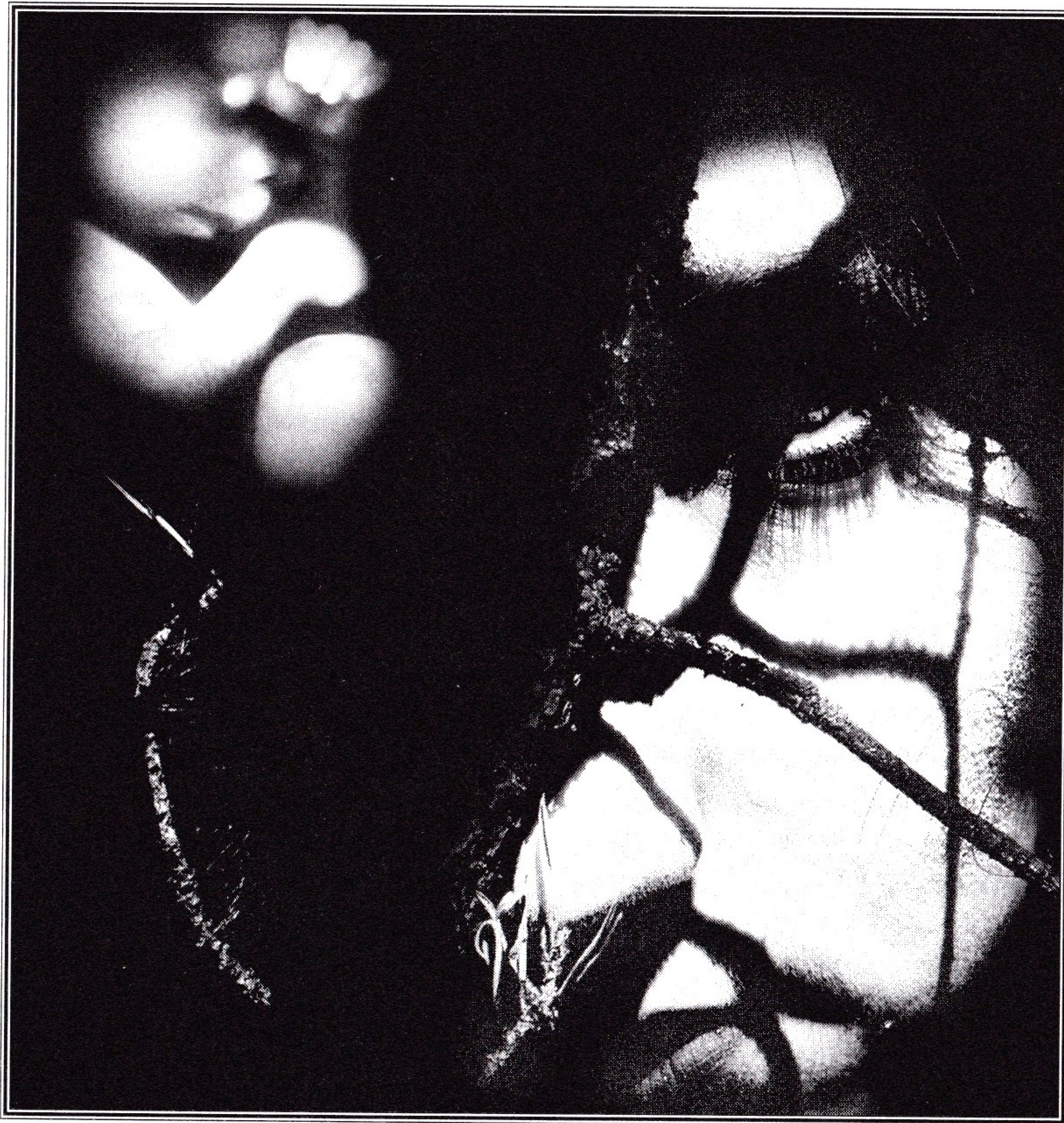
Odprowadziła ją do drzwi.

– Ann? – zagadnęła.

– Tak?
– Skąd wiedziałaś?
Uśmiechnęła się samymi ustami.
– Z wiarygodnego źródła, kochanie – powiedziała i miała lekko rozbawiony głos.
– Czy... czy on istniał? – ośmieliła się zapytać i opuściła wzrok.
Ann Rice przez chwilę milczała.
– Mam ci odpowiedzieć jako prawnik, czy jako... – zawiesiła głos, jakby zastanawiając się, jakiego słowa ma użyć – przyjaciółka?
– Jako przyjaciółka – Deidre podniosła wzrok.
– Oczywiście, że istniał – odparła – Lancelot, Gawain, Tristan, sir Cyd, Robin z Sherwood... Kimkolwiek by nie był – istniał. Czy nie widzisz, jak odmienił twoje życie? Czy trzeba lepszego świadectwa?
– Wróci? – chwyciła ją za rękę.
– Nie, Deidre – pani Rice spojrzała na nią tym razem poważnie – i lepiej, aby nie wracał.
– Dlaczego?
– Bo Artur jest tylko tam, gdzie zagraża Mordred. Tylko kiedy przybywa cudak z Gisbourne, pojawia się Robin. Tylko kiedy atakuje cię drapieżnik, musisz wezwać myśliwego. Rozumiesz, co mam na myśli, kochanie, prawda?
– Rozumiem – powiedziała i zamknęła za nią drzwi.
Kiedy spojrzała przez okno, zobaczyła, jak pani Rice wsiada do srebrnego BMW zaparkowanego na podjeździe. Nadal padał deszcz, a burzowe chmury przetaczały się nad miastem. Deidre natężyła wzrok i wydawało jej się, że w półmroku, gdzieś w cieniu domu po przeciwnej stronie ulicy, stoi ogromna postać w zielonym kubraku. Zamrugała, ale kiedy podniosła powieki, nie było już nikogo.
– Och, Lance – powiedziała w pustkę, ale wiedziała, że już niedługo żal umrze i pozostanie tylko słodka pamięć.

Siostra czasu

Grażyna Lasoń-Kochańska



Grażyna Lasoń-Kochańska (?, bo kobietom się wieku nie liczy) – jest doktorem filologii polskiej i pracuje w Zakładzie Dydaktyki Języka Polskiego w Słupsku. W środowisku miłośników fantastyki słynie jednak przede wszystkim jako specjalistka od mitów i baśni. Do historii polskiej literatury fantastycznej weszła dzięki wielokrotnie publikowanemu w pismach i antologiach okrutnemu i pięknemu opowiadaniu *Suong*. Prywatnie jest żoną pisarza Krzysztofa Kochańskiego.

W *Siostrze czasu* Lasoń-Kochańska zastanawia się nad tym, czym są śmierć i narodziny człowieka.

Chciałabym mieć dziecko.
Białe jak śnieg, rumiane jak krew,
o włosach czarnych jak heban

Ja też – pomyślała pochylona nad grządką niemłoda już kobieta. – Też bardzo pragnę dziecka. I wcale nie musi być białe jak śnieg, ani rumiane jak krew, ani mieć włosów czarnych jak heban. Nawet nie musi być dziewczynką. Po dziewczynki przychodzą złe, zazdrosne czarownice jak po Śnieżkę i Roszponkę. Płeć i wygląd, jakie to ma znaczenie? Dla kobiety, dla matki – żadne. Dziecko to skarb. Najważniejsze, żeby w ogóle było, a o jego szczęście już ja się postaram.

Kobieta rozprostowała plecy i rozejrzała się nieufnie po przydomowym ogródku.

– Nie dałabym zrobić mu krzywdy, choćby na mój dom zwaliły się ogry i czarownice z całego świata – oznajmiła karłowatej gruszy.

Grusza, jakby z niej szydziła, właśnie pączkowała. Kobieta prawie widziała jej wezbrane, tętniące zielonym życiem soki. Rozejrzała się po ogrodzie. Rozpychająca się wiosna była nie do zniesienia. Kobieta wciągnęła zapach rozkopanej, żywej ziemi, przełknęła wzbierające łzy i uwolniła swój ból.

– Chcę dziecka – wrzasnęła, zadarłszy głowę. – Ponad wszystko na świecie pragnę dziecka – krzyknęła kwietniowemu niebu.

Jej wołanie uniosło się wysoko, wysoko, ponad drzewa w ogrodzie, ponad czerwony dach domu z krzywym kominem i pomknęło przez gwar wieczoru, przez ciszę i przez czas. Daleko, daleko usłyszała je jasnowłosa siostra Czasu.

Śmierć szła powoli ocienioną aleją parku. Szła, rozglądając się wokół, a kiedy dotarła na słoneczny plac, przy którym bawiły się dzieci, usiadła na ławeczce. Wesoła gromadka biegała wokół fontanny, ktoś gonił za piłką, jakaś dziewczynka upadła i głośno się rozpłakała. Gwar i ruch. Śmierć odgarnęła do tyłu długie, jasne włosy i splotła ręce na kolanach. Jej spojrzenie zatrzymało się na małym domku, przy rogu przeciwległej ulicy. Domku z przykładną, czerwoną dachówką i równie grzecznymi skrzynkami czerwonych pelargonii. Poprzez bielone ściany, wzrokiem właściwym tylko Śmierci, dostrzegła, że w małym pokoju niemłoda już kobieta rodzi

dziecko. Kobiecie było coraz trudniej. Oddychała gorączkowo i wstrząsały nią dreszcze.

Pieśń dziecka wiła się równie gorączkowo, to wypływała na powierzchnię, to ginęła w mroku. Śmierć dostrzegła w niej coś odmiennego, innego od pieśni dzieci, w których rytm zawsze zaglądała. Ten dzieciak w ogóle nie chciał się urodzić, nie pchał się na świat jak wszystkie. Pragnął pozostać poza czasem.

– Och, kochanie – wyszeptała Śmierć. – Kochanie, należysz już do mnie.

Wstała z ławki i niezauważona przez nikogo poszła wprost do domku z czerwoną dachówką. Do pokoju weszła tak cicho, jak tylko Śmierć to potrafi, i stanęła przy węzgłowiu porodowego łóżka. Musiała poczekać, ale wiedziała, że już teraz dziecko się jej nie wymknie.

Chłopiec powoli budził się ze snu. Śniło mu się, że jest ziarnkiem piasku, które zostało połknięte przez muszlę i zamieniło się w perłę. Tkwił we wnętrzu muszli i bardzo chciał, żeby ktoś go znalazł. Wiedział, że jest skarbem, tylko nie mógł sobie przypomnieć, kto znajduje takie skarby.

Kiedy otworzył oczy, słońce obejmowało już pół groty.

– Musi być późno – pomyślał. – Szkoda czasu.

Zerwał się i skierował prosto do wyjścia. Blask słońca, odbijający się w kwarcowym łuku sklepienia, oślepił go na chwilę. Chłopiec uderzył mocniej nogami i już był na zewnątrz. Kochał ten moment. Otworzył się dla niego świat kształtów i kolorów. Minął pomarańczowe, pięcioramienne rozgwiazdy i wyzłocone słońcem prążkowane ryby. Z zachwytem zwrócił się w stronę falującego łanu bladoróżowych, prawie przezroczystych ukwiałów. Przepłynął nad nimi i skierował się w dół, ku ciemniejącym w oddali skałom. Kiedy znalazł się bliżej, zamarł z wrażenia. Znowu zobaczył dzieci. Na skalnych półkach siedziały dwie dziewczynki, identyczne jak dwa ziarnka piasku, jak dwie krople wody. Już przedtem widywał dzieci, ale nigdy dwoje naraz. I nigdy identycznych. Spróbował podpłynąć bliżej, ale tak jak zwykle, nie mógł. Jakaś niewidzialna ściana odgradzała go od innych, broniąc dostępu. Zły i rozżalony, wyprężył ciało i wzbił się w górę. Płynął długo, aż się zmęczył i uspokoił. Tu było jasno, coraz jaśniej. Złotawe światło pulsowało łagodnie, dawało poczucie bezpieczeństwa. Sączyło się z prześwietlonej słońcem bursztynowej groty, większej od tej, w której spał. Wpłynął tam ostrożnie. Grota przechodziła w długi tunel wsparty częściowo na skalnym podłożu. Nie było tu ciemno, bo tworzyły go półprzezroczyste, bursztynowe bloki. Po kilku zakrętach tunel urwał się raptownie i chłopiec znalazł się w olbrzymiej sali. Pływało tu kil-

koro dzieci, kiedy jednak zbliżył się do nich, rozpierzchły się w różne strony. Podążył za ciemnoskórym chłopcem, ale ten zatrzymał się gwałtownie, nieruchomiejąc. Inne dzieci zastygły w bezruchu w tym samym momencie. Dryfowały tak wszystkie, zawieszone w wodzie, patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

Chłopiec zauważył, że każde z nich wpatruje się w lustro, w lustrzaną ścianę sali. Podążył wzrokiem za najbliższą dziewczynką, ale zobaczył tylko mgłę, białą, kłębiącą się, wirującą coraz szybciej. Taką mgłę, w której można się zgubić i zostać w niej na zawsze. W której możesz krzyczeć, wrzeszczeć, wzywać pomocy, ale i tak nikt cię nie usłyszy; biała wata zdusi każdy głos i zostaniesz w końcu sam, samiuteńki, odcięty od innych. Z trudem oderwał wzrok od gładkiej tafli. Dziewczynka, która należała do tego zwierciadła, wydawała się jednak spokojna, nawet uśmiechała się lekko. Może widziała coś innego? Pozostałe dzieci również patrzyły przed siebie bez cienia strachu, ich twarze były odprężone i błogie. Opłynął korowód nieruchomych postaci i znalazł pomiędzy nimi puste miejsce. Wiedziony instynktownym przymusem, zajął je i spojrzał w zwierciadło. Mgła. Gęsta, niepokojąca mgła. Nie, mgła ciepła jak mleko, miękka jak puszysta kołderka. A spoza mgły wyłania się obraz. Ten obraz. Znajomy, rozpoznany od pierwszej chwili, a z każdą następną coraz bardziej własny. Uliczka w małym mieście, brukowana uliczka, przy której krzywe, chociaż świeżo pomalowane domy, są tak stłoczone, jakby miały zamiar na siebie wejść.

Wielki jak balon księżyc wisi nad domem krytym czerwoną dachówką, dokładnie nad kominem, z którego unosi się mały pióropusz dymu. Okna domu są ciemne, tylko w jednym, narożnym, pali się światło. To światło wzywa i zaprasza, jest wręcz natarczywie znajome. Chłopiec je pamięta, zna je od zawsze, tylko nie może sobie przypomnieć, skąd. Podpłynął bliżej i przywarł dłońmi do lustra. Obraz zafalował, oddalał się i rozmywał, aż w końcu zniknął w białej mgle, która teraz wydawała się bliska, niemal własna.

Obudził się w swojej małej grocie. Znowu śniło mu się, że jest perłą w muszli, ale teraz perłę znalazła kobieta i bardzo się ucieszyła. On też się cieszył, że będzie odtąd należał do niej. Sen mgliście przypomniał mu, że ma coś do zrobienia. Powinien czegoś szukać. Wypłynął i skierował się w górę, ku złotemu światłu. Kiedy obok pojawiła się bursztynowa grota, wiedział, że właśnie tam zmierza. Znał to miejsce, już je sobie przypomniał. Kojarzyło się z tęsknotą i niepokojem. Dzisiaj w sali nie było innych dzieci. Podpłynął do lustra i przylepił nos do szklanej tafli jak zawsze. I wtedy usłyszał zew. Początkowo był to tylko szum, po chwili jednak

przeszedł w wyraźny rytm. Ten rytm go wzywał. Przywarł do zwierciadła całym ciałem i poleciał w przód, bo tafla nagle zniknęła. Natychmiast znalazł się w gęstej mgle. Było tu tak miękko i bezpiecznie, że chciało się zostać na zawsze. Ale dźwięk był natarczywy, nie pozwalał na to. Teraz już nie przypominał szumu.

– To jest pieśń – pomyślał chłopiec. – Pieśń dla mnie, żebym się nie zgubił.

I złapał się tej pieśni jak liny ratunkowej. Trzymał się jej mocno i powoli, krok po kroku zaczął przesuwać się we mgle. Parł mozolnie do przodu, jednocząc się z pieśnią, aż w końcu jej rytm stał się rytmem jego własnego ciała. Wszystko, co nie było nimi, stawiało im opór. Nie wiedział, jak długo to trwało. W końcu mgła zrzedła i zobaczył drogę. Droga biegła samym środkiem pustki. Po obu jej stronach nie było niczego, a ona sama wyłaniała się z tej pustki jako jedyna rzecz, która istnieje. Wszedł na nią bez wahania. Przed sobą miał jaśniejący, świetlisty szlak, za sobą ciemność. Choć tego nie pojmował, wiedział, gdzie się znalazł; wszedł na Drogę Czasu i musi nią iść aż do końca. Koniec nastąpił szybko. Nie zdziwiły go dwie postacie, siedzące na wysokich tronach, po obu stronach świetlnego traktu. Stary, zgrzybiały dziad Czas i jego siostra, Śmierć. Chłopiec zobaczył ich prawdziwe postacie, bo w tej krainie widzi się wszystko takim, jakie jest w swej istocie. Śmierć miała młodą, aksamitną skórę dziecka, tak gładką, aż chciało się ją pogłaskać.

– Nie rób tego – powiedziała, doganiając myśli chłopca. – Na to musisz poczekać, ale obiecuję, że kiedyś będziesz mógł mnie dotknąć. We właściwym czasie.

A Czas siedział obok, zwalisty i nieruchomy, jak omszały głaz. I wiadomo było, że trwa tak od zawsze. Pogrążony w bezruchu, nie drgnął nawet, kiedy Śmierć wstała i podeszła do chłopca.

– Musisz skoczyć – powiedziała.

Dopiero teraz zobaczył, że kilka kroków za tronami Droga urywa się nagle. Postąpił do przodu i ujrzał bezdenną, niezmierzoną przepaść. I teraz dopiero się przestraszył. W panicznym odruchu zawrócił i chciał uciekać, ale Drogi już nie było. Była tylko pustka.

– Jak widzisz, nie ma powrotu – stwierdziła Śmierć. – Jest tylko to, co teraz.

Drżał na całym ciele i nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Drżał z przerażenia, ze strachu przed skokiem, ale najbardziej z powodu poczucia utraty. Wiedział, że świat, jaki znał i kochał; świat kolorów, kształtów i dotyku przestał istnieć. Jest tylko ciemność. Ciemność, która przeraża i jednocześnie zaprasza. Śmierć podeszła bliżej, tak blisko, że znów widział aksamit jej delikatnej twarzy. Jasne włosy spłynęły na niego, kiedy się pochyliła.

– To tylko chwila, której nie będziesz pamiętał. Podobnie jak całego swojego życia.

I właśnie wtedy nieruchomy Czas odemknął ciężkie powieki i spojrzał na chłopca. A ten wiedział już, że rzeczywiście nie ma powrotu, nie ma wczoraj, nie ma wyboru. Jest tylko ta chwila. Jedna chwila, do której wszystko prowadzi. Wiedziony odwiecznym spojrzeniem podszedł do krawędzi i skoczył.

W białym domku, krytym czerwoną dachówką i ozdobionym skrzynkami równiutkich pelargonii zegar wybił godzinę dziesiątą. Rodząca kobieta westchnęła z ulgi i ze szczęścia. Razem z nią głośno odetchnęli wszyscy domownicy. Nawet czerwone pelargonie rozchyliły wreszcie swoje płatki.

– Chłopiec – rzeczowo stwierdziła położna. – Duży, silny i zdrowy. Długo to trwało, ale masz syna.

Kobieta uśmiechnęła się tylko, nie mając siły, żeby odpowiedzieć.

Pochylona nad dzieckiem położna rutynowo wykonywała niezbędne zabiegi. W pewnej chwili, zastygła dotąd w błogim bezruchu twarz dziecka skurczyła się, a małe ciałko zwinęło w nagłym spaźmie. W pokoju rozległ się wrzask noworodka. Śmierć okrążyła porodowe łóżko, podeszła do malucha i pochyliła się nad nim. Jasne włosy sypnęły się, kiedy właśnie otworzył przerażone oczy.

– Nie mówiłam, że tu będzie łatwo. Obiecałam tylko, że nic nie będziesz pamiętał.

Dotknęła główki dziecka smukłą dłonią o delikatnych palcach i chwilę wsłuchiwała się w skupieniu.

– Życie będziesz miał niełatwe; widzę ciężką chorobę, a na starość samotność. Ale długie, bardzo długie.

Ja jednak niczego tak dobrze nie umiem, jak czekać. Aż przyjdzie w końcu dzień, kiedy dotkniesz mojego policzka. Taki jesteś śliczniutki, dotkniesz go, dotkniesz na pewno, już tak nie krzycz. Uśmiechnięta Śmierć szczebiotała do dziecka, jak robią to wszystkie kobiety świata. Dziecko darło się wniebogłosy, jak wszystkie zdrowe noworodki.

– Jestem taka szczęśliwa – rzuciła światu matka dziecka, patrząc na skrzynki swoich zadbanych pelargonii.

A wiatr poniósł jej wyznanie wysoko, wysoko, ponad zielone drzewa w ogrodzie, ku niebieskiemu niebu i złotemu słońcu, poniósł jeszcze dalej, do samego końca, gdzie usłyszał je zgrzybiały dziad Czas i uśmiechnął się przez sen.

Opowieść Wigilijna

Tomasz Pacyński



Tomasz Pacyński (1958) – od lat zajmuje się informatyką, chociaż w stanie wojennym musiał zarabiać jako spawacz. Niedawno wyniósł się z Warszawy i mieszka na prowincji wraz z rodziną oraz stadem psów i kotów. Do tej pory opublikował powieści *Sherwood* oraz *Wrzesień*.

Opowieść Wigilijna to wspaniałe opowiadanie dla miłośników tzw. „popkultury", a co ważne, z istotnym morałem mówiącym, że dzieci należy kochać i szanować. Bo inaczej...

Dla GIN-a, który nie znosi świąt.
nF, dzięki za pomysł

Zbliżali się, otaczając półkolem. W środku brodaty drab o tłustej, zapijaczonej gębie, ułomkiem kija bilardowego uderzał we wnętrze lewej dłoni. Na gębie rozlewał się obleśny uśmiech. Był pewien przewagi, nawet nie musiał się rozglądać, czuł obecność kompanów.

Ten z lewej nie miał nic, żadnego kija, kastetu, bejsbola. Nie musiał. Już na pierwszy rzut oka widać było, że wystarczą mu gołe ręce. Gołe, świecące od potu przedramiona, pokryte obscenicznymi tatuażami. Za to drugi, ten szczurowaty, kryjący twarz w cieniu... Złowiła błysk światła odbity od rozbitej, trzymanej za szyjkę butelki. Tak zwanej różyczki.

Nie przestraszyła się jednak. Oblizała tylko wyschnięte wargi.

Tłustogęby drab uniósł ułomek kija, wznosząc go do beznadziejnie sygnalizowanego uderzenia. Runął do przodu...

Z dezaprobatą wydęła wargi. Zawsze tak jest. Szybki unik, tłustogęby z wyrazem zaskoczenia usiłuje złapać równowagę. Cios w kark, lekki, zadany jakby mimochodem powala go, wyprężonego, na podłogę. Z brudnych desek podnosi się kurz. Smugi światła ładnie tańczą w ciemnym wnętrzu speluny.

Zawsze tak jest. Teraz, przy wtórze przypominających rąbanie drzewa odgłosów, Steven Segal szybkimi ciosami masakruje twarz drugiego, tego z wytatuowanymi łapskami. Ten spluwa krwią w takt uderzeń, z regularnością i obfitością urządzenia do polewana ogródka. Teraz...

– Eeee, tam...– mruknęła, macając po kołdrze w poszukiwaniu pilota. Teraz ten z butelką podkradnie się z tyłu, ustawi się tak, by dostać w samo ciemię podbiciem stopy w kowbojskim bucie. Błądzące po kołdrze palce nacisnęły guzik. Ten sam odgłos, głuche ciosy w niesamowitym tempie. Na następnym kanale Jackie Chan robił to samo, tylko z większym wdziękiem. Jeszcze raz. Bez sensu, animowane śnieżynki, kurduple w czerwonych czapeczkach. Jeszcze raz.

– Proszę...

Ręka trzymająca pistolet schowana za plecami, czujne spojrzenie przez wizjer.

– Proszę... - usta drgają, oczy wypełniają się łzami, spływają po policzku, rozmazują krew z rozciętej wargi.

Szeroko otworzyła oczy. Wpuść ją; no wpuść... Czekała na szczęk zamka, szczęk zwalnianych rygli. Czekała, cała napięta, choć słyszała ten dźwięk tyle razy, choć wiedziała, że usłyszy za chwilę.

Długa chwila, wreszcie upragniony dźwięk. Matylda wsuwa się do środka.

Szkoda, pomyślała, szkoda, że dopiero teraz. Bezbłędnie trafiła w guzik, na ekranie pokazała się zielona kreska. Będzie głośniej.

Szkoda. Chętnie jeszcze raz zobaczyłaby tłustą gębę tatusia, czołgającego się w korytarzu, zanim Gary Oldman strzeli po raz kolejny. Tatusia, czy kolejnego wujka, wszystko jedno. Poczuła skurcz żołądka. Nie wszystko jedno, ten ostatni wujek jest wyjątkowo wredny. Zwłaszcza, jak go obudzić, gdy chrapie po pijaku.

Chrapie po pijaku... Wciąż czując skurcz żołądka, macała w poszukiwaniu pilota, nie trafiła, plastikowe pudełko spadło na podłogę. Rzuciła się za nim, wyskakując spod kołdry, namacała, na szczęście od razu, tuż pod łóżkiem. Ściszyła telewizor, przez chwilę nasłuchiwała, stojąc boso na zimnej podłodze. Cisza. Tylko niewyraźne chrapanie, dobiegające przez cienką ścianę działową. Może nie...

Skrzypienie łóżka było wyraźne przez cienki gips z kartonem. Gips z kartonem, wiedziała dobrze, od kiedy poprzedni wujek wypił po pijaku dziurę piąchą. Chciał trafić mamę. Ale ona zawsze była szybka, prawie jak Steven Segal. Musiała być szybka, w takiej pracy.

Łóżko zaskrzypiało jeszcze raz, dobiegło niewyraźne przekleństwo. Stała nieruchomo, ściskając pilota w spotniałej nagle dłoni. Na ekranie Leon rozlewał mleko do szklanek.

Jeszcze raz niewyraźny pomruk. Przechodzący powoli w rytmiczne pochrapywanie. Rozluźniła się, czując, jak drżą jej nogi. Jak zimne są płytki PCV. Cicho, by nie poruszyć skrzypiącego łóżka wpełzła pod kołdrę. Ostrożnie zwiększyła siłę głosu, tylko trochę. I tak znała dialogi na pamięć.

Pieprzone święta. Mama wróci nad ranem, blada pod makijażem, długo będzie masować opuchnięte od szpilek stopy. Wujek będzie się snuł po mieszkaniu, przewracając graty po kątach i szukając flaszki, którą niechybnie wieczorem gdzieś zachomikował. Dopóki nie znajdzie i nie łyknie klina, lepiej mu pod łapy nie podchodzić. Nie będzie wprawdzie obmacywał, nie z rana, ale zdzielić może. Odruchowo dotknęła opuchniętej jeszcze wargi. Rano zdzielił, nie bacząc, że mama zagroziła wydrapaniem ślepiów. Zdzielił, w wigilijny poranek.

– Czy życie zawsze jest takie zasrane? – spytała Matylda.

– Zawsze – odpowiedziała razem z Leonem. – Zawsze, siostro... – dodała po chwili.

Matylda składała pistolet. Oksydowane części trafiały bezbłędnie na swoje miejsce.

Mógłby przynieść coś takiego, ten cały cholerny Mikołaj. Ma gdzie zostawić, uśmiechnęła się, jest nawet choinka. Z lampkami, za dychę od ruskich, wujek się szarpnął, kiedy zobaczył, że mama przyniosła drzewko. Nawet starał się być miły po tym, jak już walnął swojego klina. Zbyt miły. Poczuła dreszcz, gdy przypomniała sobie dotyk oślinionych warg na policzku, drapanie nieogolonej skóry. I łapsko boleśnie ściskające pośladek. Będą siniaki.

Mama wydarła się wtedy, szarpnęła za ramię, błysnęła paznokciami w ślepia. Zaczął się głupio tłumaczyć, rozmemłany i dobroduszny po pierwszej porannej ćwiartce. Skończyło się na awanturze.

Mógłby przynieść pistolet. Mógłby... Ale przecież nie ma żadnego Świętego Mikołaja. Może pod choinką znajdzie się banknot, od mamy oczywiście. Jeśli wstanie wcześnie i wujek nie zdąży zwinąć go na gorzałę. Bo mama wpadnie tylko nad ranem, na chwilę. I znów pójdzie do pracy. Dużo pijanych tatusiów i wujków szlaja się po knajpach, zamiast siedzieć przykładnie z rodziną. Nawet więcej, niż w zwykłe dni. I jak mówiła mama, żal ich nie oskubać. Pewnie. Mogliby przecież pakować prezenty, zamiast chlać i szukać wrażeń. Bo przecież Mikołaja nie ma...

Ale pistolet mógłby przynieść. Wyobraziła sobie, jak stoi nad wujkiem, wyobraziła sobie wykrzywioną strachem twarz, muszkę dokładnie między przekrwionymi ślepiami. No, teraz będziesz trzymał łapy przy sobie...

Ale Mikołaja nie ma. A wujek nie handluje prochami, w ogóle niczym nie handluje. Nikt nie przyjdzie go zabić, żaden Oldman ze swoją drużyną. Bo wujek nie skręci nikomu prochów, żadnemu wielkiemu bossowi. Najwyżej znów przyjdzie dzielnicowy, a potem wujka wypuszczą z powodu małej szkodliwości społecznej. No, ale dobre i dwa dni.

Nie ma Mikołaja. To po co ta pieprzona choinka? Na co to wszystko?

Nikt nie zapuści korzeni. Oszukujesz się, Matyldo. To tylko roślina, głupie zielsko. Leon odszedł i nie wróci. Zostałaś sama, głupia gówniaro.

Otarła łzy, nacisnęła wyłącznik na pilocie. Końcowe napisy zamieniły się w cienką kreskę, potem w punkt. Punkt zgasł, ekran jeszcze chwilę żarzył się słabnącą poświatą, blady prostokąt w ciemności. Wreszcie ściemniał do końca.

I wtedy usłyszała ten dźwięk. Ciche dzwonki.

Jingle bell, jingle bell... Srebrzyste dźwięki dzwonków układały się natrętnie w melodię, dobiegały gdzieś z zewnątrz, za ciemnego okna, zasłonięte-

go szczelnie. Przybliżały się i oddalały. Leżała cicho, znów była małą dziewczynką, nie wyzutym ze złudzeń podlotkiem. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ciemność, ale zamiast niej widziała rozświetloną choinkę, srebrne nitki anielskiego włosa, łańcuchy z kolorowego papieru. Krągłe bombki, śmiesznie odbijające dziecięce twarze, wyolbrzymiające ciekawe noski, pucołowate policzki. Królewnę Śnieżkę z krasnoludkami, jelonka Bambi, czy jak mu tam było...

Dzwonki zadzwoniły jeszcze raz, po czym ścichły. A potem...

Zza cienkiej ściany doszedł głuchy łomot, niewyraźne przekleństwa. Zmartwiała, pierzchła choinka, mrugające lampki. Wujek spieprzył się z wyra. Zaraz wstanie i...

Przekleństwa zmieszane z cichym szuraniem, a w tle regularny charkot. Wujek zawsze tak chrapie po pijaku, jakby się miał udusić, jakby za chwilę miał poderwać się z łóżka w beznadziejnej walce o zaczerpnięcie oddechu. Im bardziej charkocze i się dławi, tym mocniej śpi. Coś stuknęło o podłogę. A wujek chrapie...

Znów stuknięcie. Ale nie tam, za cienką ścianką działowa, gdzie znajduje się rozmemłany barłóg. To przecież... Tak, to z dużego pokoju, pustego zwykle i zimnego, tam, gdzie stoi choinka. Ktoś włączył ruskie lampki, bo zza drzwi, przez matową szybę sączy się kolorowa poświata.

Jingle bell, jingle bell... Dzwonki znów dźwięczą, srebrzysty dźwięk przybliża się, znów oddala. Zdaje się wypełniać ponurą norę, zwaną nie wiadomo dlaczego mieszkaniem. Poświata płynąca od drzwi wydobywa z mroku plamy na tapetach.

Czuła chłód w koniuszkach palców, gdzieś głęboko czający się strach. Przecież... Przecież to niemożliwe. Przecież go nie ma. To tylko sen.

Zaraz się obudzę. Będzie zimne mieszkanie w obskurnym bloku. Będzie ten wieprz chrapiący za ścianą, ten... Ped... Zaraz, jak mama mówiła? Ty pedale? Nie, ty pedofilu, przypomniała sobie. Będzie zielony drapak z ruskimi lampkami, krzywo wetknięty w garnek z piaskiem. Wujek się krzywił, że piach kotem śmierdzi. A czym ma śmierdzieć, przecież jest z piaskownicy...

Zaraz się obudzę. Z tą myślą odrzuciła jednak kołdrę, stanęła na zimnych płytkach, poczuła dreszcz. Ale realny ten sen, przemknęło jej przez głowę. Sztywno zrobiła krok, potem drugi. Ujęła klamkę. Dzwonki wciąż rozbrzmiewały, wypełniały cała głowę, zdawały się otaczać zewsząd. Jingle bell...

Nacisnęła klamkę, drzwi zaskrzypiały żałośnie, jak kot nadepnięty na ogon. Mimo wypełniającego wszystko srebrzystego brzmienia dzwonków usłyszała, jak chrapanie wujka urwało się na chwilę. Chwila trwała długo, odmierzana głuchymi uderzeniami serca. A gdy myślała, że już minęła nieskończoność zaskrzypiały sprężyny, wujek zamamlał coś i zachrapał znów

z regularnością kwarcowego zegarka. Poczuła ulgę spływającą z falą ciepła. Wciąż otoczona dźwiękiem dzwonków zdecydowanie pchnęła drzwi.

Ruskie lampki nie mogły dawać takiego światła. Chuderlawy świerczek mienił się wszystkimi barwami tęczy, rozbłyski igrały na gałązkach. Nawet kotem nie śmierdziało, nozdrza wypełnił balsamiczny zapach żywicy i coś jak woń niedawno zapalonych świec, ciepła woń topiącego się wosku.

Twarz dziewczynki rozjaśniła się. Szeroko otwartymi, zachwyconymi oczyma wpatrywała się w choinkę. I w tego, który odwrócony tyłem klęczał pod nią.

A klęczał tam ktoś ubrany w długi, lamowany białym futerkiem, czerwony płaszcz. Spod czapki, też czerwonej, z pomponem, wymykały się długie, srebrne włosy. Święty Mikołaj mruczał coś pod nosem, grzebiąc w wielkim, wypchanym worku. Też czerwonym. Brzuchatym, wypełnionym po brzegi niespodziankami.

Już nie była twardym podlotkiem. Już nie chciała być Matyldą, z wielkim pistoletem. Znów była małą dziewczynką, małą Anią. Znów, jak przed laty, jak to ledwie pamiętała. Kiedy jeszcze był z nimi tata...

Uśmiechnęła się szeroko, radośnie, wargi same składały się do nucenia do wtóru dzwonkom. Z zachwytu aż klasnęła w dłonie.

Pochylone nad workiem plecy mamroczącego Mikołaja drgnęły.

– ...mać! – dokończył z rozpędu, głośniej i wyraźniej. Odwrócił się powoli. Gdy dojrzał dziewczynkę, skrzywił się.

– ...mać! – powtórzył. – No i znowu...

Dzwonki ucichły. Widziała twarz Mikołaja, ze zdziwieniem spostrzegła, że nie jest pucołowaty, rumiany i dobroduszny. Patrząc na wychudzoną brodatą twarz, można było go wziąć za Osamę bin Ladena. Gdyby nie czapka ze śmiesznym pomponikiem. No, ale wszystko poza tym się zgadzało. Płaszcz, i worek. I prezenty.

– Czy... – zaczęła nieśmiało, wyciągając ręce.

– Stój tam gdzie jesteś! – warknął Mikołaj. Jego oczy twardo błysnęły. Jak oczy Osamy. Cofnęła się, uśmiech zamarł jej na twarzy.

– No, nie bój się – uśmiechnął się nieszczerze Mikołaj. – Tak, jestem Świętym Mikołajem... – dodał szybko, widząc wyginające się w podkówkę usta. Nie można tak ostro, zganił się, jeszcze się spłoszy, przestraszy...

Uśmiech powoli wrócił na twarz Ani. To tylko sen, pomyślała. Ale niech trwa...

– Przyniosłeś mi prezenty?

Mikołaj zmieszał się wyraźnie. Odwrócił wzrok i zaczął grzebać w worku.

– Taak... – mruknął. – Ale to i tak już na nic...

W porę ugryzł się w język. Byle nie przestraszyć.

– Co powiedziałeś?

A co tam. Ręka świętego grzebiąca w worku natrafiła na poszukiwany przedmiot. Ujął go mocno i odwrócił się powoli. Już czas, im szybciej, tym lepiej. Trzeba iść dalej, dopiero niedawno zabłysła pierwsza gwiazdka, roboty jeszcze wiele. Może następnej nie spartoli.

– Muszę cię zabić.

Uwierzyła od razu. Musiała uwierzyć. Z twarzy Mikołaja spoglądały zimne, nieruchome oczy bin Ladena. Spoglądały wprawdzie spod śmiesznej czapeczki z pomponikiem, ale znad lufy tęponosego rewolweru. Co najmniej 45 ACP, spostrzegła mimo woli, mimo nagłego paraliżu, który ją ogarnął. Zbyt wiele filmów oglądała.

– Muszę cię zabić. Widziałaś mnie, więc muszę.

Wciąż trzymał ją na muszce, mierząc z środek piersi. Zna się na rzeczy, zauważyła jakaś część umysłu Ani, ta niewypełniona do końca paraliżującym strachem. Z takiego rewolweru strzela się w najszersze miejsce celu.

– Takie są zasady... – dodał Mikołaj, zupełnie niepotrzebnie, grzebiąc wolną ręką w worku z prezentami.

Dzwonki ucichły. Zamiast nich słychać było paskudny dźwięk, skrzypienie gwintu tłumika nakręcanego na lufę. Święty znał się na rzeczy.

Pod lufą rewolweru kołysał się uwiązany na nitce kartonik, ozdobiony pyzatą buzią aniołka i tłoczonymi gałązkami jedliny. Można było odczytać odręczny napis. For Michael with love, Merry Christmas – Mamma. Po angielsku, lecz wyraźnie sycylijskim charakterem pisma.

Mikołaj złowił jej spojrzenie.

– A tak – powiedział. – Michael był grzeczny tego roku. Bo dla Sonny'ego mam rózgę...

To sen, pomyślała z ulgą. Odprężenie odbiło się na jej twarzy.

– Nie łudź się, mała, to rzeczywistość. Jestem tak samo rzeczywisty, jak Michael Corleone i jak ty. A raczej tak samo nierzeczywisty. To noc wigilijna, noc cudów...

Zachichotał obleśnie.

– Zwierzęta mówią ludzkim głosem, Mikołaj przynosi prezenty. Tylko w tę noc. A to...

Uniósł rewolwer z kolbą oklejoną specjalną taśmą. Nie zostaną odciski, pomyślała bezradnie, nikt... Jezu, co ja... Przecież... Przecież on zaraz...

– A tak – z oczu Mikołaja znikły wesołe błyski. – Zaraz cię wykończę...

Splunął.

– Wykończę i dalej do roboty... Niech to szlag trafi, jak ja nie znoszę Wigilii.

Znów spoglądała w wylot lufy, tym razem mierzył między oczy. Mała, czarna dziurka na końcu cylindra tłumika. Ciekawe, co za skurwiel był tak grzeczny, żeby zasłużyć na tłumik pod choinkę?

Lufa obniżyła się, celowała teraz między piersi, małe, ledwie rysujące się dziewczęce piersi. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wychudzoną twarz świętego, widziała, jak język powoli oblizuje wąskie wargi.

Krótka, sięgająca połowy ud koszulka, małe, skurczone sutki odznaczające się przez cienki materiał. Tak cienki, że widać prześwitujący zarys majteczek. W oczach Mikołaja błysnęło coś, co przypominało wzrok wujka pedofila. Oblizał wargi jeszcze raz. A może najpierw...

Złowiła jego spojrzenie. I zamiast strachu pojawiła się złość.

– No strzelaj! Rób swoje i zjeżdżaj!

Nie pamiętała, z jakiego to filmu.

Lufa znów celowała między oczy. Rozzłościła go.

– No dobrze, mała, pamiętaj, to biznes. To nic osobistego.

Lewa ręka namacała coś na stoliku. Kanciasty kształt popielniczki. Ciężkiej, kryształowej, wujek przyniósł z ostatniego włamu, nie potrafił się oduczyć zostawiania fantów w domu. Zagadać, zyskać na czasie...

– A...

Nacisk na spust zelżał. W oczach Mikołaja pojawiło się zniecierpliwienie.

– Słuchaj, mała, nie mam czasu, robota czeka. Trzeba rozwieźć prezenty... No dobra, wiem, ostatnie życzenie... Byle szybko.

Opuścił nieco broń.

– Opaski na oczy nie mam – dodał. – A papierosy dzieciom szkodzą...

Zachichotał złośliwie.

– Chcia... – zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa. Nie mogę, pomyślała rozpaczliwe, nie powiem. Nie wydobędę głosu. Niech się to już skończy. W pustych oczach świętego błysnęły złośliwe ogniki.

– Tylko się nie posikaj – doradził życzliwie.

Drwina poskutkowała.

– Powiedz mi... – o co go spytać? O co? – Powiedz... powiedz, jak wchodzisz do domu, kiedy nie ma komina? – wypaliła nagle. Sama nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy, nie była zresztą ciekawa. Palce zaciskały się na popielniczce.

O dziwo, święty wyraźnie się zmieszał. Opuścił trochę broń, uciekł spojrzeniem.

– Następne pytanie – mruknął.
– O nie! – krzyknęła triumfalnie, widząc, że przypadkiem trafiła. – To ostatnie życzenie, musisz odpowiedzieć! Takie są zasady!
Nie wiedziała tego, strzeliła w ciemno. Znów trafiła.
– Zasady, zasady... – warknął Mikołaj. – Ale to tajemnica służbowa...
– Zaraz, jaka tajemnica? – parsknęła jak kotka. – I tak mnie przecież zabijesz... Gadaj albo...
No i trafiła, mała wredna suka. Wie, że muszę odpowiedzieć. Niech ją szlag...
– Jak brzmiało pytanie? – mruknął. Teraz on chciał zyskać na czasie, choć zupełnie nie wiedział, po co.
– Jak wchodzisz do domu, kiedy nie ma komina?
Milczał chwilę, uciekając wzrokiem przed jej natarczywym spojrzeniem.
– Przez kibel – wypalił wreszcie. Chude policzki poczerwieniały. – Przez kibel! Dlatego tak was, gówniarzy, nienawidzę! Nienawidzę tej roboty!
Podniósł wzrok odrobinę za późno, złowił tylko błysk lecącej popielniczki, tęczowy błysk choinkowych lampek. Był szybki, zdążył nacisnąć spust, rewolwer wypalił z cichym kaszlnięciem, ze ściany posypał się tynk i odłamki betonu. Rewolwer na dwa metry znosił o dobre pół metra w prawo i w górę. Mama Corleone zawsze lubiła kupować na wyprzedażach.
Popielniczka walnęła świętego w czoło, rozsypała się na drobne odłamki. Zanim jeszcze opadły na podłogę, rzuciła się w bok. Aby tylko dobiec do drzwi, wybiec na klatkę... Odwróciła się na wznak, chciała poderwać.
Stał nad nią, z dołu wydawał się wielki. Po chudej twarzy spływała krew z rozciętego czoła. Zgubił gdzieś czapeczkę z pomponikiem, teraz wyglądał zupełnie jak Osama.
– Nie chciałaś po dobroci, będzie po złości – powiedział głucho. – Będzie w brzuszek, w żołądeczek albo w wątróbkę. Nie wygadasz, umrzesz, zanim cię znajdą. Ale to potrwa...
Uniósł broń. Już chciała przymknąć oczy, ale nagle...
– Nie nabierzesz mnie na to – śmiech zabrzmiał jak zduszony charkot. – Nie na ten stary kawał, nie na wpatrywanie się za moje plecy. Tam nikogo...
Fontanna krwi eksplodowała z piersi Mikołaja, wraz z odłamkami kości chlusnęła na leżącą dziewczynkę. Jej krzyk utonął w łoskocie serii, pokój, zamiast wonią stopionego wosku, wypełnił się smrodem kordytu. W dźwięk dzwonków wdarły się dźwięcznie uderzenia spadających na podłogę łusek.
– Co ty, kurwa, wiesz o zabijaniu – powiedział ktoś. Mikołaj stał jeszcze, wolno ugięły się pod nim kolana. Padł na twarz tuż przy leżącej Ani, tuż przy jej twarzy.

Mogła spojrzeć prosto w jedno oko, martwe teraz i puste. Wąskie wargi rozchyliły się, strużka krwi splamiła srebrzystą brodę.

Wydawało się, że trwało to bardzo długo, zanim mogła wstać. Nie pamiętała tego później. Pierwsze, co potem mogła przywołać z pamięci, to korpulentny mężczyzna o rumianych policzkach, w czerwonej czapeczce z pomponikiem, srebrną brodą, jasnych, niebieskich oczach.

Niebieskich i zimnych.

Czerwony płaszcz lamowany białym futerkiem był rozchylony. Wyglądała spod niego lufa z charakterystyczną rurą gazową. Kałach.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – spytała, gdy już mogła wykrztusić słowo.

Nieznajomy uśmiechnął się,

– Nazywam się Mróz – odparł. – Dziadek Mróz.

Gładził ją delikatnie po głowie. Teraz trzęsła się już, nie mogła ustać na nogach. Wargi wygięte w podkówkę drżały jak u skrzywdzonej dziewczynki. Którą była, w rzeczy samej.

Gładził i nic w tym gładzeniu nie było z lepkiego dotyku wujka pedofila czy innych wujków, którzy byli wcześniej. Zapragnęła nagle przytulić się do szerokiej piersi, wypłakać. Zesztywniał nagle.

– No wiesz, nie jestem Pinokio. Nie jestem z drewna – wyjaśnił, widząc rzucone spod oka ciekawe spojrzenie. Wstał.

– Dawno chciałem skurwiela dostać. Panoszył się strasznie, zwłaszcza jak u nas ciężkie czasy nastały. Sprowadzili tego, MacDonalda, i zaraz jego też. No, ale udało się, dzięki tobie.

– Dzięki mnie? – spytała. Już zaczynała się uspokajać.

– A tak, dobra jesteś. Przytrzymałaś go, mogłem zdążyć.

Wstała. Nie był wysoki, mogła zajrzeć prosto w niebieskie oczy.

– Ty też jesteś dobry – powiedziała, mrugając zalotnie. – Gdzie się tak nauczyłeś strzelać? – Zmieszał się, nie wiedzieć, czy pod tym spojrzeniem, czy słysząc pytanie.

– Afganistan – mruknął po chwili. – No wiesz, jak kto bezrobotny, to różnych zajęć się ima. A turbaniarzy nie lubiłem, prezentów nie dają...

Zakręcił się w miejscu, uśmiechnął. Gdy tak przymrużył oczy, wyglądał zupełnie jak dobrotliwy Dziadek na noworocznej choince dla dzieci aktywu robotniczego.

– A właśnie, prezenty... – zafrasował się. – Niech to diabli, powinienem ci coś dać, ale wiesz, jak się idzie na akcję, wora się nie bierze... No dobrze, niech będą trzy życzenia.

Aż trzy, pomyślała wolno. Albo tylko trzy...

Czarodziejski dywan, na którym odlecę z tej pieprzonej meliny. Od tego smrodu, zasikanej klatki schodowej, wiecznie tych samych filmów. I od wujków... No dobrze, to będzie pierwsze...

Chociaż... Ten nie jest najgorszy, rzadko bije, a i często nie trafia, bo zawsze zapity. Nie taki, jak poprzedni, co się przechwalał, ze ma penisa na trzydzieści centymetrów...

Ten się nie przechwala. Ale też boli.

– Najpierw dasz mi na chwilę...

Chrapanie urwało się. Dziadek Mróz pokręcił głową.

– Dlaczego? – skomlący, płaczliwy głos, jak skowyt zapędzonego w kąt psa.

– W imię zasad...

Choć przygotowany na odgłos serii, Dziadek drgnął. Gdy ucichła, jak zauważył z uznaniem krótka, zaledwie pięć-sześć pocisków, coś kotłowało się przez chwilę na jęczących sprężynach. Kotłowało krótko, ucichło wraz z ostatnim bulgotliwym charkotem.

Dziadek Mróz uśmiechnął się. Wiedział, jakie będzie następne życzenie. No i dobrze, od dawna potrzebował asystentki. Tym bardziej, że nie miał reniferów, Lapończycy strasznie podnieśli ceny.

Trzeciego życzenia nie zgadł.

– Jeszcze jedno – powiedziała, gdy zbierali się do wyjścia. Jeszcze raz ogarnęła spojrzeniem pokój, rozświetlona choinkę, odblask lampek w martwym, szeroko otwartym oku.

– Nazywaj mnie Matyldą.

Jingle bell, jingle bell. Dzwonki wciąż dzwoniły, gdy wyszli ze śmierdzącej, zasikanej klatki przed blok. Nie czuła zimna, choć szła boso po rozkisłym, zasolonym miejskim śniegu. Noc wigilijna zmierzała do końca, zwierzęta może już i mówiły ludzkim głosem, sąsiedzi właśnie przestawali. Z okien niosły się pijackie śpiewy, zgoła nie kolędy.

Sąsiad z parteru, trzymający się trzepaka, zmierzył mętnym wzrokiem wychodzących. We wzroku nie drgnęło żadne zrozumienie. Nad blokiem zaprzęg Świętego Mikołaja zataczał ciasne kręgi, renifery były zdezorientowane. No cóż, pomyślała Matylda, trafiły na gorącą strefę lądowania.

Pijak przy trzepaku czknął równo z wybiciem północy. Zogniskował z trudem wzrok na przyglądającym mu się uważnym wzrokiem piwnicznym kocurze.

– Kisssi... kisssi – zabełkotał pijak. – Ciiicha noooc.... Powiesz coś, koteczku, luzkim goosem?

– Spierdalaj – odparł beznamiętnie kocur i oddalił się z godnością.

Matylda nie wiedziała, jak pod płaszczem Dziadka Mroza zmieściła się długa rura wyrzutni. Najważniejsze, że się zmieściła.

– Pamiętaj... – zaczął Dziadek.

– Wiem. Nie stawać za tobą, niebezpieczna strefa – uśmiechnęła się.

Też się uśmiechnął, nie odrywając oczu od celownika. Nacisnął spust, z szumem i błyskiem stinger wyskoczył z rury, rozłożył stateczniki i pognał za saniami.

Renifery były czujne. Rozpaczliwym skrętem próbowały uniknąć rakiety, rozsypując za sobą pasma anielskich włosów. Błąd, pułapki termiczne byłyby lepsze.

Błysk rozświetlił niebo, wydobył kształty bloków, bezlistnych drzew.

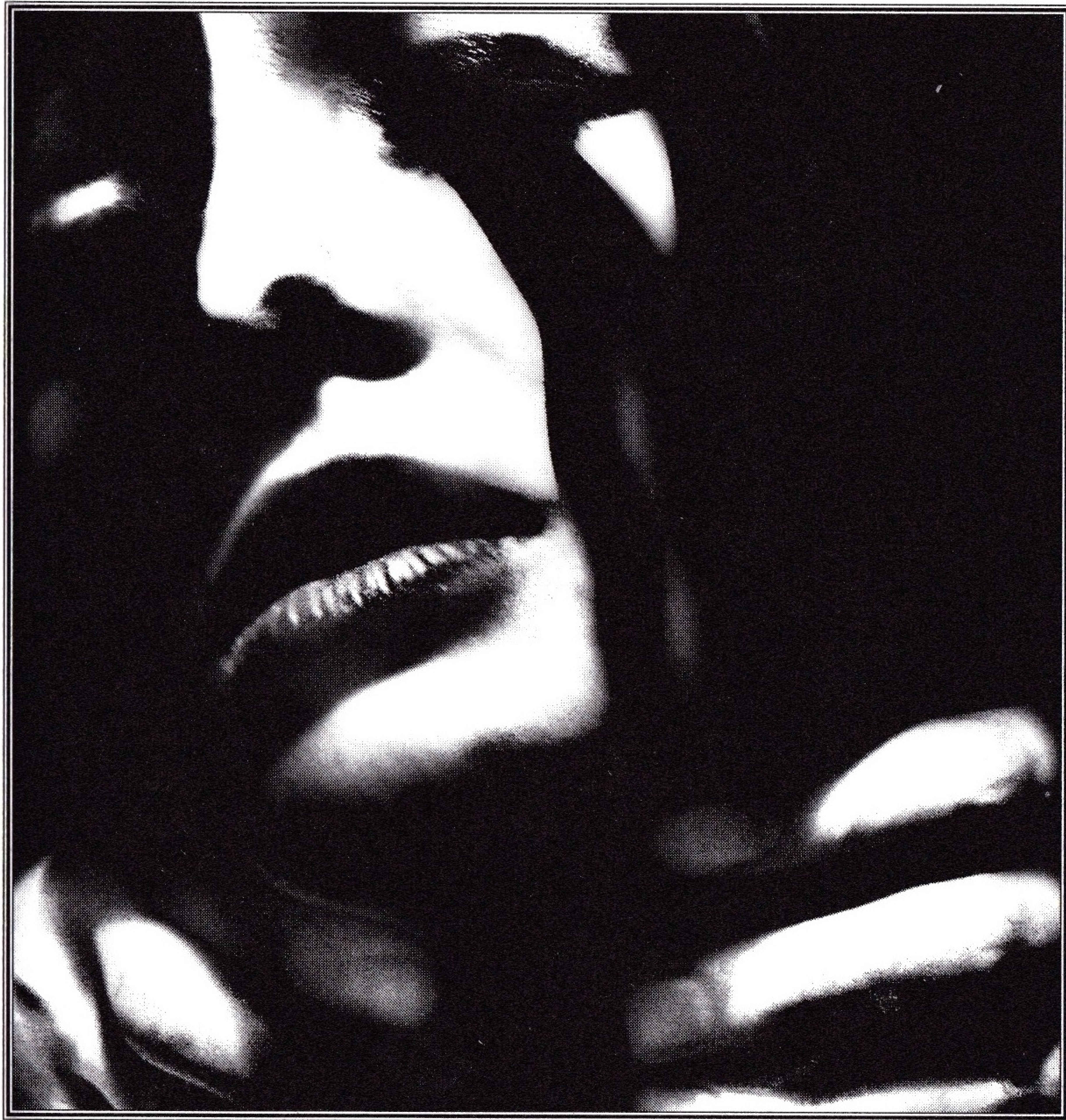
– O kuuurwa! – wrzasnął pijak z zachwytem, klaszcząc w dłonie. Pomyliło mu się z Sylwestrem.

Z nieba spadały kawałki desek, skrawki sierści. Wolno opadały anielskie włosy. Tuż obok Matyldy spadł mały, srebrny dzwoneczek. Trąciła go nogą.

Jingle bell, jingle bell...

Piękna i Bestia

Jacek Piekara



Jacek Piekara (1965) – zrezygnował z prawniczej kariery (a byłby na pewno złotoustym adwokatem) na rzecz dziennikarstwa. Jest twórcą i redaktorem merytorycznym magazynu *Fantasy-Click*. Był autorem pierwszego w historii polskiego opowiadania i pierwszej powieści z gatunku fantasy. Opublikował sześć książek i kilkadziesiąt opowiadań. W 1994 roku na Euroconie we francuskiej miejscowości Fayence otrzymał nagrodę za najlepszy europejski debiut. Historia, którą przeczytacie, opowiada o tęsknocie. Co się jednak dzieje, kiedy tęsknota jest tak silna, że przełamuje wszelkie bariery? Również te natury moralnej? Jak daleko wolno nam się posunąć w poszukiwaniu osobistego szczęścia i czym w ogóle to szczęście jest?

Fotel stał przy samym oknie, odwrócony tyłem do drzwi. Siedziałem w nim w zasadzie niezauważony, a przynajmniej nic nie wskazywało na to, by komukolwiek robiła różnicę moja obecność lub nieobecność. Wiedziałem, że siedzący przy stole mogą dostrzec zza solidnego oparcia fotela tylko moją dłoń z kieliszkiem koniaku. Nie interesowali się mną, a ja pozwoliłem, by ich głosy spokojnie przepływały i przyjmowałem je podobnie, jak sączącą się z sąsiedniego pokoju muzykę. Obojętnie. Jak rekwizyt rzeczywistości, którego istnienie jest tak niezależne od mojej woli, iż nie ma sensu się nad nim zastanawiać. Oczywiście tęskniłem. Alkohol, przyćmione światła, łagodny szmer muzyki i nienatrętne głosy tworzyły ten nostalgiczny nastrój, którego nienawidziłem i który kochałem. Nienawidziłem, bo był bólem, a kochałem, gdyż wiedziałem, że jest nadzieją. Wierzyłem, że marzenia się spełniają i to pozwalało mi żyć, choć do tej pory moje życie składało się z rozczarowań. Bolesnych rozczarowań, aby użyć tej wyświechtanej metafory.

Sięgnąłem po koniak właściwie niechętnie, miałem już dość alkoholu na dzisiejszy wieczór. I wtedy usłyszałem jej głos. Nie powiedziała nic szczególnego, nawet nie pamiętam słów. Chyba poprosiła kogoś o papierosa lub zapalniczkę. W tej samej sekundzie niezapowiedzianie uderzył ból. Powinienem przyzwyczaić się już do tego, ale nie potrafię. To sama esencja bólu. Mózg, serce, żołądek i jądra napełniają się lawą, ale trwa to zwykle tak krótko, iż nie wiem po chwili, czy zdarzyło się naprawdę. A potem tylko zapach melonów. Słodki, obrzydliwy zapach melonów. Od dziecka nie znoszę melonów ani ich zapachu. Odwróciłem się z całym fotelem i nasze spojrzenia się spotkały.

– Och, a pan? Czy pan ma papierosa? – spytała i chyba była trochę zażenowana. Może proszeniem obcego mężczyzny, a może hołdowaniem coraz mniej modnemu nałogowi.

– Tak – odparłem i kiedy zbliżyła się, podałem jej papierosa, a potem ogień.

Przez tę krótką chwilę mogłem się jej przyjrzeć. Miała bardzo czarne, krótko obcięte włosy i szczupłą twarz o klasycznym profilu. Odważnie wyciętą suknię i ma-

łe piersi. Nie nosiła żadnej biżuterii i pachniała kadzidłami. Ciężki wieczorowy zapach, ale nawet on nie potrafił zabić odoru melonów.

– Tu nikt nie pali – poskarżyła się i zaciągnęła głęboko – cóż to za moda, żeby żyć zdrowo i ekologicznie?

Jej głos był niczym złote, aksamitne zasłony. Albo jak dusza koniaku. Rzadko spotyka się kobiety o tak pięknym głosie. Leciutko pachniała alkoholem, ale nie była pijana. To dobrze. Nie lubię pijanych. Poprosiłem ją, żeby usiadła, a sam przysunąłem drugi fotel. Mężczyźni przy stole nie interesowali się nami. Nadal rozmawiali o polityce i moralności oraz moralności w polityce. Słuchaliśmy ich przez chwilę, chyba tylko po to, aby się zastanowić, czy będziemy ze sobą rozmawiać, a jeśli tak, to o czym.

– Nigdy pana tu nie widziałam – powiedziała w końcu, a ja uśmiechnąłem się.

– I nigdy by pani nie zobaczyła, gdyby nie poszukiwanie papierosów. Ale mogę się tylko cieszyć, że się pani skończyły.

Potem chwilę milczeliśmy, a ona bawiła się papierosem, obracając go tak szybko w palcach, że obawiałem się, że w końcu poparzy sobie dłoń. Wreszcie zgasiła go w popielniczce i zawahała się przez moment.

– Cóż... dziękuję – powiedziała wstając.

– Może zatańczymy? – zaproponowałem, a ona wzruszyła nerwowo ramionami.

– Czemu nie?

W największym pokoju, w półmroku, kołysało się kilka par i dla wszystkich taniec był jedynie pretekstem do mniej czy bardziej zaawansowanych pieszczot. Simon i Garfunkel śpiewali „The Sound of Silence". Zabawne, ale zdałem sobie sprawę, że nie spotkałem nigdy miejsca, w którym nie istniałaby ich muzyka. Zawsze przenika mnie dreszcz, kiedy słyszę: „Hello, darkness my old friend. I've come to talk to you again". Tak. Przyszedłem. I znów będziemy rozmawiać. Przecież czuję zapach melonów. Dziewczyna w moich ramionach nagle wydała mi się smutna i krucha. Było mi jej żal. Zawsze jest mi żal, ale istnieją pewne sprawy, na które nic nie potrafimy poradzić. Światło. Ciemność. Przeznaczenie. A jej i moje zostały powiązane bez naszej wiedzy i zgody. Przytuliłem ją mocniej, a ona odwzajemniła uścisk. Była tak bezbronna, a ja musiałem ją skrzywdzić. Jeśli mówienie o krzywdzie ma tu jakikolwiek sens. Ale chyba ma, skoro myślę o niej cały czas. O swojej krzywdzie i swoim bólu oraz o bólu, jaki daję innym. Ciemność, Światło, Przeznaczenie... A być może Bóg, Diabeł lub Ewolucja.

Opuszkami palców lewej dłoni musnąłem skórę na jej karku. Nie cofnęła się.

– Może wyjdziemy stąd? – zapytałem, kiedy muzyka ucichła – lubisz szampana?

Kiedy wypowiedziałem już te słowa, przestraszyłem się, że padły zbyt szybko.

Czy nie należało odczekać parę minut? Potańczyć? Porozmawiać? Inne pary kołysały się jeszcze, nie zwracając uwagi na to, że Simon i Garfunkel przestali śpiewać. Zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie skinęła głową.

– Zaczekaj na mnie przed domem – powiedziała – będę za parę minut.

Zabrało to jej więcej niż parę minut. Może pół godziny, ale czekałem spokojnie, bo byłem pewien, że dotrzyma obietnicy. Padał śnieg. Mokry i topniał, nim doleciał do ziemi. Jednak nie schowałem się do bramy. Wystawiałem twarz na te wilgotne pacnięcia i żegnałem się. Spędziłem tu cztery lata i były to bardzo dobre lata. Ale tęskniłem. Kiedy nastanie nowy dzień, będę już daleko. Tak się zamyśliłem, że dostrzegłem ją dopiero, kiedy stanęła tuż obok.

– Przepraszam – powiedziała i pocałowała mnie w policzek.

A potem ujęła po ramię i ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę postoju taksówek. Kiedy szedłem obok niej, młodej, pięknej i pełnej energii, znów ogarnęły mnie wątpliwości. Co by się stało, gdybym wsadził ją do samochodu, a sam odszedł? Czy dostałbym następną szansę? Ale wiedziałem, że nie zaryzykuję. Nie potrafiłbym zaryzykować.

W lodówce miałem szampana. Zimnego, czerwonego i słodkiego. Może niezbyt wykwintnego, ale wypiliśmy prawie całą butelkę. Anna (bo znaleźliśmy nawet czas, żeby się sobie przedstawić), to właśnie ona, wykonała pierwszy krok. Usiadła mi na kolanach, odurzając ciężkim kadzidlanym zapachem perum i wtuliła usta w moją szyję. Zaniosłem ją do łóżka i tam powoli rozebrałem. Miała nieskazitelne, doskonałe ciało, choć była tak szczupła i drobna. Kochaliśmy się dwa razy, długo, namiętnie i radośnie, a potem ona zasnęła wtulona, jakby szukała we mnie ochrony. Właśnie we mnie! Nie mogłem pozwolić sobie na sen. Wstałem i zacząłem się ubierać, a potem pakować. Nagle zobaczyłem, że Anna mi się przygląda.

– Co robisz? – spytała.

– Wyjeżdżam – odparłem.

– Dzisiaj?

– Zaraz.

Podszedłem do łóżka i pocałowałem ją w usta.

– Przykro mi, ale muszę wyjechać – szepnąłem – szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

Całowałem ją długo, a lewą dłonią pieściłem jej szyję. Nie chciałem, żeby się bała i potrafiłem zrobić to szybko. Umarła, zanim zdążyła pojąć co się dzieje. Wstałem i chwyciłem stojący obok łóżka neseser. Rozejrzałem się i natychmiast, prawie natychmiast, zobaczyłem Bramę. Otworzyła się w lustrze. Pozna-

łem to po charakterystycznym, sinym blasku i lekkim drżeniu powierzchni. Wszedłem i rzuciłem ostatnie pożegnalne spojrzenie. Anna wyglądała jak pogrążona w głębokim śnie.

– Do widzenia – powiedziałem i zagłębiłem się w lustro.

Tafla zassała mnie, przedrążyła, przenicowała i wywróciła na drugą stronę. I w tej samej chwili stałem już na chodniku oparty o latarnię, a obok mnie zahuczał przejeżdżający samochód. Byłem tak słaby, że musiałem chwycić się betonowego słupa, by nie upaść. Mdliło mnie i całą siłą woli powstrzymywałem się, aby nie zwymiotować. Kiedy doszedłem do siebie, rozejrzałem się wokół. Było chłodno i szaro. Listopadowy poranek albo marcowy wieczór. Listopadowy wieczór albo marcowy poranek. Warszawa. Ulica Marszałkowska. Ale być może tutaj nazywała się inaczej. Czerwone autobusy, czerwone tramwaje, złote pudełko hotelu Forum i masywne, szare gmaszysko Pałacu Kultury i Nauki. Podszedłem do kiosku Ruchu i przyjrzałem się gazetom. A więc jednak był marzec. Starałem się podejrzeć, jakimi banknotami płacą klienci i szybko się zorientowałem, że wyglądają one nieco inaczej niż te, które mam w portfelu. Cóż, tego należało się spodziewać i byłem na to przygotowany.

– Kupuje, czy stoi? – zapytał ktoś napastliwie i cofnąłem się gwałtownie.

Znowu zakręciło mi się w głowie i o mało nie upadłem. Upadłbym, gdybym nie przytrzymał się lady.

– Kurwa, ósma rano, a ten pijany! – usłyszałem jeszcze, zanim odszedłem z powrotem pod słup latarni.

Wiedziałem, że muszę wziąć się w garść. I wtedy podeszła ta dziewczyna.

– Czy dobrze się pan czuje? – spytała z troską w głosie, a ja ucieszyłem się, bo zrozumiałem, że to miejsce nie może być złe.

– Tak – powiedziałem – to tylko przelotny zawrót głowy. Czasami, bardzo rzadko, zdarza mi się zemdleć bez powodu. Ale to już mija...

– Obok jest pogotowie. Może pana odprowadzić? – zaproponowała i odgarnęła włosy, które wymknęły się z pod czapki.

– Dziękuję – odparłem – proszę sobie nie robić kłopotu.

Przez chwilę stała niezdecydowana, a potem skinęła mi głową i odeszła. Zauważyłem, że obróciła się jeszcze, jakby sprawdzając, czy wszystko ze mną w porządku, ale ja już pytałem kogoś o najbliższy bank. Miałem ze sobą złoto. A złoto jest zawsze złotem i nigdy nie znalazłem się jeszcze w miejscu, gdzie nie miałoby ono wartości. W banku wymieniłem część mojej żelaznej rezerwy na banknoty

i przyjrzałem się im uważnie. Największym nominałem był milion z portretem króla Kazimierza Wielkiego, a dolary sprzedawano po siedem i pół tysiąca złotych. To oczywiście nic nie znaczyło. Oprócz zmian świata zmienia się przecież i czas. Nadal był rok 1994, a więc ten, który pamiętałem. Jedynie po historii mogę poznać, czy trafiłem we właściwe miejsce. Po pewnych szczegółach, drobiazgach i niuansach. Dlatego pierwszym miejscem, jakie odwiedzałem po urządzeniu się była zawsze biblioteka.

Wynająłem pokój w hotelu Victoria i jak zwykle pokazałem paszport stwierdzający, że jestem obywatelem wyspy Mauritius. Niezależnie od świata i czasu nikt nigdy nie wie, jak powinien wyglądać paszport tak odległego i egzotycznego państewka. Może celnicy lub straż graniczna? Ale przecież nie zamierzałem wyjeżdżać z Polski. Potem parę dni spędziłem w bibliotece, choć już pierwsze spojrzenie na karty historycznych książek przekonało mnie, że trafiłem do niewłaściwego miejsca. Dom nadal był daleko. Chciałem jednak poznać historię tego świata, bo Bóg raczy wiedzieć, ile czasu w nim spędzę. Wydawało się, że to dobry świat, a przynajmniej nie gorszy niż inne. Przeżył okres faszystowskiej i komunistycznej dyktatury, ale teraz wydawał się spokojny i bezpieczny. Warszawa prezentowała się nieźle. Ludzie byli zabiegani, lecz sympatyczni (choć zważywszy na powitanie, jakiego tu doznałem, można byłoby o tym powątpiewać). Nie musiałem się martwić ani o pieniądze, ani o pracę, gdyż miałem wystarczająco dużo złota, by przeżyć tu bezproblemowo kilka lat. Ale, rzecz jasna, gdy tylko stwierdziłem, że jestem w niewłaściwym miejscu, już marzyłem, aby się stąd wyrwać. Tylko że akurat to nie zależało ode mnie. Czy nie próbowałem wyjaśnić tego, co się dzieje? Mój Boże, oczywiście że próbowałem, ale kto byłby w stanie udzielić odpowiedzi na moje pytania? Kto, zważywszy całkoształt sprawy, uwierzyłby, że nie jestem wariatem? Miałem psychoterapeutkę i opowiedziałem jej wszystko o sobie.

– Sprawdziłam cię – usłyszałem od niej kiedyś – nigdy nie było morderstw, o których opowiadasz. To „drugie życie" istnieje jedynie w twojej wyobraźni.

– To o czym mówię, nie jest do sprawdzenia – odparłem zrezygnowany – przecież wszystko działo się gdzie indziej.

– A więc chcesz, abym uwierzyła, że podróżujesz pomiędzy światami i zabijasz w nich dziewczyny? Wybacz, ale wytłumaczenie jest o wiele prostsze...

Tak, rzecz jasna, miała teorię na mój temat i chciała, abyśmy oboje w nią uwierzyli. W końcu była psychoterapeutą i nie mogła nie mieć żadnej teorii. Ale wiedziałem doskonale, że w jej koncepcji nie ma ziarna prawdy. Nie pamiętałem swego dzieciństwa i cóż z tego? Ta amnezja nie była postawieniem psychologicznej blokady. Nie była obroną przed wspomnieniem o wydarzeniach, o których nie

chciałem pamiętać. Które – jak powiedziała – były może zbyt straszne, aby o nich pamiętać. Straszne było nie to, co było. Straszne było to, co się działo. To, że musiałem zabijać, choć zabijać nie chciałem. To, że byłem kimś innym, kimś obcym, a zabójstwo stanowiło jedynie środek umożliwiający poszukiwanie Domu, za którym tęskniłem. Ale lekarka nie potrafiła tego zrozumieć ani nie potrafiła mi pomóc. A ja nie mogłem zrezygnować z poszukiwania mojego świata. Dom jest najważniejszy. Każdy człowiek musi znać swoje miejsce w czasie i przestrzeni, a ja ani go nie znałem, ani nie potrafiłem do niego dotrzeć.

W miejscu, do którego trafiłem, spędzałem czas w zasadzie spokojnie. Dużo czytałem, czasem wieczorami chodziłem do nocnych klubów lub do pubów. Poznałem parę osób i kilkanaście razy wylądowałem w łóżku z miłymi kobietami. Kupiłem bardzo przyzwoicie wyglądające polskie dokumenty, zdążyłem zrobić kurs doradztwa finansowego, co nie było niczym trudnym, kiedy poznałem realia gospodarcze. W końcu jestem specjalistą od tych spraw. W każdej chwili mogłem zacząć pracować, a propozycji było aż nadto.

Pewnego dnia, kiedy jadłem w kawiarni śniadanie, zobaczyłem, że przy stoliku obok siedzi ta dziewczyna. Wstałem.

– Dzień dobry – powiedziałem – chciałbym pani podziękować.

Nie poznała mnie i spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, a jej partner zesztywniał, jakby uważał, że za chwilę nadejdzie czas, by dać mi w mordę.

– To było w marcu. Na Marszałkowskiej. Rano – wyjaśniłem – poczułem się wtedy słabo, a pani spytała, czy nie potrzebuję pomocy.

– Ach tak – przypomniała sobie i uśmiechnęła się.

Odgarnęła znajomym już gestem kosmyk włosów z czoła.

– Cieszę się, że nic się panu nie stało.

– Chciałbym się jakoś zrewanżować – powiedziałem właściwie na złość temu facetowi, który przyglądał mi się wściekłym wzrokiem – proszę, to moja wizytówka na wypadek, gdyby potrzebowała pani pomocy specjalisty.

Podałem jej kartonik i uśmiechnąłem się na pożegnanie. Zapłaciłem rachunek i wyszedłem. Zadzoniła wieczorem następnego dnia. Telefon od niej nie zdziwił mnie. Czas i doświadczenie pozwoliły mi się przyzwyczaić do powodzenia u kobiet. Zaskoczony byłem raczej tym, że ani pierwsza, ani druga, ani nawet dziesiąta randka nie skończyły się w łóżku. Ale nie nalegałem. Pozwoliłem wydarzeniom toczyć się łagodnie i wedle ich własnej woli. Alicja, bo tak miała na imię, przyzwyczajała mnie do spotkań, do własnej obecności i spowodowała, że czasem zapominałem o Domu. Na krótką chwilę, ale była to chwila pełna ulgi, choć potem zmagałem się z wyrzutami sumienia.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z kieliszkami białego wina, już po dobrej kolacji, i słuchaliśmy muzyki. Grał modny tu i teraz zespół, a piosenka nosiła tytuł „Biały pies".

Mały, biały pies bez łat wciąż przychodzi do mnie w snach
Mały, biały psie nie dręcz mnie!
Lecz ten pies wcale nie jest taki mały!
Ma dwa metry wzrostu, sześć długości
Przyszedł do mnie tutaj znów, gdyż się boi samotności!

– Czy miewasz senne koszmary? – spytała.

– O, tak – odparłem – kiedy śnię, że nigdy nie zdecydujesz się zaznać ze mną rozkoszy seksu...

– Ale nie, pytam serio – uśmiechnęła się, a ja tak lubiłem ten uśmiech.

– Czasami – wzruszyłem ramionami, ale to była nieprawda.

Mam zawsze koszmary i nigdy rano ich nie pamiętam. Ale budzę, się czując strach i żal za czymś utraconym. Są chwile, w których chciałbym nie żyć. Coraz częściej są takie chwile. Może to byłoby lepiej? Potwór umarł...

– O czym one są?

– Jak każde koszmary. O strachu.

– A ja śnię o śmierci – powiedziała – śni mi się zawsze to samo. Leżę w łóżku, w pokoju o cytrynowożółtych ścianach. Łóżko jest okrągłe i bardzo wygodne. I wtedy ktoś podchodzi i kładzie dłoń na mojej szyi.

Słuchałem jej i mało nie zakrztusiłem się winem.

– Przytulam się do tej dłoni, bo to jest ktoś, kogo kocham, a wtedy on mnie zabija. Tak szybko, że nie czuję ani bólu, ani strachu. I sen się kończy. Głupie, prawda? – spojrzała na mnie z zakłopotaniem.

Ścisnąłem mocno oparcie fotela, bo nie mogłem powstrzymać drżenia ręki.

– Chryste Panie – pomyślałem – przecież to niemożliwe, aby śniła o mnie.

I to było niemożliwe! Kobietę, którą wybiera mi ten przeklęty los, zawsze widzę po raz pierwszy w życiu i natychmiast czuję ból, i cholerny zapach melonów. Alicja była przy mnie zupełnie bezpieczna.

– Zbladłeś – powiedziała.

– Ja... – przełknąłem ślinę – ja miałem też podobny sen. Ale tylko raz. Muszę już iść. Wstałem i zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie wyjechać z Polski. Teraz, kiedy miałem paszport, było to już możliwe. A sen Alicji za bardzo mnie zaniepokoił.

– Do widzenia, Alicjo – powiedziałem – zadzwonię jutro, dobrze?

Jednak wiedziałem, że nie zadzwonię i nie zobaczę się z nią już nigdy. Póki mogłem, chciałem odsunąć od niej niebezpieczeństwo. Nawet, jeśli jedyną przesłanką miał być ten głupi sen.

– Zostań ze mną dzisiaj – poprosiła, kiedy byłem już w progu.

I zostałem, Boże wybacz mi.

Następnego dnia przeprowadziłem się do Alicji, co nie było trudne zważywszy na fakt, że cały mój majątek składał się z paru kompletów ubrań. Walizka ze złotem spoczywała bezpiecznie w bankowym sejfie, choć właściwie powienienem mieć ją stale przy sobie. Dlatego kupiłem mieszkanie, w którym kazałem wmurować w ścianę sejf i tym razem Alicja zamieszkała u mnie. Byliśmy ze sobą dwa lata i powiedzieć, że kochałem ją szaleńczo, byłoby żartem. Kochałem w niej wszystko. Jej uśmiech i głos, i włosy, i to, jak się malowała, i to jak chodziła. Czasem, kiedy nie było jej dłużej w domu, otwierałem szafę i wtulałem twarz w ubranie, aby poczuć chociaż jej zapach. Uwielbiałem dotykać jej dłoni. Miała takie wąskie i szczupłe palce. I przeczesywać jej włosy. I całować usta, które zawsze były chłodne. Zapomniałem o Domu, bo mój dom był tam, gdzie Alicja. Ale Dom nie zapomniał o mnie.

Wydarzyło się to o świcie. Lipcowy upał jeszcze nie zdążył zapukać w okna, a my spaliśmy w jakimś obcym hotelu, gdzie wylądowaliśmy po nocnym szaleństwie. Alicja była w ciąży. Powiedziała mi o tym wieczorem i postanowiliśmy po raz ostatni zaszaleć. W końcu przez następne dziewięć miesięcy nie za bardzo będziemy mieli okazję na imprezy. Wróciliśmy tak zmęczeni i tak wstawieni, że rzuciliśmy tylko ubrania na podłogę i zasnęliśmy jak zziajane psy. A teraz obudziłem się z ciężką od kaca głową. Wyzwoliłem się spod ramienia Alicji i przyjrzałem jej nagiemu brzuchowi. Tam rosła i kiełkowała niewidoczna jeszcze cząstka mnie. Pogłaskałem jej rozsypane na poduszce włosy i usiadłem. Leżeliśmy w okrągłym wielkim łożu, a ściany były pokryte cytrynowożółtą tapetą. I w tej samej sekundzie, kiedy zdałem sobie sprawę, że jest to kadr ze snu Alicji, ból uderzył mnie z niespotykaną siłą. I zaraz potem zniknął. Pozostał tylko obrzydliwy, mdlący zapach melonów.

– Nie – powiedziałem – Boże mój, tylko nie ona!

Otworzyłem stojącą na nocnym stoliku butelkę wody mineralnej i wypiłem duszkiem. Potarłem powieki palcami.

– To przecież nie zmienia sytuacji – powiedziałem sam do siebie – i tak miałem tu zostać. Nie ma więc znaczenia, na kogo pokazał los, skoro nie zamierzam mu się poddać.

Ale jednocześnie wiedziałem, czułem całym sobą, że Brama, która się otworzy, zaprowadzi mnie prosto do Domu. Teraz był czas ostatniej podróży. Przesunąłem dłonią po nagim ramieniu Alicji, drugą położyłem na jej szyi i poczułem jak pulsuje tętnica.

– Nie mogę – szepnąłem – nie mogę tego zrobić.

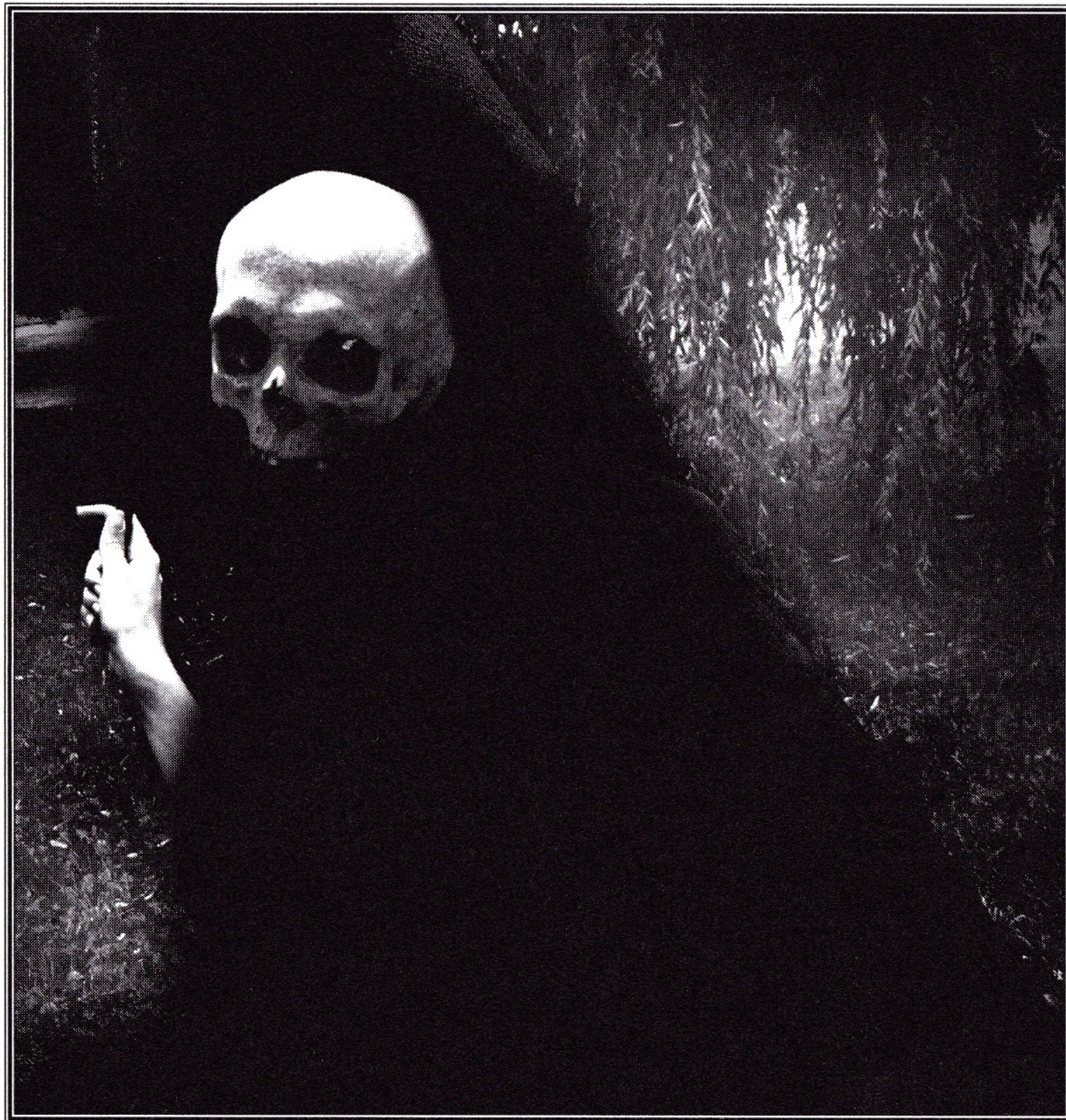
A sekundy i minuty płynęły. Nie miałem czasu, aby myśleć o Moralności, Prawie i Obowiązku. Mogłem myśleć tylko o jednym. O tym, że miłość do ludzkiej istoty jest krucha i nietrwała, a Dom jest na zawsze. Nikt nie odbierze ci Domu, jeśli sam z niego nie zrezygnujesz. Dom jest wieczny.

Alicja zamruczała coś przez sen i przekręciła się na drugi bok, podkładając sobie pod policzek moją dłoń. Miała suche i ciepłe usta. Zagryzłem mocno wargi, tak mocno, by ból orzeźwił mnie. Orzeźwił, otrzeźwił i pozwolił spokojnie pomyśleć. Jak na podglądzie magnetowidu przemknęły mi przed oczyma chwile spędzone z Alicją. A były to szczęśliwe chwile. Najszczęśliwsze w moim życiu. Czy wolno składać je w ofierze mrzonce i marzeniu? Ale szczęśliwe chwile mijają bezpowrotnie – pomyślałem – co będzie, kiedy skończą się miłość i fascynacja, Alicjo? Co będzie, kiedy staniemy się sobie obcy, ba, może nawet nienawistni? Wszystko przemija, niszczeje, obumiera, kończy się. Po lecie następuje jesień, po jesieni zima. Tylko Dom kąpie się w wiecznym słońcu wiecznego lata. Powiodłem palcami po jej włosach. Jedwabistych, puszystych i miękkich.

– Będę cię pamiętał właśnie taką – szepnąłem – tak bardzo, bardzo kocham cię, Alicjo.

Kostucha

Andrzej Pilipiuk



Andrzej Pilipiuk (1974) – krótko pracował jako archeolog i szybko stał się, jak sam mówi, pisarzem do wynajęcia oraz klasykiem gatunku menel-fiction i *„największym piewcą wsi polskiej od czasów Reymonta"*. Poza tym, pod pseudonimem Tadeusz Olszakowski tworzy nowe przygody *Pana Samochodzika.*

Jakub Wędrowycz – brudny, zapijaczony starzec o mentalności karalucha to bohater najbardziej znanych opowiadań Pilipiuka. W króciutkiej historyjce, która przed wami, poznacie, jak Jakub poradził sobie z kimś, kto w przyszłości przyjdzie po każdego z nas...

Za udostępnienie tekstu redakcja dziękuje wydawnictwu Fabryka Słów

Był ciepły sierpniowy wieczór. Słońce łagodnie zapadało za horyzont. Pośród drzew w sadzie Jakuba Wędrowycza płonęło nieduże ognisko. Na ogniu oparty na kilku cegłach bulgotał leniwie potężny trzystulitrowy kocioł. Z pokrywy kotła sterczała rurka zaopatrzona w archaiczny termometr laboratoryjny. Termometr był stłuczony i dawno przestał działać, ale dzięki jego obecności całe przedsięwziecie wyglądało niezwykle profesjonalnie. Rurka rozgałęziała się. Ramię opadające do ziemi niknęło we wnętrzu wymontowanej ze Stara chłodnicy. Z dolnej jej części wychodził kawałek gumowego szlaucha, który kończył się w wiadrze. W chłodnicy coś delikatnie hurgotało. Jakub ziewnął rozdzierająco i popchnął stopą kawałek drewna do ogniska. Siedzący obok Semen także ziewnął i blaszanym kubkiem zaczerpnął z kubła mętnej cieczy. Wypił połowę a resztą chlusnął w ogień. Buchnął błękitny płomień.

– Galantny bimber – stwierdził.– Sześćdziesiąt procent mocy jak obszył.

Jakub nabrał sobie bimbru słoikiem i także wypił. Zagryźli jabłkami prosto z drzewa.

– I żadnych gliniarzy w zasięgu wzroku – powiedział Jakub z satysfakcją. – Dobry był pomysł.

Powiew wiatru przyniósł woń spalenizny. W gospodarstwie na lewo od jego domostwa stos zwęglonych belek znaczył miejsce, gdzie dwa dni wcześniej spłonęła stodoła. W gospodarstwie po prawej stonie kupa cegieł i wypalony wrak traktora pokazywały, gdzie płomień strawił szopę.

– Kon-fi-denty – wydukał Jakub świeżo przyswojone słowo. – Za następny donos spalę im chałupy.

– Teraz już pewnie nie odważą się. Widzą, że nie rzucasz słów na wiatr – powiedział Semen.

Zaczerpnął sobie jeszcze jeden kubek.

– Nie za dużo? – zaniepokoił się Jakub. – W twoim wieku?

– Dobra, dobra. Nie mam stu lat!

– Sto sześć. To znaczy, że już masz sto i jeszcze trochę.

– Gówno. Ważne, że nie sto, a reszta... Kto by się zagłębiał w takie podrobnosti.

Lepiej pomyśl o sobie.
– Że niby co?
– Ile masz lat?
– Osiemdziesiąt sześć. Też nie sto.
– Cholera, to ty jesteś stary pryk. A nie wybierasz się czasem?
– Dokąd? – Jakub nie lubił niezrozumiałych aluzji.
– Na tamten świat.
– No, co ty. Widziałem dwie wojny światowe, chcę jeszcze rzucić okiem na trzecią. Wiesz, byłem u syna, puścił mi na wideło filmidło o takich atomowych wybuchach. A potem leżały stosy czaszek i latały takie metalowe roboty jak szkielety z czerwonymi oczkami. Ogień się w nich odbijał. Cholernie to dekoracyjnie wyglądało.
Semen zakształcił się śmiechem.
– Metalowe roboty? W kształcie szkieletów? Czego to durni Amerykanie nie wymyślą z nudów.
Zaskrzypiała brama. Popatrzyli w stronę drogi. Koło bramy coś stało. Jakub westchnął ciężko i z kieszeni wyciągnął okulary. Nasadził je na nos, czerwieniąc się ze wstydu. Noszenie okularów było w Wojsławicach uważane za hańbę większą niż umiejętność czytania i pisania.
– O k...! – zakłął. – Wykrakałeś.
Semen wyciągnął swoje okulary i zrobił się blady z przerażenia.
– Widzisz to samo, co ja? – jęknął.
Od bramy kroczył w ich stronę kościotrup z kosą na ramieniu.
– Ciekawe, po kogo – zastanowił się Jakub. – Jakby co, to ty jesteś dwadzieścia lat starszy.
– Ale widzimy to obaj. A to znaczy... Swoją drogą ciekawe, dlaczego. Z czego napędziłeś tego bimbru, trucicielu?
– Wara od mojego bimbru – zaprotestował Jakub. – Nie mogliśmy się nim zatruć na śmierć. Cholera. Białe te kości. I oczy nie są czerwone.
– Czyś ty się durniu szaleju najadł? To nie robot z filmu tylko prawdziwa kostucha!
Jakub poskrobał się po głowie a potem wypił jeszcze pół słoika.
–Te, ty tam – zawołał w stronę śmierci. – Po kogo dzisiaj?
Szkielet podniósł dłoń i pokazał dwa palce.
– Po obu – skwitował Semen.
Niespodziewanie poderwał się i pobiegł w ciemność. Rozległ się łoskot, jakby na coś wpadł.
– Co z tobą? – zgadnął Jakub.

– Ściana. W powietrzu. Nie puszcza.

Wrócił do ogniska. W oczach miał obłęd.

– Zrób coś! – wrzasnął na egzorcystę.– Złotem zapłacę! Ja chcę żyć!

Jakub flegmatycznie wychylił słoik. Śmierć stała pod drzewami jakeś cztery metry od nich. Czaszka uśmiechnęła się żółtymi zębami, po czym kościotrup wyciągnął spomiędzy żeber osełkę i zaczął ostrzyć kosę.

– Ano czas – powiedział Jakub, zagryzając ogórkiem.

Odszedł kawałek od ogniska i podniósł omszały głaz. Nachylił się w otwór i z wnętrza bunkra wydobył pancerfaust. Oparł rurę na ramieniu i wyciągnął zawleczkę.

– Nikt tego jeszcze chyba nie próbował – powiedział do osłupiałego kumpla. – Jeśli się uda, będziemy pierwsi.

Kostucha nadal ostrzyła kosę monotonnym fachowym ruchem. Jakub wycelował. Kościotrup podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

– Paszła w czortu a prijti tu jeszczo raz kak ja tiebia uże proklataja! – wrzasnął Jakub. – Nu pagadi!

Szarpnął za spust. Pocisk przeciwpancery trafił szkielet w korpus. Eksplozjia rozniosła go na strzępy.

Semen zemdlał.

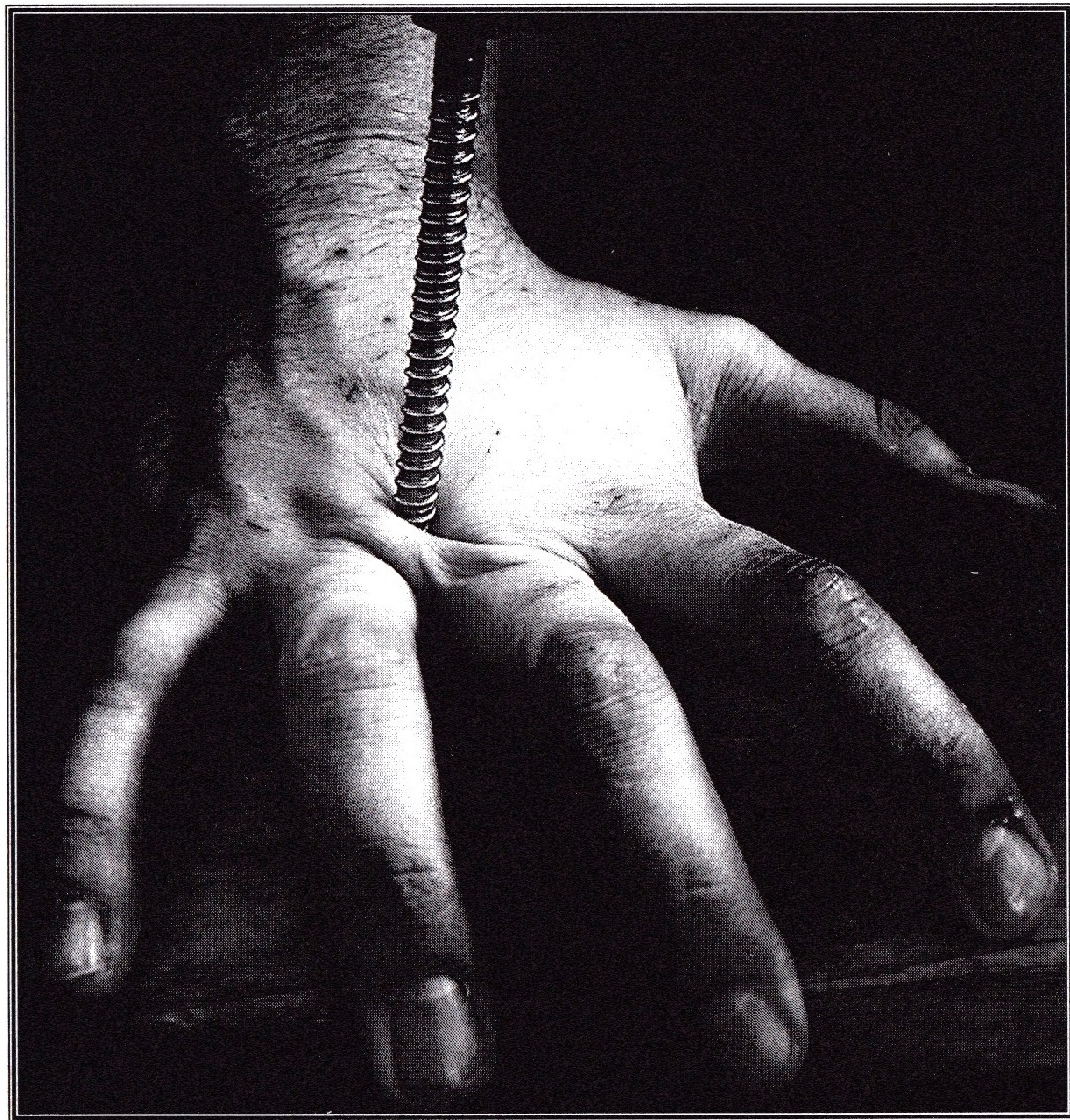
Świt był paskudnie chłodny. Stary kozak otworzył oczy. Ognisko wygasło. Okopcony kocioł wynurzał się z mgły. Semen podczołgał się do wiadra i wypił kubek zimnego bimbru. Powoli wracała pamięć. Rozejrzał się za Jakubem. Egzorcysta siedział pod drzewem i osełką ostrzył dużą zardzewiałą kosę. Na widok kumpla uśmiechnął się.

– Przyda się do sianokosów – zagdakał. – Nie sądzę, żebyśmy ją zupełnie załatwili, ale namyśli się, zanim znowu spróbuje.

Semen ponownie zemdlał.

Gdzie diabeł mówi dobranoc

Jerzy Rzymowski



Jerzy Rzymowski (1975) – z różnym powodzeniem studiował bibliotekoznawstwo, dziennikarstwo oraz reklamę. Współtworzył również dla TVP1 cykl programów dla dzieci *Łowcy przygód* i współprowadził audycję „*Dzikie Pola*" na antenie Radiostacji. Jest maniakiem muzyki filmowej.
Opowiadanie *Gdzie diabeł mówi dobranoc* zaczyna się tak, jak radził Alfred Hitchcock: od trzęsienia ziemi. W każdym razie na pewno trzęsieniem ziemi w amerykańskim miasteczku można nazwać mszę, w czasie której pastor przebija swe dłonie gwoździami! A potem jest równie ciekawie...

Podziękowania dla Maćka Jurewicza za wszystkie bezcenne uwagi do tekstu

Springville, SC; niedziela, godz. 9:16

Wielebny Chadwick był elokwentnym kaznodzieją – to mu trzeba przyznać. Fakt, że jego kazania trafiały w próżnię, nie wynikał, zdaniem Powella, ze szczególnej zatwardziałości grzeszników w mieście. Po prostu mieszkańcy Springville osiągnęli ten poziom równowagi, gdzie wypleniając jeden grzech powszedni, wpadasz z braku lepszego zajęcia w inną rutynę. Rzucasz palenie – zaczynasz się obżerać. Masz dosyć lenistwa – zaczynasz się kłócić z sąsiadami. Szeryf wiedział, że kiedy nabożeństwo się skończy, pastor będzie święcił dzień święty przybijaniem obluzowanych desek na dachu starego kościółka. Zanim drobny, wczesnojesienny deszczyk przerodzi się w coś poważniejszego i wierni zaczną przychodzić do świątyni w nadmuchiwanych mankietach. Młotek i gwoździe leżały na ambonie, tuż obok Pisma Świętego.

Wielebny był chyba jednak świadomy stanu rzeczy w mieście, gdyż kazanie było właśnie o rutynie. Powell zauważył, że pastor wygłasza je z wyjątkowym ożywieniem – brak postępów w duchowym udoskonalaniu Springville chyba dał mu się we znaki.

– Wydaje wam się, że drobne potknięcia są bez znaczenia – mówił. – Że małe grzeszki nie obchodzą Boga. Że można przymknąć oko, bezkarnie trochę się zaniedbać, przestać czuwać. Czy tak właśnie uważacie? Otóż jesteście w błędzie. Każdy wasz grzech jest zdradą, która będzie wam policzona. Każdego dnia Chrystus cierpi za wasze winy, gdy wy beztrosko przybijacie Go codziennie na nowo do krzyża. Każdy wasz grzech jest jak uderzenie młotkiem w gwóźdź wbijany w Jego ciało...

Powell wpatrywał się w pastora w osłupieniu i dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego, co widzi. Poderwał się z miejsca i zaczął biec w stronę ambony, wiedząc już, że nie zdąży.

– BANG! – długi gwóźdź wbił się w dłoń siwowłosego duchownego jak w masło. – BANG! – drugi krzyk i drugie uderzenie młotka – To są wasze grzechy! BANG! – trzeci cios, z pełnego rozmachu. Krew ścieka po dłoni na leżącą obok Biblię. Ludzie krzyczą i podrywają się z miejsc – Krzyżujecie swego Boga! BANG! BANG!

Dobiegł wreszcie i wyrwał młotek z ręki wielebnego. To było wręcz nierealne, jakby działo się gdzieś poza nim. Chadwick zastygł jak postać z obrazu religijnego – z szeroko otwartymi oczami, jedną ręką opartą o ambonę, a drugą w górze jak w kaznodziejskim uniesieniu. Chryste, to przecież właśnie było kazanie. Ale bohaterowie religijnych obrazów raczej nie przybijali się do ambon...

– Chadwick! Wielebny! – Powell chwycił pastora za ramiona i bezceremonialnie nim potrząsnął. – Proszę na mnie spojrzeć. Co się dzieje? – rozejrzał się po ludziach i wyłowił z otaczającego go ścisku sylwetkę miejscowego lekarza – Jacob, zrób coś z tym. On krwawi. Na litość Boską, ludzie zróbcie trochę miejsca! Chadwick, czy wielebny mnie słyszy?

Rozszerzone źrenice pastora zogniskowały się na twarzy szeryfa. Później spojrzenie powoli przeniosło się na zakrwawioną dłoń.

Wielebny Chadwick zaczął krzyczeć.

Tyle w kwestii rutyny. Ostatni przypadek, kiedy Powell miał w Springville cokolwiek więcej do roboty, przydarzył się kilka ładnych lat temu. Nie żeby narzekał, ale uświadomił sobie, że teraz, kiedy trzeba było zadziałać, brak mu dla odmiany innych nawyków – tych, które pozwalają stróżowi prawa sprawnie działać w sytuacji kryzysowej.

Jacob przepchnął się przez stłoczonych ludzi i zaopiekował się pastorem. Szeryf musiał uporać się z wiernymi. Gdy tłumaczył im zasłyszanym w filmach tonem, że „proszę się rozejść, proszę nie robić zbiegowiska, tu nie ma nic do oglądania", patrzył na znajome twarze i zastanawiał się mimowolnie, ile jest w nich współczucia dla wielebnego, a ile gapiowskiej żądzy sensacji. Najpóźniej za godzinę o zdarzeniu dowie się całe miasto. Ciekawe, na jak długo wystarczy tematu do rozmów?

Krzyk za plecami przeszedł w monotonny jęk. „Rozejdźcie się, przepuśćcie ich do zakrystii". Ręką trzeba się szybko zająć. Co mu odbiło? Za dużo myślę. Tak się to zaczyna. Ludzie w małych miasteczkach takich jak Springville, gdzie diabeł mówi „dobranoc", żyją tym samym rytmem przez długie lata, aż pewnego dnia ktoś ma dosyć i strzela sobie w łeb albo zabija siekierą całą rodzinę.

Stojąc obok ambony, Powell dostrzegł nad głowami rozchodzących się niechętnie ludzi, jak z jednej z ostatnich ławek podnosi się pojedyncza postać – jedyna, która przez cały czas nie ruszyła się z miejsca – i kieruje się do wyjścia. W świetle wpadającym przez drzwi widział tylko szczupłą sylwetkę, lekki, dość długi płaszcz, jakiś przedmiot na pasku przewieszony przez ramię.

Zastanowił się przez chwilę i stwierdził z zaskoczeniem, że nie potrafi dopasować sobie do postaci nikogo z miejscowych. A zatem obcy.

Czego tu szuka? Akurat musiało się coś takiego przydarzyć. Później wróci do siebie i rozpowie znajomym, jak to odbija redneckom. Powell westchnął i ruszył do wyjścia. Na razie i tak niewiele może tu zdziałać. Pastorem zajął się ktoś bardziej kompetentny; pora na pytania przyjdzie, kiedy Chadwick wyjdzie z szoku. A nie zaszkodzi łyknąć trochę świeżego powietrza i dowiedzieć się, czego ktokolwiek z zewnątrz może szukać w takiej dziurze.

Nieznajomy właśnie oparł się o pamiętającego lepsze czasy niebieskiego forda i zabierał się do zapalania papierosa. Przedmiotem na ramieniu okazał się zapakowany w futerał sporych rozmiarów aparat fotograficzny. Mężczyźni obrzucili się badawczymi spojrzeniami. Byli podobnego wzrostu, choć obcy wyraźnie ustępował Powellowi masą. Z jego pociągłej, przystojnej twarzy nie dało się nic wyczytać.

– Zgaduję, że jest pan miejscowym stróżem prawa – odezwał się pierwszy, gdy Powell właśnie zamierzał zacząć rozmowę. Skinął ręką z papierosem w stronę kościoła. – Czy wasz pastor co tydzień daje taki pokaz?

– Szeryf Malcolm Powell – nie podejmie tematu, jeszcze nie. – Pan u kogoś z wizytą, panie...?

– Nie. Nie mam tu żadnej rodziny. A nazywam się d'Elvis – włożył papierosa w kącik ust i wyciągnął rękę do Powella. Miał silny, pewny uścisk dłoni.

– Dziwne nazwisko.

– Z Luizjany. Znam chyba wszystkie możliwe żarty na jego temat.

– Jeśli zatem można wiedzieć, co pan robi w naszym miasteczku – zupełnie odruchowo Powell lekko zaakcentował słowo „naszym".

– Fotografuję – d'Elvis wskazał na wiszący aparat. – Jeżdżę po okolicy i fotografuję przyrodę. Springville akurat było mi po drodze. Czy to jakiś problem?

– Nie ma problemu – wyjaśnienie brzmiało logicznie. – Po prostu trafił pan na niecodzienną sytuację.

– Czyli przygważdżanie się duchowieństwa do ambon nie należy jednak do tutejszych obyczajów? – przybysz mówił o najdziwniejszym zdarzeniu ostatnich lat, jakby komentował prognozę pogody.

– Nie szokuje pana to, co się stało?

D'Elvis wzruszył ramionami.

– Bywało się tu i ówdzie. Widziałem, jak na Filipinach w Wielki Piątek krzyżuje się ludzi, którzy chcą w ten sposób przeżywać mękę swego Boga. Jeden gwóźdź przy tym to drobiazg. Być może kiedyś pokażę panu zdjęcia. Założę się, że pana zainteresują...

– Ma pan mocne nerwy.
– Rutyna – fotograf rzucił niedopałek na ziemię. – Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?
– Jedno, ostatnie pytanie. Gdzie się pan zatrzymał? Może potrzebne będą pańskie zeznania w sprawie tego, co zdarzyło się w kościele.
– Wynajmuję pokój u państwa Peters.
– U Petersów... Dobrze. Zapamiętam.
Podobnie, jak tablicę rejestracyjną jego wozu.
– Zawsze jesteście tacy nieufni w stosunku do obcych? – d'Elvis spojrzał za ramieniem szeryfa. Ten odwrócił się i zobaczył kilkanaście jardów dalej paru miejscowych, którzy po wyjściu z kościoła przyglądali się rozmowie i wymieniali między sobą jakieś uwagi.
– Rzadko ich tu miewamy.
– Jasne – przybysz wsiadł do forda, uruchomił go, czemu towarzyszyły dziwne zgrzyty pod maską i odjechał. Od stojącej nieopodal grupki odłączył się zwalisty, rudowłosy osobnik i podszedł do Powella.
– A ten czego tu szuka? – zapytał, wskazując głową w stronę oddalającego się samochodu. – Podobno kręci się po okolicy od paru dni.
– Fotografuje przyrodę.
– Mamy tu naszego fotografa.
– Jezu, Connors, zachowujesz się jak jakiś dzikus – Malcolm skrzywił się. – Boisz się, że zrobi ci zdjęcie i skradnie duszę?
Connors obruszył się, wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem i odszedł. Był trochę jak duże dziecko. Tak – ponad dwustufuntowe dziecko z łapami jak bochny.
Nieważne. Pora sprawdzić, co u wielebnego.
Co za cholerny, cholerny dzień.

Poniedziałek, godz. 12:45

Relacja wielebnego oczywiście na niewiele się zdała. Ostatnie co pamiętał, to przygotowania do nabożeństwa. Owszem, miał wtedy ze sobą narzędzia – zgodnie z przypuszczeniami Powella zamierzał później zabrać się za naprawę dachu. Nie umiał już jednak wyjaśnić, dlaczego zabrał ze sobą młotek i gwoździe, wychodząc do wiernych. Gdzieś w tym miejscu jego pamięć stawała się wielką dziurą. Następnym, co pamiętał, gdy odzyskał świadomość, były twarz szeryfa i widok okrwawionej ręki. A później tępy ból.

Z miejscowych też nie było specjalnego pożytku. Albo byli zbyt pogrążeni we własnych modlitwach, żeby zwracać uwagę na pastora, albo przyglądali się sąsiadom, albo najzwyczajniej przysypiali. Każdy jednak miał coś do powiedzenia i do wieczora zgłosili się do niego prawie wszyscy, chcąc podzielić się swoimi relacjami, pomocnymi spostrzeżeniami i opiniami o całej sprawie. Parę osób zauważyło też pojawienie się d'Elvisa – prawdopodobnie więcej umieli powiedzieć o szczegółach jego wyglądu niż o treści kazania Chadwicka, chociaż przyjezdny siedział za ich plecami, niemal na końcu. I, rzecz jasna, musiały się pojawić pytania, czy Malcolm uważa, że obcy był w jakiś sposób powiązany z zachowaniem pastora. Bo przecież „przesłuchiwał" go po wyjściu z kościoła.

Czemu się zresztą dziwić? Może Powell pamiętał cokolwiek więcej z nabożeństwa, ale też nie tyle, ile by wypadało. W efekcie następnego dnia był tak samo mądry jak na początku. Chyba jedyną osobą zdolną rzucić jakieś nowe światło na całe zdarzenie mógł być d'Elvis. I dlatego szeryf właśnie podjeżdżał pod znajdujący się na skraju Springville dom Petersów. Niebieskiego forda nie było widać nigdzie w pobliżu.

Parkując, zauważył, że w jednym z okien poruszyła się firanka. Kiedy chwilę później wchodził po schodach na ganek, drzwi otworzyły się i stanęła w nich gospodyni. Malcolmowi natychmiast rzuciło się w oczy dziwne zestawienie w jej wyglądzie – kuchenny fartuch i duże okulary przeciwsłoneczne.

– Dzień dobry, Mac – uśmiechnęła się do niego. Była jedną z niewielu osób, które pamiętały, że szeryf Powell ma jakieś imię i że nawet daje się je zdrobnić. – Dawno do nas nie zaglądałeś.

– Witaj, Maggie. Wybacz, ale dzisiaj też nie zabawię długo. Rozumiesz, sprawy służbowe...

– Jasne – jej uśmiech lekko przybladł. – A co cię dzisiaj sprowadza?

– Podobno zatrzymał się u was pewien przyjezdny. Fotograf nazwiskiem d'Elvis. Chciałbym z nim zamienić kilka słów.

– Jakieś dwie godziny temu wyszedł. Wróci pewnie przed lunchem.

– Skąd ta pewność?

– Mieszka i stołuje się u nas od paru dni. Jeśli planuje dłuższe wyjście, zawsze mówi, żeby nie czekać na niego z posiłkiem. Czy coś z nim jest nie w porządku? – odruchowo poprawiła okulary.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Po prostu chciałem go zapytać o pewne zdarzenie, którego był świadkiem. Chyba tylko on mógłby powiedzieć mi coś z sensem na ten temat.

– Chodzi o ten atak, który miał pastor Chadwick? Czy z wielebnym wszystko w porządku?

– O tyle, o ile. Teraz zajmuje się nim doktor Jacob. Później... kto wie? Może potrzebny będzie psychiatra. A co tobie się przytrafiło? – nagle zmienił temat. – Po co te ciemne okulary?

Widział, jak nagle zrobiła się spięta. Co mi powiesz, Meg? Spadłaś ze schodów? Uderzyłaś się o wieszak? Co to będzie tym razem?

– Chyba mam zapalenie spojówek – odwróciła głowę. Nie widział jej oczu, ale wiedział, że uciekła wzrokiem gdzieś w bok. Nie potrafiła kłamać.

– Byłaś z tym u lekarza? – nie wiedział, jak zabrać się do tematu, żeby jej nie spłoszyć.

– Pewnie w końcu się wybiorę – odpowiedziała niechętnie.

Idź do Jacoba, kobieto. Niech zobaczy te wszystkie pamiątki po śliskiej podłodze i podstępnych meblach wchodzących na kurs kolizyjny z twoją twarzą, rękami, żebrami. Niech zobaczy to, co ja zobaczyłem – kiedyś, gdy najwidoczniej stwierdziłaś, że skoro już cię katuje, to niech przynajmniej ma faktyczny powód. Ale nawet wtedy nic mi nie powiedziałaś. Niech tylko ktoś rozwiąże mi ręce.

– Maggie, ja...

– Nic nie mów, Mac – patrzyła gdzieś za jego plecy.

Za sobą usłyszał nadjeżdżający samochód. Wracał pan i władca domu.

– No, na mnie pora – stwierdził i nałożył kapelusz. Zabawne, ale nie mógł sobie przypomnieć, w którym momencie zdjął go i zaczął gnieść w rękach jak uczniak. – Obowiązki wzywają.

– Zajrzyj w porze lunchu. Pan d'Elvis powinien już wrócić – brzmiała w tym niewypowiedziana prośba.

– Przyjadę. Dzięki za pomoc.

Trzasnęły drzwi półciężarówki. Powell wyszedł naprzeciw kierowcy.

– No proszę! Czy mnie oczy mylą, czy to nasz szanowny szeryf zawitał w progi tego domostwa?! Margaret, kochanie, nie stój tak. Zrób naszemu gościowi coś do picia. Kawy, herbaty? A może coś mocniejszego?

– Dzień dobry, Chad – daj mi pretekst skurwysynu, a urwę ci rękę, którą teraz muszę ściskać na powitanie. – Wizyta służbowa. Właśnie odjeżdżałem.

Chad nie przestał szczerzyć zębów, ale jego spojrzenie powędrowało w stronę Meg. Boisz się, że mi powiedziała, bydlaku?

– Szeryf chciał rozmawiać z panem d'Elvisem – wyjaśniła szybko. – Był przy tym, co się stało w kościele.

– Nie widziałem cię dzisiaj na nabożeństwie, Chad – wtrącił Malcolm.

– Miałem robotę – Peters wzruszył ramionami. – A szkoda, bo jak słyszałem, ominęło mnie niezłe widowisko. Ten d'Elvis miał z tym coś wspólnego? Jasne. Jest też odpowiedzialny za porwania bydła i dziurę ozonową.

– Potrzebuję go tylko jako świadka. Pewnie jeszcze do was później zajrzę, żeby z nim porozmawiać.

Chad wszedł po schodach i objął żonę. Nie, nie objął. Otoczył. Osaczył ramionami. Nie była szczególnie drobnej postury, ale przy nim wydawała się całkiem krucha.

– Oczywiście, zapraszamy. Margaret będzie dzisiaj piekła ciasto.

Skinął głową i zapakował się do służbowej crown victorii. Czuł, że jeśli jeszcze chwilę z nimi postoi, zaleje go krew albo zrobi jakieś głupstwo. Ciekawe, jak zdoła to wytrzymać przy lunchu?

Poniedziałek, godz. 13:58

Nie było mu dane się przekonać. Zdążył tylko złapać nieco tchu podczas objazdu okolicy i wejść do biura. Kiedy stanął w drzwiach, telefon właśnie zaczynał dzwonić.

– Biuro szeryfa w Springville. Szeryf Powell, w czym mogę pomóc?

– Mac... – głos po drugiej stronie był przytłumiony, ale całkiem opanowany.

– Meg, czy to ty?

– Mac, czy mógłbyś tu przyjechać?

– Jasne – poczuł nagły niepokój. Zostawił ją tam z tą kanalią, ale liczył, że Peters wiedząc o jego późniejszej wizycie, da jej trochę spokoju. – Coś się stało?

– Tak. Przed chwilą zabiłam Chada.

Nie usłyszał drżenia nawet przez chwilę.

Wypadł, jak stał. Nawet nie odłożył słuchawki ani nie zamknął biura. Chwilę później był z powrotem w samochodzie. Jechał, nie zdejmując stopy z gazu. Kierował jedną ręką, w drugiej trzymał telefon komórkowy, do którego nerwowo wykrzykiwał.

–... nie wiem, co tam zastanę, Jacob. Ona chyba jest w szoku. Jego stan może być bardzo ciężki, nawet krytyczny. Przyjeżdżaj jak najszybciej. Będę na miejscu.

Boże, to nie może być prawda. To tylko jakiś sen albo żart, albo nieporozumienie. Niech to nie będzie prawda. Jeśli go faktycznie zabiła, czeka ją dożywocie albo cela śmierci. Chyba że działała w obronie własnej. Może właśnie tak było. Przecież on ją bił. Tak, to musiała być konieczność. Nieszczęśliwy wypadek.

Przez cały krótki czas jazdy nie był w stanie myśleć praktycznie o niczym innym. Gdy wreszcie dotarł, wyskoczył z wozu, wbiegł po schodach na ganek i zaczął się dobijać do domu. Ze środka nie odpowiadał. Gdy chwycił za klamkę, ta ustąpiła pod naciskiem – drzwi były otwarte.

„Nie wiem, co tam zastanę" – sam to wcześniej powiedział lekarzowi. Ta myśl go otrzeźwiła. Powoli wszedł do krótkiego, wąskiego korytarza. Wszędzie panowała cisza.

– Meg?!

Brak odpowiedzi. Odruchowo, dla dodania sobie pewności, odpiął zatrzask w kaburze i położył dłoń na rewolwerze. Uchylił ostrożnie prowadzące do kuchni drzwi po lewej. Zajrzał... Pierwsze krwawe rozbryzgi zauważył na podłodze i kuchennym blacie. Można było w pierwszej chwili pomyśleć, że ma to coś wspólnego z częściowo ubitym kawałkiem wołowiny leżącym na desce, na blacie. Na szafce obok, na zaschniętej krwi smętnie wisiały zlepione jasne włosy. Z każdym krokiem stawianym powoli w głąb pomieszczenia przybywało krwi i strzępów skóry z włosami na podłodze, ścianach i meblach. Rozmazana, szeroka smuga znaczyła miejsce, gdzie Chad musiał upaść i zaczął się czołgać. Obok na szafce Powell dostrzegł rdzawy ślad dłoni.

Ciało znalazł zaraz za wejściem do salonu, na końcu krwawego śladu. Z głowy nie zostało wiele – obok na podłodze leżały odpryski kości i mózgu. Szeryf nie umiał ocenić, ile czasu Peters żył od chwili pierwszego ciosu, ale mógł się założyć, że uderzenia spadały na czaszkę jeszcze długo po tym, jak wyzionął ducha. Dwa kroki dalej leżał porzucony tłuczek do mięsa, do którego przykleił się kawałek skalpu.

– Wreszcie mam go z głowy – usłyszał niespodziewanie gdzieś z boku. Poderwał się i wycelował w tamtą stronę broń. Niepotrzebnie. Meg Peters siedziała na podłodze pod ścianą. W pokrytej zakrzepłą krwią ręce trzymała kieliszek czerwonego wina. Obok stała napoczęta butelka.

– Maggie, na litość Boską, coś ty zrobiła?

– Zabiłam go – stwierdziła obojętnie. – Powinnam to zrobić już dawno.

Wyprostował się, spojrzał na nią zdezorientowany. Najwyraźniej nie zwracała uwagi na jego reakcje.

– Wiesz dobrze, że mnie bił – mówiła, patrząc nieruchomo gdzieś w przestrzeń. Nie miała już okularów i pod jej okiem widać było wyraźny ciemny ślad. – Ostatnio znęcał się nade mną niemal bez przerwy. Jedne siniaki nie zdążyły zejść, pojawiały się następne. Przypalał mnie papierosami, szarpał za włosy. Bałam się komukolwiek powiedzieć. Pilnował się tylko przy obcych.

Kiedy ten fotograf był w domu, miałam spokój, ale on sporo wychodził. Zresztą, może to i dobrze, bo Chad już zaczynał podejrzewać, że tamten się do mnie dobiera. A tym razem... – przeniosła spojrzenie na Powella – tym razem poszło o ciebie.

Próbował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.

– On myślał, że przyjechałeś do mnie. Szkoda, że się mylił. Wiesz, Mac, naprawdę żałuję – pokiwała głową w zamyśleniu. – No, ale teraz to już bez znaczenia. Na początku był spokojny, kazał mi szykować lunch. Później się rozgadał, a ja nie bardzo wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Wreszcie zaczął mnie szarpać. Uderzył. A ja mu oddałam.

Uśmiechnęła się, a Malcolm poczuł jak wędruje mu po plecach strużka ziemnego potu.

– Był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie zareagował. No to poprawiłam. Chyba boleśnie, bo zobaczyłam... Pierwszy raz w życiu zobaczyłam strach w jego oczach. I wiesz co? – nagle jej twarz stała się maską zimnej satysfakcji. – Spodobało mi się to, co zobaczyłam. Jego strach, to, że przede mną uciekał. Wtedy poszło już z górki.

– Z górki?! – wybuchnął w końcu. – Meg, czy ty wiesz, co mówisz?! Chad to bydlę, ale jednak człowiek!

Pociągnęła łyk wina z kieliszka.

– Widzisz – teraz brzmiała jak nauczycielka, która musi tłumaczyć oczywiste prawdy niezbyt bystremu uczniowi – kiedy w domu zalęgnie ci się robactwo, to się go pozbywasz. Jeśli widzisz karalucha, zdejmujesz but i tłuczesz go do skutku. To było zupełnie jak tłuczenie karaluchów. Nie warte większej uwagi.

Chyba jednak warte, skoro tak skrupulatnie rozpracowała czaszkę Chada. Chciał myśleć, że to szok powoduje tę obojętność, ale nie był pewny. Sposób, w jaki relacjonowała mu przebieg wydarzeń, popijając wino... Świętując? Później będzie czas na rozmyślanie. Teraz masz tu coś do zrobienia.

– Margaret Peters, jesteś aresztowana pod zarzutem morderstwa swojego męża, Chada Petersa. Masz prawo milczeć. Cokolwiek powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Przysługuje ci jeden telefon. Masz prawo do adwokata. Jeśli cię na niego nie stać, zostanie ci przydzielony z urzędu... I nie słyszałem nic z tego, co mówiłaś do tej pory – dodał po chwili.

Schował broń, sięgnął do pokrowca na pasku i wyciągnął kajdanki. Nie protestowała, kiedy ją zakuwał. Kątem oka zauważył, że do salonu wchodzi doktor Jacob. Lekarz był blady jak ściana.

– Dobrze się czujesz, Jacob? Dasz radę pracować?
– Wytrzymam – chwilowo doktor nie był w stanie wydusić z siebie więcej.
– W takim razie zajmij się nią - szeryf wskazał siedzącą Meg. – I postaraj się niczego nie zadeptać. Nawet jeśli natychmiast zadzwonię do Charleston i zgłoszę to federalnym, ekipa śledcza nieprędko tutaj dotrze. Muszę to sfotografować i zabezpieczyć narzędzie zbrodni.
Tyle, że cały potrzebny sprzęt został w biurze. Brak wyrobionych nawyków znów dał o sobie znać. Wychodziło na to, że musiał improwizować. Było to niemal groteskowe, kiedy pytał Meg o gumowe rękawiczki i torebki foliowe, a ona spokojnie tłumaczyła mu, gdzie czego szukać. Pierwsze znalazły się w piwnicy, obok biało-zielonego worka nawozu „Wild Life", drugie w kuchni, w jednej z okrwawionych szafek. Miał ją zapytać jeszcze o aparat fotograficzny, gdy pomyślał o lepszym rozwiązaniu. Wrócił do salonu.
– Który pokój wynajmuje d'Elvis? Chyba muszę pożyczyć jego aparat fotograficzny – starał się nie zwracać uwagi na zdziwione spojrzenie Jacoba.
– Na piętrze. Używa też łazienki jako ciemni. Mac?
– Słucham.
– Chciałabym, żebyś wiedział. Nie cieszę się, że tak się to skończyło. Ale nie żałuję tego, co zrobiłam.
Nie odpowiedział. Odwrócił się tylko i poszedł na górę. Nie chciał dać po sobie poznać, że choćby trochę mu ulżyło. Pokój d'Elvisa był niewielki, co odczuwało się podwójnie przez panujący tam nieład. Część ubrań leżała niedbale rzucona na krzesło, jakby w kącie nie było szafy, do której można by je włożyć. Na małym stoliku leżało parę pudełek z kliszami, plik zdjęć, dwa obiektywy i coś, co chyba było filtrem. Przy łóżku, na nocnej szafce obok lampki leżała mapa i dalszych kilka zdjęć. Biorąc pod uwagę słowa Meg o ciemni w łazience, Powell uznał, że d'Elvis musi sporo podróżować, skoro wozi ze sobą tyle sprzętu.
Podszedł do stolika, wziął do ręki zdjęcia i zaczął je przeglądać. Poza fotografowaniem miejsc zbrodni, czego uczył się w szkole policyjnej, nie miał zbyt wiele do czynienia z tym zawodem. Potrafił jednak docenić umiejętności przyjezdnego. D'Elvis miał dobre wyczucie tematu. Każde zdjęcie zawierało jakiś szczegół, który skupiał na sobie uwagę oglądającego. Odległość, kompozycja, oświetlenie – poszczególne elementy dyskretnie podkreślały to, co chciał przedstawić. Nawet jeśli na fotografii było coś teoretycznie ciekawszego od obiektu wybranego przez d'Elvisa, dostrzegało się to dopiero w drugiej kolejności. Kątem oka szeryf zauważył obok stolika kosz na śmieci,

w którym wylądowała spora sterta podartych zdjęć. Przejrzał także te i doszedł do wniosku, że fotograf stawia sobie wysokie wymagania.

Odłożył zdjęcia z powrotem na stolik i zainteresował się rzeczami leżącymi na szafce. Mapa z jednej strony obejmowała całą Karolinę Południową, z drugiej zaś, znacznie dokładniej, Springville, Castleview, Trinity i inne okoliczne miejscowości. Tu zdjęcia były inne – tak, jakby nie zdążył jeszcze oddzielić tych udanych od gorszych. Wszystkie pokazywały polanę w lesie – Powell chyba nawet znał to miejsce. Na ziemi leżał ułożony ze sznurka okrąg z pentagramem. W jego wierzchołkach stały wypalone znicze, w których zdążyła się już nagromadzić deszczówka. W środku widać było pozostałości po rozpalanym ognisku – z tego, co dało się zauważyć, w popiele leżały na wpół zagrzebane szczątki jakiegoś zwierzęcia. Tu i ówdzie walały się puszki po piwie. Na dolnej gałęzi jednego z drzew wisiała czarna plastikowa torba.

– Czy mogę w czymś pomóc? – Powell natychmiast odwrócił się w stronę, z której dochodził głos. W drzwiach pokoju stał d'Elvis. Był wyraźnie poruszony.

– Pan d'Elvis. Już wcześniej pana próbowałem znaleźć – szeryf szybko się opanował. – Nie wziąłem z biura sprzętu, a muszę sfotografować miejsce zbrodni.

– Widziałem, co się stało – d'Elvis wszedł i usiadł na łóżku. – To jakiś obłęd. Pani Peters zachowywała się zupełnie zwyczajnie. Przez myśl mi nie przeszło, że jest zdolna do czegoś podobnego – wyjął z kieszeni paczkę Davidoffów. – Zapali pan?

– Dziękuję. Niedawno rzuciłem.

Dlatego się obżeram, dorzucił w myślach. D'Elvis zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym. Zachowywał się, jakby nie przyłapał Powella na grzebaniu w swoich rzeczach.

– Lekarz powiedział mi, że jest pan na górze i że potrzebny jest panu aparat. Jeśli trzeba, mogę pomóc zrobić i wywołać zdjęcia. Tyle, że już chyba nie tutaj.

– Faktycznie – zgodził się Malcolm – nie może pan tu teraz mieszkać. Najrozsądniej będzie chyba, jeśli przeniesie się pan do mnie. Mam mieszkanie przy biurze.

– Chce mnie pan mieć na oku, szeryfie?

– A widzi pan po temu jakieś powody?

D'Elvis wypuścił kolejną długą smugę dymu. Powell często musiał przebywać w zadymionych pomieszczeniach, ale w tej chwili zapach tytoniu był szczególnie drażniący.

– Nie. Za to tutejsi ludzie najwyraźniej mają inne zdanie. Dla nich jestem obcym. Proszę tego nie brać do siebie, ale odnoszę wrażenie, że z przyjemnością zrzuciliby na mnie winę za wszelkie zło, włącznie z porwaniami bydła i dziurą ozonową – pokręcił głową. – Przepraszam, dowcip był nie na miejscu.

– Długo zamierza pan zostać w Springville?

– Z każdym dniem coraz krócej – pokazał palcem zdjęcia, których nie zdążył odłożyć szeryf. – Widzę, że zaciekawiły pana. Trafiłem na to przedwczoraj w lesie, jakieś dwie mile stąd.

– Domyśla się pan, co to jest?

– Jakieś dzieciaki bawią się w czarną magię. Zajrzałem do tej torby na drzewie. Było w niej kilka puszek piwa i świerszczyki – sięgnął do szuflady szafki i wyciągnął z niej kolorowy magazyn. – Nawet całkiem zabawne.

Powellowi wcale nie było do śmiechu. Kolejny problem na głowie. Co prawda ten mógł zaczekać, ale dzieciaki w swoich zabawach zabiły przynajmniej jedno zwierzę i trudno było przewidzieć, jak bardzo się rozbestwią, jeśli w porę ktoś nie przywoła ich do porządku.

– Poproszę później, żeby pokazał mi pan na mapie, gdzie to było. Teraz muszę się zająć zabezpieczeniem miejsca zbrodni. A później czeka nas jeszcze pańska przeprowadzka.

D'Elvis zaciągnął się jeszcze raz i zgasił niedopałek o podeszwę.

– Chyba pora brać się do roboty.

Poniedziałek, godz. 22:25

Pracy nie zabrakło aż do późna. Teraz Powell siedział w najdalszym kącie „U Ronniego" i oglądał salę przez kolejną szklaneczkę bourbona. Żeby do niego podejść, trzeba było przejść obok baru, a Ronnie był na tyle uprzejmy, że w paru zwięzłych słowach zniechęcał każdego, kto chciał się zbliżyć do szeryfa. Oczywiście wcześniej trzeba mu było wszystko zrelacjonować, dzięki czemu właściciel baru mógł częściowo zaspokoić ciekawość mieszkańców, a przy okazji więcej zarobić na drinkach. Po dokładnym obfotografowaniu kuchni i salonu dom został zamknięty i zapieczętowany. Meg siedziała w celi. Jacob dokładnie ją przebadał, wynotował wszystkie pozostawione na jej ciele pamiątki po mężu i z ulgą zabrał się do domu. D'Elvis po przeprowadzce zajął łazienkę, przerobił ją na ciemnię i zabrał się za wywoływanie zdjęć. Zapakowany w torebkę tłuczek leżał w biurowym sejfie obok wstępnego raportu. Wkrótce miały tam wylądować także artystyczne zdjęcia krwawych

śladów, rozrzuconych strzępów skóry, kawałków mózgu, zmiażdżonej czaszki i reszty tego, co jeszcze dzisiaj, około południa, było Chadem Petersem – sadystą i sukinsynem, świeć Panie nad jego duszą. Kontemplując złocisty płyn w szklance, szeryf stwierdził, że obawia się tego, co zobaczy na fotografiach d'Elvisa. Czy tak, jak te oglądane wcześniej, będą przykuwać uwagę każdym skrupulatnie wyeksponowanym detalem? Czy będą podobnie wyraziste, sugestywne aż do bólu?

Ktoś jednak się do niego dosiadł. Powell podniósł wzrok znad bourbona i ze zdziwieniem zobaczył zatroskaną twarz wielebnego Chadwicka.

– No proszę. Cóż sprowadza wielebnego o tej porze do miejsca, gdzie głównymi atrakcjami są whisky i bilard?

– To, co zwykle. Kiedy tu zaglądam, moje owieczki mniej piją. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Po starszym mężczyźnie widać było zmęczenie ostatnimi przeżyciami. Wreszcie Malcolm spuścił wzrok, akurat na wysokość obandażowanej dłoni pastora.

– Jak ręka?

– Boli. Już nigdy nie będzie w pełni sprawna. Ale da się przeżyć – podniósł ranną dłoń do czoła. – To tym bardziej się martwię.

– Co pastor zamierza zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Przydałaby się wizyta u psychiatry, ale w zaistniałych okolicznościach nie mogę wyjechać ze Springville.

Powell pochylił się bardziej nad stolikiem.

– Wielebny, z naszym miastem dzieje się coś niedobrego, a ja nie wiem, co na to poradzić. Gdzie szukać przyczyny? Nie mogę się uporać nawet sam ze sobą. Myślę o morderczyni i współczuję jej, i zastanawiam się, jak ją z tego wszystkiego wyciągnąć. Myślę o ofierze i niemal cieszę się, że tak skończył. Jej potrafię wybaczyć, a jemu nie, chociaż to on tam leży, a ona siedzi w celi, z jego krwią na rękach. Może ja też powinienem się udać do psychiatry? – z powrotem ciężko opadł na krzesło i gorzko się zaśmiał. – Stróż moralności i stróż prawa. Wiódł ślepy kulawego.

– Malcolm, ludzie w Springville muszą wiedzieć, że mogą na nas liczyć. Nie możemy się poddawać.

– Ja się nie poddaję. Tylko nie jestem pewny, czy to kogoś jeszcze obchodzi.

Dopił bourbona i wstał od stolika.

– Może pastorowi w niedzielę pójdzie lepiej. Frekwencja w kościele na pewno będzie wysoka.

Podszedł z boku do baru i skinął na właściciela.

– Mogę wyjść przez zaplecze?

– Jasne. Szeryfie? – no tak, pomoc musiała kosztować. – Stary Frank Peters mówi, że jego synowa pewnie łajdaczyła się z tym obcym i stąd to wszystko...

– Ronnie – Powell zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w dłonie, – dla własnego bezpieczeństwa nie powtarzaj takich plotek.

– Plotek? – powtórzył z boku chrapliwy głos. – Plotek?! Margaret ma materac przywiązany do pleców. Sto razy mówiłem Chadowi, żeby wyrzucił dziwkę z domu na zbity pysk. – Malcolm bardzo powoli odwrócił się w stronę Franka. Teść Maggie był już mocno pijany. W przeciwnym razie widząc wyraz twarzy Powella, przerwałby swoją tyradę. On jednak kontynuował. – Mój chłopak był jej nie dość dobry. Wolała się puszczać z pierwszym lepszym przybłędą.

Szeryf nachylił się nad uchem Petersa. Coś w nim pękło.

– Problem w tym, Frank – wyszeptał, – że pierwszy lepszy przybłęda był lepszy od twojego gówniarza.

Nalana twarz starego spurpurowiała momentalnie. Powell zareagował ułamek sekundy za późno. Pięść Petersa zdążyła jeszcze dosięgnąć jego podbródka. Uderzenie nie było precyzyjne, ale wystarczyło, żeby go otrzeźwić.

Co ja robię, do jasnej cholery?

Drugi cios nie zdążył już spaść. Chwilę później szamoczącego się Franka przytrzymywało dwóch miejscowych. Powell, już całkiem przytomnie, rozejrzał się po otoczeniu. Wszystkie oczy były zwrócone na niego. Na twarzy pastora, który nawet nie zdążył zareagować na całe zdarzenie, widać było zaniepokojenie. Czy ktoś usłyszał, co powiedział Petersowi? Jak mógł doprowadzić do takiej sytuacji?

– Wyprowadźcie go stąd – polecił tym, którzy trzymali Petersa. – Mam dosyć spraw na głowie, żeby jeszcze znosić pijackie awantury.

Zawstydzony, rozcierając szczękę, wyszedł przez zaplecze na dwór. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, oparł się o mur i zaczął głęboko oddychać. Padał drobny, zacinający deszczyk. Stał tak po ciemku przez dłuższą chwilę, porządkując myśli. Chłód przegnał resztki oszołomienia alkoholem. Wreszcie, ignorując dokuczliwą mżawkę, bez pośpiechu ruszył w stronę biura. Gdy dochodził do głównej ulicy, usłyszał jakieś stłumione odgłosy dochodzące od strony frontowego wejścia do „U Ronniego".

Wyszedł na ulicę. Kilkanaście jardów od drzwi trzech mężczyzn otaczało klęczącą na czworakach postać. Jeden z nich, w którym szeryf rozpoznał

Franka Petersa, nachylił się chwiejnie nad klęczącym, powiedział coś i kopnął tamtego w brzuch. Powell usłyszał stęknięcie i zobaczył jak sylwetka zwija się i przewraca się na bok. Przyspieszył kroku.

Na jego widok napastnicy rozstąpili się w milczeniu. Pozostali dwaj wyprowadzali wcześniej teścia Maggie z baru. Jednym z nich był Connors. Malcolm przypomniał sobie, że rudowłosy wielkolud przyjaźnił się z Chadem. Między nimi w błocie leżał skulony d'Elvis. Wokół szeryf dostrzegł porozrzucane zdjęcia. W słabym oświetleniu nie widział szczegółów, ale domyślał się, co było na fotografiach. Zatrzymał się kilka kroków od nich, na wypadek, gdyby któremuś strzeliło do głowy go zaatakować.

– Da pan radę wstać?

D'Elvis głośno łapał powietrze. Odpowiedział dopiero, gdy Powell powtórzył pytanie.

– Zaraz wstanę. Nie jest tak źle. Chociaż jeszcze chwila, a mogłoby być.

Powoli podniósł się z ziemi i spojrzał pytająco na Malcolma.

– Proszę wracać do mnie. Niedługo tam przyjdę – polecił szeryf.

– Jest pan pewny? – fotograf znacząco skinął głową w stronę Petersa i jego kompanów.

– Zajmę się nimi – uciął dyskusję.

D'Elvis nie protestował. Lekko chwiejnym krokiem wyminął zebranych i ruszył w stronę biura. Nie próbował zbierać leżących na ziemi zdjęć.

Milczenie między napastnikami a szeryfem przedłużało się. Pierwszy przerwał je Connors.

– Pozwolisz mu tak zwyczajnie odejść? Po tym wszystkim, co zrobił?

– A cóż takiego niby zrobił, twoim zdaniem? – zapytał Powell przez zaciśnięte zęby.

– To wszystko, co się dzieje... On w tym siedzi po same uszy. Wszędzie, gdzie się pojawia, zaczynają się problemy.

– Przypadek.

– Jesteś pewny? Tyle przypadków naraz? A może to coś więcej?

– Niby co?

Connors szturchnął stojącego obok żylastego mężczyznę po czterdziestce.

– Powiedz mu, Lex. Powtórz mu to, co nam mówiłeś.

Powell przeniósł spojrzenie na Lexa. Ten chwilę myślał, po czym zaczął cicho mówić. Przez cały czas wbijał wzrok w końcówki swoich butów.

– Kiedy wielebny Chadwick przybił się do ambony, mój dzieciak strasznie się spietrał i wygadał mi się, co robił w lesie kawałek stąd. Nie wiem, czego

się naoglądali, ale wpadło im do głowy, żeby odprawiać tam jakieś rytuały czy co tam. Mają tam polanę, na której się spotykają. No i wyrysowali tam jakiś pentagram, pozapalali ognie i zaczęli czarować. Jeden gówniarz przywlókł psa Edny Babcock, co to go wcześniej pogryzł, jak się z nim drażnił. I oni tam tego psa... a później wrzucili truchło do ogniska.

– I co to ma wspólnego z d'Elvisem? – szeryf domyślał się, co dalej usłyszy, jednak trudno mu było uwierzyć, że ktokolwiek jest gotów z powagą wypowiedzieć to na głos.

– Jak wrócili tam dwa dni później, zobaczyli, że ktoś im łaził po polanie i grzebał w tym, co tam mieli. A później u Chada zamieszkał ten obcy. A dalej to już wiadomo.

– Rozumiesz już? – wtrącił się Connors. – W co ci łatwiej uwierzyć? W to, że w Springville zdarzyło się tyle przypadków, czy że jest jakaś przyczyna? Dopóki nie przyjechał tu ten fotograf, nic się nie działo.

Przyglądał im się uważnie. Chryste, oni traktowali to śmiertelnie poważnie!

– Czy wyście poszaleli? – starał się nad sobą panować. – Ubzduraliście sobie nie wiadomo co i dla podobnych bzdur o mało nie zakatowaliście niewinnego człowieka. Powinienem was wszystkich aresztować...

Przerwał, gdy stary Peters pochylił się i podniósł z ziemi kilka zdjęć.

– Czy niewinny człowiek robi takie zdjęcia? – podetknął Powellowi fotografie przed sam nos. Były dokładnie takie, jak Malcolm się obawiał. – To pieprzony zwyrodnialec. Trzeba się z nim rozprawić.

Z trudem oderwał wzrok od widoku zmiażdżonej czaszki Chada. Poczuł się nagle potwornie zmęczony. Chłód i wilgoć zaczęły mu w końcu wyraźnie doskwierać.

– D'Elvis zrobił te zdjęcia dla mnie – wyjaśnił. – Musiałem sfotografować miejsce zbrodni, a on akurat był pod ręką i pomógł w robocie. Pewnie właśnie miał mi je przynieść, kiedy go napadliście. I faktycznie był na tamtej polanie. Sam mi o tym mówił. Zabrał sobie nawet pisemko pornograficzne na pamiątkę. To, że był w kościele, kiedy pastor miał atak, to zbieg okoliczności – zawiesił na chwilę głos. – I nie miał też nic wspólnego ze śmiercią Chada. Meg zabiła męża w obronie własnej, gdy kolejny raz zaczął ją katować – westchnął ciężko i potarł palcami skronie. – Czy właśnie to chciałeś usłyszeć, Frank? Musiałem to przy nich mówić, żebyś wreszcie odpuścił?

Znów zapadło milczenie. Szeryf podszedł i zaczął zbierać ubłocone fotografie.

– Wracajcie do domów i dajcie sobie spokój z d'Elvisem. Może zapomnę, że oberwałem w szczękę i że bez powodu skopaliście Bogu ducha winnego turystę.

Wyprostował się i przesunął spojrzeniem po twarzach całej trójki. Nie potrafił ocenić, czy to, co powiedział, cokolwiek dało. Wreszcie Lex oderwał się i odszedł bez słowa. Powell wciąż patrzył z wyczekiwaniem na Franka i Connorsa. Wielkolud ustąpił pierwszy – zrobił krok do tyłu i położył rękę na ramieniu Petersa, jednak ten nie zareagował.

– Idę spać – oznajmił w końcu Malcolm. Przeszedł między nimi i ruszył do domu. Zza pleców dobiegł go głos Petersa.

– Tak nie można, Powell – krzyczał stary. – W końcu będziesz musiał wybrać, po której jesteś stronie. Zapamiętaj moje słowa.

Szeryf zawrócił, podszedł szybko do tamtego i z całej siły wyrżnął go w szczękę. Peters z głuchym odgłosem wylądował na ziemi.

– To za bar. Jesteśmy kwita – Powell stanął nad oszołomionym Frankiem. – A teraz ty zapamiętaj moje słowa – jego głos był zimny i dobitny. – Jestem szeryfem w tym mieście. Tu istnieje tylko jedna strona: moja. Jeśli coś ci się nie podoba, zawsze możesz stąd wyjechać. Ale nie będziesz działał wbrew mnie.

Podniósł wzrok na zaskoczonego Connorsa.

– Zabierz stąd tego durnia.

Nie czekając na reakcję, odwrócił się i poszedł do domu. Wcześniej wstąpił do biura i wrzucił do sejfu nieco sfatygowany plik zdjęć. Nawet nie próbował im się przyglądać. Cicho podszedł do drzwi celi i zajrzał przez okienko. Maggie leżała nieruchomo na pryczy, twarzą do ściany. Spała albo udawała, że śpi, on zaś nie widział sensu w sprawdzaniu. Nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie patrząc na nią, pozbyć się sprzed oczu obrazu zmasakrowanych zwłok Chada? I czy w ogóle kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy, gdy proces dobiegnie końca?

Kiedy wchodził do domu, d'Elvis też spał już w najlepsze na kanapie, przykryty narzutą. Ubłocone ubranie leżało na stercie obok. Powell przez chwilę rozważał, czy go obudzić. Ostatecznie stwierdził, że wszystko, co ma do powiedzenia, może zaczekać do rana. Przyłapał się na tym, że jest zdziwiony brakiem czegokolwiek do roboty. Przemoczony i zmarznięty uznał w końcu, że nie warto szukać na siłę. Poszedł do łazienki i uważając, żeby nie wywrócić niczego ze sprzętu fotografa, wziął z apteczki dwie aspiryny. Niemal powłócząc nogami, dobrnął do kuchni i popił tabletki resztkami śniadaniowej herbaty. Wreszcie skierował się do sypialni. Przez jakieś pół minuty, zanim pogrążył się w błogiej nieświadomości, obawiał się, że jeszcze długo nie będzie mógł zasnąć.

Wtorek, godz. 19:22

Ekipa federalnych zjawiła się z samego rana i Powell nie mógł już narzekać na bezczynność. Zabrali wszystko, co do tej pory zgromadził i pojechali do domu Petersów. Uwinęli się tam bardzo sprawnie, później zaś wzięli na spytki Malcolma, Jacoba, d'Elvisa i wreszcie samą Maggie. Przesłuchanie było jak zwykle długie i męczące, pełne drobnych haczyków i pytań z podwójnym dnem, ale najwyraźniej w ostatecznym rozrachunku wszystko w zeznaniach się zgodziło. Około piątej po południu zabrali ze sobą Meg, ciało Chada, dowody, zeznania i raporty, i równie szybko jak się zjawili, wynieśli się z powrotem. W tej sprawie nie mieli problemu z ustaleniem i schwytaniem przestępcy, a dalszy rozwój wydarzeń pozostawał w gestii prokuratora i ławy przysięgłych.

Wreszcie w biurze zapanował względny spokój. Powell siedział na swoim krześle z nogami opartymi o biurko, próbując uporządkować sobie wydarzenia ostatnich dni. Czy dobrze się stało, że nie zdążył zamienić z Maggie choćby kilku zdań, zanim zabrali ją agenci FBI? Zresztą, co tak naprawdę miałby jej do powiedzenia? Była dla niego kimś znaczącym, ale czy było to głębsze uczucie, czy tylko sympatia i troska wynikające ze znajomości jej sytuacji? A może po prostu przewróciła mu w głowie ta jedna noc, którą kiedyś spędzili razem, gdy Chad wyjechał na targi rolnicze? Nigdy o tym nie rozmawiali – nawet wtedy, po wszystkim, zwyczajnie zabrała się od niego i wyszła jeszcze przed świtem. Było jednak między nimi coś szczególnego. Co by się stało, gdyby pewne słowa zostały wypowiedziane? Nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie, więc zaczął myśleć o d'Elvisie. Fotograf nie potrafił zdecydować, czy zgłosić oficjalnie pobicie, czy zostawić sprawę i nie zaogniać całej sytuacji. Szeryf nie umiał mu doradzić. Patrząc od służbowej strony, nie było to coś, co powinno ujść płazem Frankowi Petersowi i pozostałym, szczególnie, że gdyby się tam nie zjawił, mogło się skończyć znacznie gorzej. Z drugiej strony d'Elvis lada moment zamierzał wyjechać, a sprawa o napaść niepotrzebnie przedłużyłaby jego styczność z miejscowymi i jeszcze pogorszyła atmosferę w miasteczku. Malcolm nie miał tego dnia wiele czasu na rozmowy z ludźmi, jednak zauważył niechęć, z jaką przyjęto w Springville jego kontakty z fotografem. Nie wiedział, co kto komu powiedział, ale było tego najwyraźniej dosyć, żeby odsunięto się od niego. W Springville panował spokój, lecz Powell czuł, że coś jeszcze wisi w powietrzu. Tak, jakby w mieście podjęto bez jego udziału jakąś decyzję, o której miał się dowiedzieć po fakcie. Na wszelki wypadek polecił d'Elvisowi, żeby nie oddalał się z budynku.

Jedyne spacery, na jakie chwilowo mógł sobie pozwolić fotograf, odbywały się na trasie mieszkanie – biuro. Czyli jakieś sześć, siedem jardów.

Jak na zawołanie drzwi otworzyły się i do biura wszedł d'Elvis. Był najwyraźniej poruszony.

– Szeryfie, ktoś właśnie zabrał mój samochód. Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Ford d'Elvisa stał obok budynku. Ktoś bezczelnie sprzątnął go Powellowi sprzed nosa. Szeryf poczuł, że ogarnia go złość. Miał już dosyć tych gierek, podchodów i niedomówień. Tym razem cela będzie aż przepełniona.

– Widział pan, w którym kierunku odjechał złodziej?

– Chyba na zachód.

Szeryf zdjął nogi z biurka i wyciągnął z szuflady kilka papierów.

– Proszę wracać do mieszkania i pod moją nieobecność wypełnić formularze zgłoszenia kradzieży i skargi w związku z pobiciem. Jeśli nie będzie pan wiedział, co gdzie wpisać, proszę zostawić wolne miejsce; wypełni się je później. Ja jadę za złodziejem.

Szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

– I proszę stamtąd nie wychodzić.

Wybiegł z budynku i zapakował się do służbowego wozu. Bez zastanowienia ruszył w kierunku wskazanym przez d'Elvisa. Znał dobrze okolicę i wiedział, jaka trasa była w tej sytuacji najbardziej prawdopodobna – zdezelowany samochód d'Elvisa nie sprawdziłby się na części lokalnych dróg, zatem złodziej musiał trzymać się tych lepszych. Zanim dojedzie do rozjazdu, na którym Powell mógłby go zgubić, istniała szansa na doścignięcie go. Docisnął mocniej pedał gazu. Przez dwa ostatnie dni jeździł po tej okolicy szybciej niż kiedykolwiek do tej pory. Droga od wczoraj zdążyła podeschnąć, ale powoli zaczynało się ściemniać i na wszelki wypadek włączył przednie światła. Tym razem jednak czuł się znacznie pewniej niż poprzedniego dnia, kiedy roztrzęsiony pokonywał tę trasę jadąc do Maggie. Tylko gdzieś w środku tliło się w nim niejasne przeświadczenie, że coś przeoczył. Coś cholernie istotnego.

Chwilę później w pełnym pędzie zostawił za sobą oklejony żółtą policyjną taśmą dom Petersów. Z irytacją uświadomił sobie, że skrzyżowanie jest coraz bliżej, a nigdzie nie widzi charakterystycznego pojazdu. Gdyby wcześniej zjechał z głównej drogi, zapewne dałoby się to zauważyć. Za kolejnym zakrętem pojawił się oczekiwany rozjazd. Niemal w ostatniej chwili, między drzewami po prawej, Powellowi mignęła niebieska karoseria.

– Mam cię sukinsynu – włączył światła na dachu i sygnał. Pulsujące wycie syreny rozniosło się dalekim echem.

Ciekawe, który z nich siedział za kierownicą? Frank? Connors? Lex? Jeśli chcieli, żeby d'Elvis wyniósł się z miasta, po co kradli jego samochód? A może to kolejny zbieg okoliczności? Co przeoczył? Gdzie popełnił błąd? Wraz ze zmniejszaniem się dystansu między jego crown victorią a skradzionym fordem niepokój Powella narastał.

Wreszcie drugi kierowca najwyraźniej uznał, że nie jest w stanie zostawić w tyle policyjnego wozu. Zaczął wyraźnie zwalniać i w końcu zjechał na pobocze. Szeryf zatrzymał się paręnaście jardów dalej i wyłączył syrenę.

– Powoli otwórz drzwi, wyjdź z samochodu z podniesionymi rękami i połóż się na ziemi tak, żebym cały czas cię widział – rozkazał przez głośnik.

Faktycznie drzwi forda otworzyły się i jego kierowca skrupulatnie zastosował się do poleceń. Sądząc po sylwetce, nie był to ani Peters, ani tym bardziej Connors. I również raczej nie Lex, chociaż tu nie dałby już głowy. Powell sięgnął po broń i powoli wyszedł z wozu. Ostrożnie zbliżył się do skradzionego auta i upewnił się, że nikt nie ukrył się w środku. Później spojrzał na leżącą na asfalcie postać. W ciszy rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu komórkowego.

– ... kazał mi go zabrać – doszedł go trzęsący się głos od strony stóp. – Mówił, że to dla dobra miasta i że w ten sposób naprawię to, co zrobiliśmy wtedy w lesie. Miałem go później odprowadzić.

Telefon nie przestawał dzwonić. Powell zrozumiał. Nie oglądając się na rozpłaszczonego na ziemi syna Lexa, rzucił się z powrotem do samochodu.

Wtorek, godz. 20:37

Auto d'Elvisa było tylko przynętą. Gdy Powell wreszcie odebrał telefon, spanikowany fotograf powiadomił go, że przeżywa istne oblężenie. Zabarykadował się w mieszkaniu szeryfa, ale nie wiedział, jak długo wytrzyma sprzęt, którym pozastawiał drzwi i okna. Za oknem słyszał już nawet pogróżki, że puszczą budynek z dymem. Ale czy mógł odważyć się wyjść do nich, skoro... Skoro oni chcieli go zabić.

Szeryf zajechał pod dom akurat w momencie, kiedy otwierały się drzwi i przy akompaniamencie zachęcających okrzyków, Lex wyprowadzał z mieszkania szamoczącego się d'Elvisa. Wszystkie okna były powybijane – najwyraźniej napastnik dostał się do środka przez jedno z nich. Przed budynkiem zebrała się spora grupka miejscowych, prym wiedli oczywiście stary Peters

i Connors. Część z zebranych miała przy sobie kije i broń palną. Ku zdumieniu Powella wśród zgromadzonych mignęła także twarz wielebnego Chadwicka. Pastor miał ten sam nieobecny wyraz oczu, co wcześniej w kościele.

Malcolm wyciągnął broń z kabury i wysiadł z crown vica.

– Co się tu, do diabła, wyczynia? – wrzasnął. Spojrzenia ludzi zwróciły się na niego. Zapanowała cisza.

– Frank, Connors, Lex – Powell resztkami sił trzymał nerwy na wodzy – jesteście aresztowani pod zarzutami napaści, współudziału w kradzieży samochodu, włamania i usiłowania zabójstwa. A to pewnie nie wszystko, co się na was znajdzie. Wypuśćcie d'Elvisa i nawet nie próbujcie stawiać oporu.

Tłum rozstąpił się wokół wymienionych. Znów stali naprzeciw siebie jak poprzedniego dnia, jednak tym razem nie było mowy o rozejmie. Peters wyszedł dwa kroki przed pozostałych.

– Odejdź, Powell! – krzyknął. – Trzymaj się od tego z daleka.

– Wyście wszyscy oszaleli! Złóżcie broń po dobroci.

– Po prostu odejdź – wtrącił się Connors. – Zostaw to nam.

– Nie pozwolę wam zlinczować niewinnego człowieka.

– On nie jest niewinny. To potwór w ludzkiej skórze. Ściąga na Springville same nieszczęścia. Pozbycie się go to konieczność.

– A kim wy będziecie, jeśli go zamordujecie?

– On się tobą posługuje, Malcolmie – dobiegł go głos z boku. Głos Chadwicka.

– Czy tego nie widzisz? Wykorzystuje twoje słabości. Zwrócił cię przeciw ludziom, których znasz całe życie. Boją się i potrzebują cię, a ty się od nich odwracasz. To diabeł.

– Szeryfie... – d'Elvis chciał coś powiedzieć, ale Lex zdzielił go w żołądek. Szeryf zrobił krok do przodu, ale Peters natychmiast zagrodził mu drogę, zanim podszedł bliżej. Teść Maggie trzymał w rękach dwururkę.

– Odejdź, Powell – powtórzył.

– Nie mogę, Frank. Nie wolno mi do tego dopuścić.

Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Pamiętasz, szeryfie – zaczął wreszcie stary, zadziwiająco spokojnie – jak wczoraj mówiłem, że będziesz musiał wybrać, po której jesteś stronie? Teraz nadeszła ta chwila. Wybieraj. Jesteś z nami, czy przeciwko nam?

– Frank, nie zmuszaj mnie do takich decyzji...

– Z nami czy przeciwko nam? – krzyknął.

Powell rozejrzał się po zebranych. Wszyscy czekali na jego decyzję. Widział

w ich oczach lęk i niepewność. Przeniósł spojrzenie na d'Elvisa. Fotograf stał wyprostowany, z pozbawioną wyrazu twarzą. Czekał na wyrok.

– Przykro mi... Jestem przeciwko wam.

Peters zaczął podnosić strzelbę.

Malcolm zareagował instynktownie. Poderwał broń i wypalił do Franka. Pocisk trafił w bark i rzucił starego na ziemię. Strzelba wypadła mu z rąk. Rozwścieczony Connors ruszył na Powella z kijem baseballowym. Ten nie zastanawiając się strzelił mu po nogach.

Kątem oka dostrzegł postać wyrywającą się z tłumu. Biegła w jego stronę; w wyciągniętej ręce szeryf dostrzegł czarny kształt.

Odwrócił się i wypalił w ostatniej chwili. Kula przebiła dłoń tamtego i ugodziła w klatkę piersiową. Impet cisnął go na plecy. Upadł z rękami szeroko rozrzuconymi na boki.

Dopiero po chwili Powell zrozumiał, co się stało.

Wielebny Chadwick leżał trzy kroki od niego. Tuż obok upadł niewielki egzemplarz Biblii. Z jedną dłonią owiniętą pokrwawionym bandażem, a drugą strzaskaną pociskiem, surrealistycznie przywodził na myśl zdjętego z krzyża Chrystusa.

Boże, co ja zrobiłem? Wokół niego wszystko zamarło. Poczuł, jak schodzi z niego adrenalina i uginają się pod nim kolana.

– Czy o to wam chodziło? – krzyknął do ludzi. – Czy to się musiało tak skończyć?

Spojrzał na ciało pastora. Na obu rannych. Wreszcie na d'Elvisa.

– Co ja teraz mam zrobić? – zapytał po prostu.

Fotograf wskazał za plecy Malcolma. Na ulicę przed biurem powoli wtoczył się odrapany niebieski ford. Wysiadł z niego chłopak Lexa, najwyraźniej ciężko przerażony zastaną sceną.

– Zabiorę się stąd teraz – odezwał się d'Elvis. – Wie pan, gdzie mnie szukać w razie potrzeby. Przecież na pewno sprawdzał pan moje dane.

Nie doczekał się odpowiedzi. Powoli, niezatrzymywany już przez nikogo ruszył w stronę samochodu. Przechodząc obok Malcolma, wyciągnął do niego rękę.

– Dziękuję, szeryfie.

Powell nadal milczał. Nie uścisnął wyciągniętej ręki.

– To, co się stało... – próbował mu wytłumaczyć fotograf – to nie pańska wina. Zrobił pan wszystko, co w pana mocy.

Milczenie.

– Co jeszcze mógłbym powiedzieć, żeby...
– Powiedz „dobranoc" i spierdalaj.

Tym razem d'Elvis umilkł. Już bez słowa minął szeryfa, wsiadł do forda, wykręcił i powoli ruszył w kierunku wyjazdu z miasta.

Znużony i zobojętniały, szeryf usiadł na krawężniku przed biurem. Na wprost niego, na ziemi, leżała nieco sfatygowana paczka davidoffów, a obok niej jakieś zdjęcie. Powell podniósł paczkę i z namysłem obracał w dłoniach przez dłuższą chwilę. Wreszcie schował ją do kieszeni. Czy d'Elvis był potworem, czy nie, nie było tu dla niego miejsca. Mieli dosyć własnych demonów.

Spojrzał na fotografię.

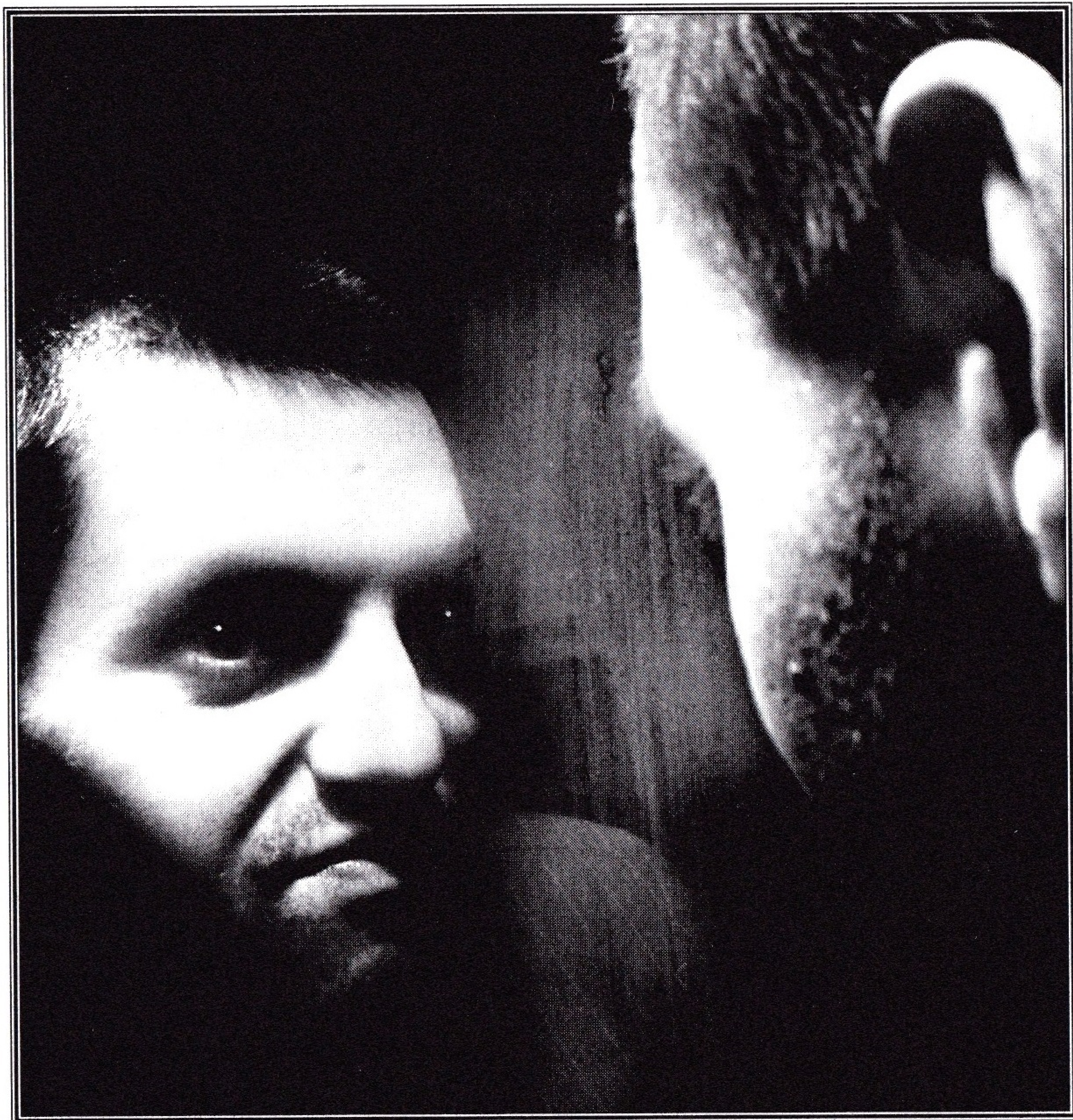
Widniał na niej krzyż na tle ciemnego nieba. Powell nie mógł oderwać wzroku od twarzy ukrzyżowanego.

Ostatni kawałek niebieskiej karoserii zniknął za drzewami.

Warszawa, październik-listopad 2002 r.

Twarz na każdą okazję

Michał Studniarek



Michał Studniarek (1976) – skończył historię na UW, ale pracuje jako tłumacz. Poza tym współpracował z nieistniejącymi już miesięcznikami *Magia i Miecz* oraz *Feniks*. Jest jednym z autorów gry fabularnej *Wiedźmin: Gra Wyobraźni*. Uznanie czytelników zyskały publikowane w *Fantasy* opowiadania z serii *Necropolice*, traktujące o policji opiekującej się cmentarzem i jego mieszkańcami.

Każdy z nas odgrywa w życiu pewne role: czułego syna, dobrego przyjaciela, pilnego ucznia itp., itd. A jakby było, gdybyśmy na każdą okazję potrafili zakładać maskę idealnie odwzorowującą pewne emocje i zachowania? Jaką maskę TY byś wtedy założył?

Pacjent wyglądał jak typowy komiwojażer: chudy, przygarbiony brunecik około trzydziestki, ubrany w tani, ciemnoszary garnitur z bazaru, kiczowaty krawat ze sztucznego jedwabiu i znoszone buty. Nie wyglądał na człowieka posiadającego dość gotówki, by zapłacić za wizytę. Obok niego stała ogromna, wiekowa walizka obciągnięta skórą, ze wzmacnianymi rogami. Prawdziwy antyk. Podobna, odziedziczona po dziadku, obrastała kurzem u mnie na strychu.

Mężczyzna siedział na krześle i spoglądał na mnie znękanym wzrokiem; na pewno nie przyszedł tu jako przedstawiciel jakiejś podejrzanej firmy farmaceutycznej sprzedającej podróbki pigułek na porost włosów.

– Co panu dolega?

– Mam problem z twarzą, panie doktorze – oznajmił smutnym głosem. Tak mówią ludzie, których choroba gnębi od dłuższego czasu, a oni odwiedzili już wielu lekarzy i wydali fortunę na nieskuteczne środki.

Przyjrzałem się jego fizjonomii: nie wykazywała żadnych zmian chorobowych. Na wszelki wypadek zbadałem jednak pacjenta dokładnie, włącznie z pomiarem ciśnienia. Okaz zdrowia.

– Nic tu nie widzę – rozłożyłem ręce.

– Jak to? Nie dostrzega pan tych zgrubień na bokach twarzy i u nasady włosów?

– Ach, o to panu chodzi... moim zdaniem to raczej jakieś zmarszczki, zadrapania...

– To nie są zmarszczki! To kontury maski! Nie mogę jej zdjąć! – wykrzyknął mężczyzna z rozpaczą.

– Jakiej maski?

– Niestety, będę musiał opowiedzieć panu wszystko od początku – westchnął ciężko.

Położył swoją walizę na kozetce i otworzył ją.

– Proszę spojrzeć – zachęcił mnie ruchem ręki. W środku leżały setki masek wykonanych z jakiejś odmiany gumy czy lateksu. Przypominały te, które zakładają czasem mimowie lub aktorzy teatrów ruchu. Kiedy podniosłem jedną z nich i spojrzałem pod słońce, ciepły blask otoczył moje palce delikatną, cielistą aureolą. Sądząc po subtelności rysów, gumowa twarz przedstawiała roześmianą kobietę.

Maski spoczywające w walizce wyrażały wszystkie ludzkie uczucia: miłość, strach, niechęć, radość, nienawiść... oblicza męskie i kobiece mieszały się w nieładzie; mignęło mi nawet kilka dziecięcych twarzyczek.

– Na co one panu? – zapytałem, jednocześnie usiłując sobie przypomnieć numer znajomego psychiatry. Na pewno byłby zainteresowany takim przypadkiem.

– Zakładam je od czasu do czasu. Są bardzo przydatne. A raczej były, bo od czasu, kiedy ta – szarpnął się za policzek – przyrosła do mnie na amen, nie mogę już ich używać.

– Ale po co?

– Widzi pan, jestem aktorem. Po studiach w szkole dramatycznej udało mi się zaangażować do teatru ruchu w pewnym mieście. Niestety, po śmierci człowieka, który napędzał to przedsięwzięcie, był jego szefem i dobrym duchem, trupa zaczęła się rozpadać. Następny dyrektor nie był już tak dobry i charyzmatyczny, przedstawienia nie przyciągały publiczności... aktorzy i technicy rozeszli się, zabierając to, czego nie zajął komornik, bo przez ostatni rok działalności teatr potwornie się zadłużył. Mnie... powiedzmy, że przypadły w udziale... te maski.

– I co dalej? – Przyznam, że opowieść tego wypłosza mnie zaintrygowała. Rzadko zdarza mi się przyjmować pacjentów z tak bogatą historią choroby. Moimi klientami są głównie staruszkowie, którzy noszą w sobie kilkanaście jednostek chorobowych lub przynajmniej tak im się zdaje.

– Zacząłem występować sam. Zaczepiałem się na krócej lub dłużej w różnych teatrach, występowałem na ulicach i festiwalach teatralnych, jeździłem to tu, to tam... długo by opowiadać. Powodziło mi się całkiem dobrze, mogłem wyżyć ze swojej sztuki. Do czasu, kiedy mnie podkusiło, by masek nadużywać...

– Jak to: nadużywać? – W mojej głowie ponownie zaświeciła się czerwona lampka. Szaleństwo potrafi być czasem bardzo głęboko ukryte.

– Widzi pan, od najdawniejszych czasów maska pomagała człowiekowi, który ją nosił, utożsamić się z przedstawianą postacią i wyzwolić cechy, które symbolizuje. Tak samo dzieje się z aktorami. Podczas występów udawało mi się to znakomicie. Tak dobrze, że zaczęło kusić mnie, aby używać gumowych twarzy również w zwykłym życiu. Oczywiście, z początku broniłem się przed tym, uważałem, że będzie to wyglądać nienaturalnie, jednak pokusa stawała się coraz silniejsza. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, kto większość czasu podróżuje, bo nigdzie nie może sobie znaleźć miejsca. Wie pan, o ile prościej jest załatwić coś w urzędzie z twarzą Ważnej Osoby? – Zapytał, wyciągając z walizki kolejne maski. – Albo wejść do lekarza bez kolejki jako Bardzo Chory Pacjent? Umówić się z dziewczyną jako Wesoły Młodzieniec?

Przez chwilę obracał tę maskę w dłoniach, po czym położył ją na biurku. Popatrzyłem na młodą, przystojną twarz o ustach wykrzywionych w miłym, delikatnym uśmiechu. Otwory na oczy były puste, zdawały się czekać na to, aż ktoś zechce przez nie spojrzeć.

– Tę twarz lubiłem najbardziej – westchnął nostalgicznie mój rozmówca. – Niestety, sam pan widzi, że trochę się przetarła i przestała być wiarygodna. Wreszcie uległem pokusie, pierwszy raz wyszedłem w masce na ulicę i wie pan co? – Mężczyzna ściszył konspiracyjnie głos. – Nikt nic nie zauważył. A dalej już było z górki.

Tylko spokojnie, powtarzałem sobie. Szaleńca nie wolno denerwować. Chociaż, z drugiej strony, te maski wykonane są z tak cienkiego materiału, że rzeczywiście można się pomylić...

Wstałem i delikatnie przyłożyłem maskę młodzieńca do jego twarzy. Faktycznie, wyglądała bardzo naturalnie. Gdyby umocować ją odpowiednio, pozostałyby niewielkie, podobne do zmarszczek zgrubienia, takie same, jak te, które widziałem na głowie pacjenta.

Przystojny Młodzieniec przez chwilę spoglądał na mnie zmęczonymi oczami komiwojażera. Kontrast był tak wielki, że aż przeszedł mnie dreszcz. Czym prędzej odłożyłem maskę na biurko.

– A jak się nazywa ta, którą nosi pan obecnie?

– Odpowiedzialny Człowiek – odparł ponurym tonem osobnika nadzwyczaj obowiązkowego. – Miałem już dość życia domokrążcy i postanowiłem znaleźć sobie jakiś stały kąt i porządną pracę. Usłyszałem, że w pewnym mieście powstaje nowa trupa teatralna. Pojechałem tam. Nie było łatwo... sam pan widzi, jak wyglądam. Ponieważ nie miałem eleganckiego stroju, musiałem nadrabiać miną.

Przesunął wymownie ręką po twarzy.

– Nie przyjęli mnie. Schodziłem mnóstwo innych teatrów, pukałem do wielu drzwi. W końcu zatrudniłem się jako pomocnik charakteryzatora w jakimś podrzędnym teatrze, za psie pieniądze. Któregoś dnia, gdy otworzyłem walizkę i chciałem zmienić maskę na bardziej odpowiednią, okazało się, że nie mogę pozbyć się tej – pociągnął się za nos. – Zbyt długo byłem Odpowiedzialnym Człowiekiem. To musiało pozostawić ślad. Szarpałem się przez ponad godzinę – bez skutku. Dlatego przyszedłem do pana, doktorze. Czy mógłby pan jakoś zdjąć ze mnie tę maskę? – spytał błagalnie. – Może jakaś operacja... Cena naprawdę nie gra roli. Zaciągnę kredyt, sprzedam nerkę... ale chcę odzyskać swoją twarz!

No tak, teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Jeszcze raz dokładnie obejrzałem jego głowę. Potem założyłem rękawiczki i ostrożnie usiłowałem podważyć

palcem jedno ze zgrubień. Szło bardzo opornie; spróbowałem z pomocą metalowej łyżki do zaglądania do gardła, jednak w pewnej chwili pacjent zawył, jakbym go obdzierał ze skóry. Spod zgrubienia pociekła strużka krwi. Zdezynfekowałem ranę i przykleiłem plaster.

– Wygląda na to, że nic się nie da zrobić. Obawiam się, że maska zrosła się z panem na stałe.

W oczach mężczyzny zabłysło przerażenie: skulił się, jakby usłyszał właśnie wyrok śmierci.

– No, proszę się tak nie martwić. Jest pan aktorem, prawda? Jeżeli ta maska dobrze przylega, istnieje szansa, że ona jedna zastąpi panu wszystkie pozostałe – wskazałem na walizkę. – To tylko kwestia treningu. W końcu są aktorzy, którzy w ogóle nie posługują się maskami, grając tylko swoim obliczem, nieprawdaż? Proszę, oto lustro. Jak pan nazwał tę twarz? Poważny Człowiek? Odpowiedzialny? Hm, a więc zacznijmy od uśmiechu. Nawet najbardziej odpowiedzialny człowiek musi się czasem uśmiechać. Trzeba zrobić to tak...

Po pięciu minutach szło mu już całkiem nieźle. Po kwadransie mężczyzna układał maskę w kilka innych grymasów. Im więcej stroił rozmaitych min, tym bardziej się odprężał.

– Dziękuję panu, doktorze – powiedział wzruszonym głosem po kolejnym kwadransie wygłupiania się przed szklaną taflą. – Otworzył pan przede mną nowe możliwości. Będę ćwiczył codziennie! Czy jako honorarium zechce pan przyjąć mój bagaż wraz z zawartością? Mnie już nie będzie potrzebny, a sama walizka, jak widać, jeszcze długo pociągnie...

Rysy jego twarzy-maski ułożyły się na moment w grymas sprzedawcy, zachwalającego cenny towar.

– Maski zaś radzę sprzedać jakiemuś teatrowi. To pierwszorzędne rekwizyty, na pewno się im przydadzą.

Z wahaniem spoglądałem na jego bagaż. Rzeczywiście, ten człowiek mógł nie mieć dość pieniędzy. Ale jak toto zaszeregować w podatkach? Gdzie znajdę na nie nabywcę? Nieważne, zastanowię się później. Ten pacjent był i tak wyjątkowo interesujący, a w sumie nie doradziłem mu niczego, za co powinien zapłacić.

Kiedy wyszedł, wstawiłem walizkę za zasłonę. Ledwo to zrobiłem, do gabinetu wszedł jeden z moich stałych i doskonale mi znanych pacjentów. Ze wszystkich chorób, na jakie się uskarżał, tak naprawdę dolegały mu tylko dwie: hipochondria i postępująca skleroza, przez co za każdym razem zapominał, że z daną dolegliwością już do mnie przychodził. Znów trzeba było z kamienną twarzą wysłuchiwać długich i zawiłych opowieści, zwykle po-

partych nieścisłą wiedzą z kolorowych tygodników. A po nim wchodzili następni, następni, następni... do końca dnia nie trafiła mi się żadna naprawdę potrzebująca pomocy osoba.

Po wizycie ostatniego pacjenta wyjąłem walizkę zza zasłony i jeszcze raz przejrzałem jej zawartość. Przez chwilę obracałem w dłoniach maskę Dobrego Człowieka. A oto Wesołek, który pewnie rozbawiłby największego ponuraka. Przydadzą się, zrobię żonie niespodziankę. Niewiniątko też, zwłaszcza kiedy zdarzy się później wrócić do domu.

Stanąłem przed lustrem i na próbę przymierzyłem kilka masek. Pasowały idealnie, w niezwykły sposób zakrywając niektóre moje rysy i jednocześnie uwydatniając inne. Jakoś tak się dziwnie złożyło, że gdy przymierzałem Maniaka i Psychopatę, przypomniał mi się ów stary hipochondryk, którego tylko ogromnym wysiłkiem woli nie skierowałem dziś do znajomego psychiatry. Jego kwękanie przypomniało mi poranne spotkanie z dozorcą-alkoholikiem („Nie ma pan, doktorze, czegoś na kaca?"), a potem sąsiadką z naprzeciwka, pozwalającą, aby jej piesek załatwiał się na schodach... rozmaite postacie ciągnęły nieprzerwanym korowodem przez moją pamięć, a każdej z nich tak naprawdę nie powinno być. To by tylko ułatwiło mi życie. Jak mawiał mój kolega z sąsiedniego gabinetu, świat pełen jest osób, które najwyraźniej znalazły się na nim przez pomyłkę. Nie szkodzi, wszystko jest do naprawienia. Wystarczy kilka precyzyjnych, by nie powiedzieć chirurgicznych, cięć usuwających złośliwe komórki z ciała ludzkości.

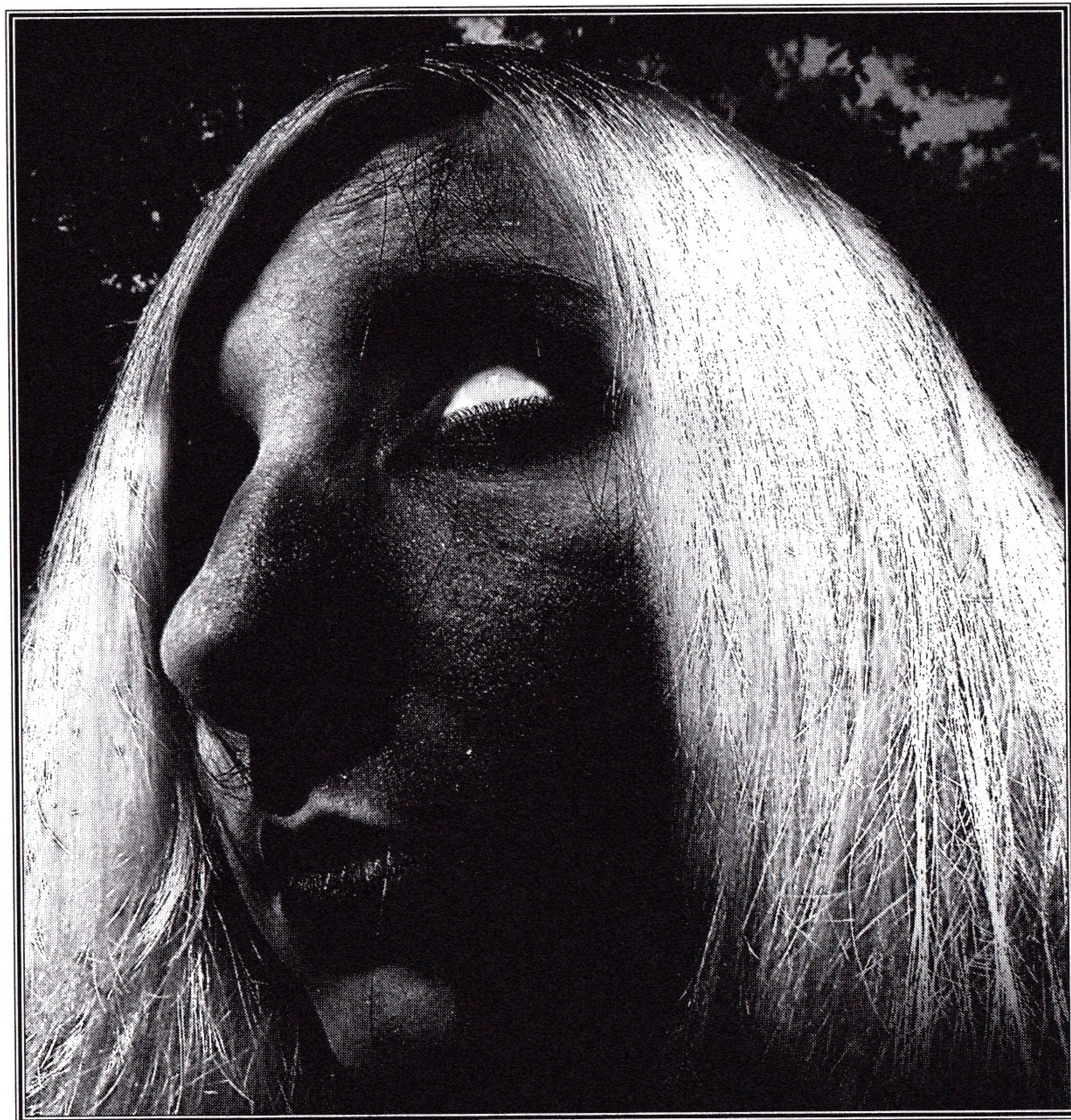
Jak to powiedział ten aktor? Maska pomaga człowiekowi utożsamić się z postacią i wyzwolić cechy, które symbolizuje?

Psychopata radośnie uśmiechał się do mnie z lustra.

Chyba jednak zatrzymam te maski dla siebie.

Czarownice

Andrzej Ziemiański



Andrzej Ziemiański (1960) – jest architektem i to w dodatku pracującym w zawodzie. Mieszka we Wrocławiu, gdzie swoje życie dzieli pomiędzy dwa zainteresowania: kobiety oraz broń palną (czy jedno z drugim nie ma przypadkiem czegoś wspólnego?). Publikuje już od roku 1985, kiedy zadebiutował powieścią *Daimonion*. Ostatnio przeżywa drugą młodość i wszędzie zbiera wyróżnienia oraz nagrody (m.in. im. Janusza Zajdla).
W naszym zbiorze Andrzej opowiada o człowieku mającym nieprawdopodobnego wręcz pecha. Czy ten los odmieni się, kiedy dostanie w prezencie najprawdziwszą czarownicę-opiekunkę?

Dunn skręcił gwałtownie, przyciskając jednocześnie hamulec. Koła po prawej stronie zaczęły się ślizgać po grząskim poboczu, te po lewej hamowały idealnie na doskonałym asfalcie. Samochodem szarpnęło, odwrócił się bokiem, blokując jeden pas drogi. Nie wyłączając silnika, Dunn otworzył łokciem drzwi, wyskoczył na zewnątrz i pobiegł w kierunku wiaduktu, do którego niespiesznie zbliżał się pociąg. Zwymiotował po drodze, po chwili jednak ruszył jeszcze szybciej.

I kto twierdził, że samobójstwo to akt, który się planuje? Bzdura. Może i są tacy samobójcy, jacyś schizofrenicy, jakieś zakompleksiałe panienki, które chcą w ten sposób zwrócić nareszcie na siebie uwagę. Nie... U normalnego człowieka taka decyzja to przymus. Przymus, który każe zapomnieć o wszystkim i skończyć z sobą natychmiast. Natychmiast! Obyście nie doświadczyli nigdy tego uczucia. Dunn biegł, zataczał się, odruchowo wycierał usta. Miał nadzieję, że zdąży przed pociągiem, który zauważył przez okno swojego samochodu. Była szansa, że zdąży. Wbiegł na wiadukt, przesadził nogi przez barierkę, spalinowa lokomotywa była tuż, tuż... Widział twarz maszynisty, coraz bliżej, jakąś starą kobietę z kijem wspinającą się po nasypie, dalej stado krów na polu ograniczonym drutem... Nikt nie zdoła go powstrzymać. Ani maszynista, ani staruszka, ani tym bardziej krowy.

Nowa fala mdłości. Odbił się lekko i skoczył wprost pod koła wjeżdżającego pod wiadukt pociągu.

Dunn ocknął się, leżąc na podkładach dokładnie pomiędzy szynami. Nic go nie bolało, właściwie nie czuł niczego konkretnego. Pociągu nie było słychać nawet z oddali. Ktoś uderzył go mocno w nogę. Zerknął w bok. Starucha, to ona walnęła go kijem, stała nad nim, przygryzając wargę.

– Oj, głupiś ty! – mamrotała. – Głupiś, synku.

– Ja... żyję?

Słyszał coś o szoku, o tym, że jakieś substancje w mózgu hamują odczuwanie bólu nawet wtedy, kiedy ma się obcięte ręce i nogi, ale... Najwyraźniej był zdrowy. I nawet nie potłukł się podczas upadku. Nie mógł uwierzyć swoim zmysłom. Da-

lej chciało mu się wymiotować, ale wszystkie inne uczucia były jakby zablokowane. Nie czuł właściwie niczego konkretnego.

– A żyjesz, żyjesz – wymamrotała stara z jakimś ledwie zrozumiałym akcentem. – Nawet taki głupek jak ty zasługuje na życie – strzyknęła śliną. – Nawet tak marne jak twoje.

Pochyliła się zatroskana. Położyła mu rękę na czole.

– Ja...

Uderzyła go kijem w kark. – Dureń!

– Wpa... wpadłem dokładnie pomiędzy koła? – wystękał wreszcie. – Dlaczego nic mnie nie boli?

– Głupek! – krzyknęła. – Głupek!!! – nagle ściszyła głos. – Gdybyś był choć tak mądry jak te krowy za płotem, a ty... eeech! Głupiś synu jak but!

– Wpadłem pomiędzy koła? – ponowił pytanie.

Pokręciła głową.

– Spróbuj jeszcze raz – szepnęła. – Zobaczysz, czy kiedykolwiek uda ci się wpaść „dokładnie" pomiędzy koła... Będziesz widział, jakie to proste – roześmiała się ochryple. – A raczej niczego już nigdy nie będziesz widział.

– To... co się stało?

Mamrotała coś niezbyt zrozumiałego. Potem znowu przyłożyła mu kijem.

– Chodź – zaczęła się wspinać po skarpie nasypu.

Ogłupiały podniósł się lekko. Nic go nie bolało. Nie miał skręconego żadnego stawu, żadnej złamanej kości. Pomyślał o swojej żonie, o dziecku. W przeciwieństwie do tego, co pamiętał dotąd, ta myśl... właściwie po raz pierwszy... nie wywołała w nim pragnienia natychmiastowego przegryzienia sobie żył. Jego biedna żona i biedny synek. Dunn zabił ich kilka dni temu. Jego biedna żona... Nie miała rodziny, nie miała nikogo... No może poza bratem Ravenem. Ale Ravena Dunn zabił dwa miesiące temu.

Starucha wydostała się na asfalt przy wiadukcie. Jego samochód stał tak, jak go zostawił, blokując cały prawy pas, z ciągle pracującym silnikiem. Stara ruszyła w tamtą stronę, mamrocząc coś, chyba przekleństwa, jeśli dobrze zrozumiał, otworzyła drzwiczki od strony pasażera. Wydawało mu się, że były zablokowane. Jak to zrobiła? Ach, jego umysł szwankował ostatnio. Odruchowo zajął miejsce za kierownicą. Dziwne, że nic nie przejeżdżało tędy. Dziwne, że żadna ciężarówka nie zmasakrowała jego auta, przecież dwadzieścia metrów dalej był zakręt i drzewa zasłaniające widok.

– No jedź! – starucha walnęła kijem w deskę rozdzielczą. Kij ledwie mieścił się w środku.

– Gdzie?

– A gdzie chcesz – wzruszyła ramionami. Myślała nad czymś w skupieniu.

Coś dziwnego działo się z jego umysłem. Coś blokowało wyrzuty sumienia. Kiedy myślał o żonie, czuł jedynie żal. Kiedy pamięć wywoływała obraz jego małego synka, czuł jedynie... Właściwie nie czuł niczego konkretnego. Mógł działać zupełnie sprawnie, mógł kierować samochodem, skupić się na prowadzeniu, ale nie mógł myśleć o tym, co pchnęło go do samobójstwa. A właściwie mógł, ale była tam jakaś dziwna blokada.

– Ty przyciągasz nieszczęścia – zawyrokowała nagle stara.

– Co?

– Przyciągasz nieszczęścia! – powtórzyła. – Nie pożyjesz długo!

– To akurat wiem... – mruknął.

Chciała uderzyć go kijem, ale z powodu ciasnoty nic z tego nie wyszło. Kij był za długi do wnętrza samochodu.

– Głupiś! – opluła się nagle. Prawdę powiedziawszy była ohydna. Pomarszczona, w śmierdzącym, rozlatującym się ubraniu, strzykająca śliną przy każdym słowie, z trzęsącą się jak przy chorobie Parkinsona lewą ręką... Czuł jednak, że coś dziwnego kryje się pod tą powłoką.

– Głupiś synku – powtórzyła już spokojnie. – To nie twoja wina. Ktoś lub coś ci to zrobiło.

– Ktoś sprawił, że przyciągam nieszczęścia? – potrząsnął głową. Nie mógł uwierzyć, że jedzie, ciągle jeszcze żywy, z jakąś przygodnie poznaną kobietą tylko dlatego, że kazała mu to zrobić.

– Raczej coś... Ale nie jestem pewna.

– Może UFO? – usiłował zakpić, ale chyba nie zrozumiała.

Kiwała się w przód i w tył.

– Jak cię puszczę – wymamrotała – powiesisz się na tym drzewie, które będzie najbliżej. Wiążąc pętlę z własnej linki holowniczej – cmoknęła głośno.

– Proszę pani, ja...

– Cicho niepytany! – warknęła. Zmarszczyła brwi, szepcząc coś do siebie. – Przyciągasz nieszczęścia, tak. Tobie trzeba... tobie trzeba... Tak! – strzeliła palcami. – Ożenimy cię!

Zdenerwował się nagle.

– Słuchaj stara... Ja...

– Zabiłeś ich – powiedziała spokojnie. – Taaaaa... – walnęła kijem w szybę, ale tym razem chyba niechcący. – Żonka, dzieciak... Bywa. Przyciągasz nieszczęścia.

Skąd wiedziała? Skąd wiedziała? Zatkało go dokumentnie.

– Wiesz, czego tobie trzeba? Nowej żonki. Ale nie zwykłej baby – wymamrotała coś niezrozumiałego. – Wydamy cię za czarownicę!

Zaklął szpetnie.

– Za taką ze Średniowiecza? Czy z Salem? Z ożogiem czy miotłą?

Spojrzała na niego. On zerknął w bok. Dopiero teraz zauważył, że ma śliczne niebieskie oczy. Oczy uroczne – przyszło skądś skojarzenie. – Oczy, które potrafią rzucać uroki. Głębokie, młode, jasne i tak niebieskie, jak lakier jego samochodu. Nieprawdopodobne, niemożliwe... oczy, które są głębsze niż Rów Mariański, oczy, których ognie są starsze niż piramidy...

– Ty byś chciał Starą Ropuchę ze Średniowiecza? – roześmiała się, pokrywając drobinkami śliny wszystko wokół. – Starą Ropuchę? I co ty byś z nią robił, synku? Toż taka, jeśli nawet istnieje, owinęłaby cię wokół palca o tak – wykonała lewą dłonią kolisty ruch. – On chce Starą Ropuchę! – śmiała się, plując wokół. – Synku... Spróbuj otrzeźwieć!

Długo nie mogła się uspokoić. Potem jednak zaczęła mówić.

– Głuptasie... Jeśli nawet taka baba jeszcze żyje, to ma z tysiąc lat! – usiłowała go oświecić. – Tysiąc lat. Jest stara, nic już nie może... Łazi sobie z kijem po drogach i wspomina swoich mężczyzn, wszystkie piękne chwile swojego długiego życia, wszystkie swoje miłości... Skupia się już tylko na tym, czego doświadczyła, na swoich ślicznych momentach i... szykuje się do drugiego życia. Synku, co ty byś robił ze Starą Ropuchą? Nie, nie... – mamrotała coś pod nosem dłuższą chwilę. – Nie! Tobie trzeba młodej dupki! Młodziutkiego tyłeczka, który cię ogrzeje. Dziewczyny, z którą będziesz miał dzieci i która cię ochroni! Ty musisz mieć młodą czarownicę! Taką, która pierwszy raz żyje! – wyjaśniła.

Dunn poczuł, że robi mu się ciemno przed oczami. Wariatka! Co on tutaj robi? Powinien teraz... Właśnie, co powinien? Leżeć martwy na torach pod wiaduktem? Potrząsnął głową. Nie mógł się skupić.

– Gdzie jedziemy? – spytał jak przez sen.

– Do Vegas.

– Ale to nie jest droga do Vegas, proszę pani.

– Wprost przeciwnie – wskazała tablicę informacyjną, którą właśnie mijali.

Zabłądził aż tak? W amoku, przed próbą samobójstwa przejechał aż taki szmat drogi???

– A... ale po co do Vegas?

– No! Znajdę ci młodziutką czarownicę, przecież mówiłam. Ona cię ochroni, bo inaczej nie pożyjesz długo... Przyciągasz nieszczęścia, chłopcze.

– Czarownicę... Jezu! Taką od sabatów i spółkowania z Szatanem? – ciągle mówił

jak przez sen. Jakby wszystko, co robił, wynikało z jakiegoś lunatycznego przymusu.

– Ty... ty! – znowu zerknęła na niego. – Ty się za szatana nie bierz! – ostrzegła. – Za mały jesteś na niego.

– To on istnieje?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie jestem wszechwiedząca – milczała dłuższą chwilę. – Jeśli jednak jest – podjęła po chwili – to... zostaw go w spokoju, głupku. Nie on ci to zrobił, nie on winny wszelkim nieszczęściom. Zostaw go. On się tobą nie interesuje, to i ty nie wkładaj nosa w jego sprawy!

Raven. Brat jego żony. Śmieszny, przyjacielski. „Jak ci się dupczy moją siostrę? – spytał, kiedy się poznali. Chodził wtedy z Sue, jeszcze na studiach. Nie wiedział, co można powiedzieć na: „Jak ci się dupczy moją siostrę?", „Fajna w łóżku chociaż?". Zaprzyjaźnili się. „Wzięła ci kiedyś do buzi?". Raven potrafił rwać dziewczyny na każdej imprezie, na przystanku autobusowym, w kinie, w miejskiej toalecie. „Spałeś z Sue, kiedy miała okres?". Chodzili razem na kręgle. Raven się nie upijał. Mógł wlać w siebie dziesięć piw i w dalszym ciągu wysyłał kulę dokładnie tam, gdzie chciał. Wyciągnął kiedyś Dunna z bójki, w której można było stracić życie. Dunn zabił go kilka lat później.

Naprawiali instalację elektryczną w ich garażu. Raven stał przy rozbebeszonych kablach, Dunn klęczał z wypiętym tyłkiem pod zdezelowanym biurkiem, które teraz stanowiło jego warsztat majsterkowicza. Przestawili je tam, bo nie było miejsca. „Wyłącz prąd" – powiedział Raven. Ponieważ prąd był wyłączony, Dunn zrozumiał, że ma go włączyć. Krzyknął, że OK. Włączył.

Sue dostała histerii. A jego syn Ken (ten od Barbie... Tak bardzo chciał, żeby to był Ken, chłopak Barbie, ale nie... to był jego syn) patrzył w szoku jak Raven, a właściwie trup Ravena sika po nogach podłączony do napięcia. Na jego dżinsach rosła mokra plama tak samo, jak na spodniach jego syna. Tyle, że Ken żył jeszcze. Przynajmniej wtedy.

Psychoanalityk niewiele pomógł. Nie zdążył. Dunn zabił swoje dziecko (wraz z żoną) niedługo potem. Pojechali na grilla. Sue, być może, zaczęła wychodzić z depresji. W każdym razie zrobili to dla syna. „Barbecue Inn" to były wydzielone stanowiska nad jeziorem, osłonięte wysokim na dwa metry żywopłotem. Dunn poszedł kupić kolę. Jakiś szczeniak zatrzymał swojego wojskowego jeepa tuż obok. „Gdzie tu jest coś wolnego, koleś?". Dunn pokazał. Już w momencie, kiedy wyciągał rękę, zrozumiał, że przez nieuwagę, indolencję, głupotę wrodzoną, roztrze-

panie czy z tysiąca innych przyczyn wskazał własne stanowisko zamiast tego wolnego obok. Właśnie otwierał usta i cofał rękę, kiedy „koleś" wdupił gaz do oporu i zaparkował za żywopłotem.

To musiała być jakaś chwila matczyno-synowskiej czułości. Może Ken wspomniał coś o Ravenie? W każdym razie leżeli pod kołami ciągle w objęciach. „Koleś" zrzygał się na kierownicę jeepa. Właściciel „Barbecue Inn" dostał zawału, biegnąc do telefonu. Jakaś kobieta biła facetów, którzy zgromadzili się wokół, krzycząc: „No zróbcie coś! Przecież jesteście mężczyznami!!!" Jakiś bardzo uprzejmy i zatroskany pan dzwonił z komórki. Paramedycy przywieźli ze sobą plastikowe worki. Zastępca szeryfa, ryzykując dalszą karierę, wyciągnął butelkę whisky i usiłował upić Dunna. Nie wyszło.

Stara obudziła go uderzeniem w twarz. Zasnął? Chryste! Jak mógł prowadzić samochód, śpiąc? Dojeżdżali do Vegas. Boże... Tak szybko? Naprawdę spał, prowadząc? A może to tylko oszołomienie... Trwał jak w stuporze. Wytarł łzy z policzków. Płakał? Nie pamiętał niczego z ostatnich paru godzin. Zapadał zmierzch.

– Tutaj. Tutaj! – Stara wskazała mu kierunek.

– Nie wiem, czy mnie stać na motele w tej części miasta...

– Spać ci się chce? – uśmiechnęła się lekko. – A nie udusisz się w nocy poduszką?

Posłusznie skręcił w ulicę, którą wskazała. Zaparkował tam, gdzie chciała. „Szpital dla przewlekle chorych, czyjegoś tam imienia, jakiejś tam fundacji" głosił napis na wejściu, które starucha otworzyła kijem. Sanitariusz usiłował zagrodzić im drogę. Być może chciał spytać, po co tu przyszli. Nie otrzymał swojej szansy.

– Prowadź do pokoju! – nakazała stara. Nie wymieniła ani numeru, ani nazwiska, ani nawet piętra.

Pielęgniarz poprowadził ich do windy.

– Zaraz przyjdzie lekarz – oznajmił.

– Wiem – ucięła stara. Telefonowała z drogi, jak spał? Zaraz. Jak to spał? Po prostu się zamyślił. Nie mogła telefonować.

Dunn odetchnął głęboko. Zdawało mu się, że śni. Strzelił się dłonią w policzek, pielęgniarz nie obejrzał się nawet. Otworzył drzwi na właściwym piętrze i nie zadawał żadnych pytań. Stara podeszła wprost do starszego mężczyzny w kitlu, który czekał pod drzwiami izolatki.

– Doktor Bernstein – przedstawił się. – Państwo byli umówieni, prawda?

– Taaaaaa... otwieraj synku! – stara łupnęła kijem w białe, wzmocnione specjalnie drzwi.

Bernstein otworzył, nie pytając o nic. Dunn strzelił się znowu w policzek.

W środku, w pomieszczeniu wielkości może szkolnej ławki, na brzegu malutkiego łóżeczka siedziała dziewczyna. Miała długie blond włosy. Patrzyła tępo przed siebie, idealnie nieruchoma. Ślina ściekała jej z kącika ust, kapiąc na nieskazitelną, szpitalną koszulę.

– To Marysha Borowski – wyjaśnił Bernstein. – Nie potrafi mówić, nie wie, co się z nią dzieje – wymienił kilka schorzeń, o które ją podejrzewał. Wszystkie po łacinie. – Roślinka – zakończył bardziej zrozumiale.

– No! – starucha trzepnęła dziewczynę w głowę tak, że ślina pociekła jej po brodzie. – Fajna, co?

Dunn potrząsnął głową. Pytanie było najwyraźniej skierowane do niego.

– Fajną ci Poleczkę znalazłam, nie? – Stara była wyraźnie zadowolona. – Młoda, śliczna! Będziesz z niej miał pociechę!

Odkaszlnął. Jezu...

– No – zebrał się w sobie i zakpił. – Przynajmniej nie będzie trajkotać nad głową.

Starucha przyjęła to za dobrą monetę.

– No pewnie. Przecież niemowa – roześmiała się. – Ale ci się trafiło. Jak ślepej kurze ziarno! – była zadowolona z siebie jak szlag. – Śliczna, prawda? – podniosła dziewczynie brodę palcem. Ta poddawała się obojętnie jak każda roślinka.

– Mmmm... Co pani chce zrobić? – spytał Dunn.

– Ożenić was – zdziwiła się stara jego niewiedzą. – No przecież... – nagle zrozumiała i ściszyła głos. – No przecież to normalnie czarownica! Młoda, ładna, nawet jeszcze nie wie, kim jest – patrzyła wyczekująco, ale najwyraźniej nie doczekała się tego, co spodziewała się zobaczyć na jego twarzy. – Pierwszy raz żyje! – dodała wyjaśniająco. – Silna jak wół!

Dunn przełknął ślinę.

– Mam się ożenić... z nią? – spytał lekko przestraszony.

Stara straciła cierpliwość. Podniosła dziewczynę z łóżka, ciągnąc za ramię. Nie podejrzewał jej o taką siłę. Potem klepnęła Maryshę w tyłek. Mocno.

– Widzisz? Ani drgnęła! – uśmiechnęła się zadowolona. – Silna jak wół, mówię!

Nie mogąc doczekać się jakiejkolwiek reakcji, zwróciła się do Bernsteina.

– A ty synku załatw te wszystkie papiery, wiesz...

– Jakie papiery? – szepnął zszokowany doktor.

– No te wszystkie, wiesz... Ten pan bierze na siebie opiekę nad tym dzieckiem. Powinno się udać. Spadnie wam z głowy koszt jej utrzymania. No rusz się! – krzyknęła zdenerwowana nagle. Wyraźnie miała problemy ze swoją osobowością.

Bernstein patrzył na nią z, delikatnie mówiąc, dziwnym wyrazem twarzy. Stara,

wściekła, zbliżyła swoją twarz do jego twarzy. – Załatw papiery – szepnęła, patrząc mu prosto w oczy. – Pomogę ci.

Zawrócił jak we śnie. Wyszedł na korytarz i człapiąc nienaturalnie jak prawdziwy lunatyk, ruszył do swojego biura.

– Ach... z tymi mężczyznami to zawsze tyle zachodu – stara podeszła do stojącej ciągle w tej samej pozycji dziewczyny i zadarła jej szpitalną koszulę, obnażając ją aż do żeber. – Patrz, jakie ma biodra – powiedziała z wyraźną fascynacją. – Urodzi ci mnóstwo dzieci! – podniosła ręce i rozchyliła dziewczynie koszulę, tym razem u góry. – Patrz, jakie ma piersi! Uuuuuch! Ilu chcesz mieć synów? Co? Nic się nie bój... wykarmi ci wszystkich!

– Proszę pani, ja... – Dunn usiłował rozerwać barierę pół snu, pół stuporu, która zaciskała się wokół niego. – Ja... – nie wiedział, co chce powiedzieć.

– Dziecko – stara spojrzała na niego smutno. – Ściągasz nieszczęścia jak piorunochron. A ona cię obroni. Inaczej nie będziesz żył już po dwóch dniach!

– Ja... ja... – nie mógł utrzymać głowy w pionie. – Ja nie chcę, bo...

– Kotku... nie ty jesteś winny temu, co ci zrobiono. Nie wiem, co się stało. Nie wiem, kto lub co ci to zrobiło. Nie mam pojęcia, dlaczego. Ale uwierz mi. Szansę przeżycia masz tylko z nią.

Czknęła głośno.

– Ja już stara. Ja już odchodzę. Tylko ona może cię obronić. Tylko ona.

Podeszła bliżej. Wiedział, co się stanie. Zobaczył te jej idealnie niebieskie oczy. Odpływał.

– Jeśli zrezygnujesz, to już po chwili rozwalisz to okno i podetniesz sobie żyły pierwszym lepszym kawałkiem szkła – powiedziała cicho. – Ja cię nie ochronię dłużej. Ja już odchodzę. Ale pamiętaj o jednym. Nawet Szatan nie jest taką świnią, żeby robić ludziom coś takiego, co zrobiono tobie. Pamiętaj, bo ja niedługo będę musiała odejść. Masz szansę tylko z nią! I ze swoją córką, chłopcze...

– Nie mam córki – nie wiedział już, czy zdołał to powiedzieć, czy tylko usiłował.

– Masz – szepnęła stara. – Już masz. Od chwili, kiedy tu przyszedłeś.

Mrugnęła tym swoim błękitnym, urocznym okiem.

– Historia się zaczęła...

Bernstein wrócił mniej więcej po godzinie.

– Niemożliwe – krzyknął już od progu. – Dzisiaj wszyscy do mnie życzliwie nastawieni. Dzwonię gdziekolwiek, a tam... sprawa załatwiona... Uwierzycie państwo? To mój szczęśliwy dzień! Chyba zagram na loterii.

Stara łypnęła na niego spod oka.
– Dzisiaj lepiej nie graj – szepnęła. Ale chyba nie dosłyszał.
– Wie pani, ile trwa załatwienie formalności? – perorował wstrząśnięty.
– Godzinę?
– No, co pani! – zdenerwował się nagle. – Normalna procedura to w najlepszym wypadku kilka miesięcy. I dziesiątki komisji, które badają...
Stara uśmiechnęła się. Bernstein urwał nagle. Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk.
– Bo... na szczęście okazało się, że już wcześniej pani Borowski przyznano... – kontynuował, ale już bez przekonania.
– Ciiiii – stara przyłożyła palec do ust.
– No właśnie – głowa lekarza opadała coraz niżej. Poderwał ją jeszcze, ale za to nie mógł utrzymać w pionie. – Bo jest piątek – szeptał. – Wieczorem. A wszyscy, do których dzwoniłem, byli jeszcze w swoich biurach. I od razu podejmowali...
– Ciiii...
Stara szarpnęła dziewczynę za włosy i zaczęła ciągnąć na korytarz.
– Jezu... – Dunn jakby nagle się ocknął. – Przecież nie wyprowadzi jej pani tak na ulicę.
Starucha podrapała się w czubek nosa.
– No – przyznała mu po chwili rację. – Skombinujmy coś do ubrania – rozejrzała się wokół. – O – zerknęła na Bernsteina, którego głowa chwiała się na prawo i lewo. – To się nada.
Zaczęła ściągać z niego kitel.
– Jezu... Jezu. Co my wyrabiamy? Jezus.
– Ach... jeśli myślisz, że Jezus zejdzie tu, żeby osobiście zaprotestować przeciwko kradzieży, to nic się nie bój – uspokoiła go. – Nie zejdzie – usiłowała nałożyć dziewczynie fartuch. – No pomóż mi nareszcie!
Z pewnym trudem naciągnęli na dziewczynę lekarski fartuch. Starucha wzięła od nieprzytomnego Bernsteina teczkę, którą przyniósł i otworzyła drzwi na korytarz.
– No chodź – pociągnęła Maryshę za włosy i zwróciła się do Dunna. – Ktoś się nią opiekował. Sprawdź, kto.
Potrząsnął głową. Posłusznie jednak zaczął przeglądać dokumenty z teczki. Jasny szlag! Jak mógł to robić? Na pół uśpiony i jednocześnie chłodno analizujący to, co miał przed oczami.
– Niczego tu nie ma proszę pani – zamknął teczkę, zanim jeszcze dotarli do windy. – Znalazłem jedynie nazwisko adwokata, który chyba kiedyś reprezentował jej sprawy.
– Sprowadź go – stara usiłowała kijem otworzyć drzwi windy.

Pomógł jej, przyciskając odpowiedni guzik. Nie było możliwości zadzwonienia stąd gdziekolwiek. Nie miał pod ręką książki telefonicznej, tym bardziej nie było jej w kabinie windy. Postarał się zapamiętać nazwę kancelarii.

Stara, kiedy otworzył już drzwi auta, usiłowała wepchnąć Maryshę na tylne siedzenie, ale wyraźnie jej nie szło. Dunn chciał otworzyć z drugiej strony, wejść i pociągnąć ją jakoś, ale stara zrezygnowała.

– Otwieraj bagażnik – zakomenderowała.

– Jezu... Co?

– No tę klapę z tyłu – huknęła w nią kijem.

Posłusznie otworzył. Wsadzili dziewczynę do bagażnika i zatrzasnęli. Wyjeżdżając na główną ulicę, myślał o patrolach policji. A jak będą w okularach? Ciekawe, czy jego towarzyszce podróży przeszkadzały okulary? Czy potrafi sprawić, żeby policjant je zdjął? I... Prrrrrr... Czy to jest czarownica? Całe szczęście co do jednego: mógł co prawda analizować fakty, ale nie miał w sobie żadnych uczuć. Żadnych, ani strachu, ani żalu, ani możliwości odczuwania choćby zdenerwowania. Jak po znieczuleniu mózgu, jeśli taki zabieg jest oczywiście w ogóle możliwy.

– Tutaj... Tutaj! – stara wskazywała mu kierunek. Zatrzymali się pod hm... Pałacem Ślubów. Na szczęście (Jezu, naprawdę pomyślał „na szczęście"?) to było Vegas. Wysiedli przed rozświetloną jakimś tysiącem żarówek kanciapą. Stara otworzyła drzwi pchnięciem swojego kija. Nie sprawiała wrażenia zdziwionej dosłownie spowitym we wszelkiej maści różowości wnętrzem. Nie zrobił na niej wrażenia również właściciel ubrany jak stara lesbijka – niby garnitur, ale różowy jak cała reszta, z masą koronek.

– Czy tu można szybko wziąć ślub? – spytała.

– Po to właśnie jesteśmy.

– No to na co pan czeka? – warknęła. – Do roboty!

– Muszę mieć państwa nazwiska na kartce – uśmiechnął się wymuszenie. Demonstracyjnie starał się dać do zrozumienia, że nawet tak dziwna para nie stanowi żadnego problemu. Starucha jednak też zrozumiała.

– Ty głupku! – wrzasnęła. – Ty myślisz, że ja z nim???! Ty... – dosłownie chwile dzieliły ją od zrobienia czegoś gorszego niż grożenie kijem. Opanowała się jednak i zwróciła do Dunna. – Wyciągnij pannę młodą z bagażnika i możemy zaczynać.

Dunn odszedł na chwiejnych nogach. Właściciel oniemiał. Ale najgorsze było dopiero przed nim. Jak zobaczył Maryshę, bosą, w szpitalnej koszuli i kitlu ze stetoskopem, ze śliną kapiącą z ust i nieprzytomnym wzrokiem, wyraźnie cofnął się do telefonu. Starucha położyła swój kij na słuchawce.

– Ty słuchaj... – szepnęła. – Ja ci nie chcę robić nic gorszego ani zmuszać, bo może wtedy ślub byłby nieważny. Zrób, co masz zrobić, i idź do kasyna. Zagraj, to cię wynagrodzę, ale inaczej...

Groźba w jej głosie podziałała wyraźnie. Cofnął się. Przeszli do pomieszczenia, gdzie czekali wynajęci świadkowie, para staruszków. Była tam jeszcze kobieta, jak wszystko cała różowa. Chyba miała obsługiwać magnetofon. Dunn napisał na kartce ich nazwiska. Nie mógł, po prostu nie mógł się przeciwstawić temu, co działo się wokół. Właściciel przełknął ślinę.

– J.T. „Dunn" Myers... czy chcesz pojąć za żonę tu obecną doktor Izaak Bernstein? Tfu! – wyraźnie zapatrzył się na plakietkę ciągle przypiętą do kitla. – Przepraszam... czy chcesz pojąć za żonę – zerknął na kartkę – Ma... Marys... Maryshiję Bor... Borowski?

– Tak – powiedział Dunn. Nie mógł powiedzieć niczego innego.

– Maryshiiija Borowski, czy chcesz pojąć...

– No chce, chce! – przerwała mu stara. – Nie widzisz, że dziewczyna aż rwie się do ślubu? – była wyraźnie zniecierpliwiona. – Dawaj dalej!

Mężczyzna w różowym garniturze przełknął ślinę. Znowu zerknął na telefon. Po chwili jednak „na mocy danego mu prawa" ogłosił ich małżeństwem. Świadkowie złożyli podpisy. Kobieta włączyła taśmę z jakąś radosną melodią.

– Dobra jest! – starucha wyglądała na zadowoloną. – To teraz pomóż panu młodemu włożyć żonę do bagażnika, a potem możesz iść do kasyna zagrać o dużą stawkę – nie miała już żadnych oporów i... popatrzyła mu głęboko w oczy.

Kiedy chwilę później z nową żoną w bagażniku jechał przez miasto, starucha po raz pierwszy nie wskazywała mu drogi.

– Wybierz jakiś motel, na który cię stać – mruknęła.

– Nie zaczarujesz nam choćby Hiltona? – usiłował zakpić.

– Chcesz zwracać powszechną uwagę?

Nie wiedział, co o niej myśleć. Nawet jakby mógł. Prawie w pół godziny później zatrzymał się przed motelem na przedmieściach. Wyjęli Maryshę z bagażnika.

Właściciel spelunki, którą wybrali, widział już chyba lepsze numery. Nawet nie drgnęła mu powieka. Bosa wariatka w kitlu, starucha i mężczyzna o wyglądzie trupa to doprawdy nic w porównaniu z tym zielonym facetem, co lewitował w zeszłym tygodniu, puszczając bańki nosem. Tu musiał się kochać Al Capone z boskim Elvisem... Zanim doszli do swojej kanciapy, dwukrotnie zaproponowano im kupno narkotyków.

– Dobrze wybrałeś – pochwaliła go stara, kiedy już posadzili Maryshę na wielkim, skrzypiącym łóżku. – Dobre miejsce!

– Dopóki nie przyjdzie policja – zażartował.

– Nie przyjdzie – potraktowała go poważnie. – Ja muszę już iść... Puszczę cię.

– Proszę?

– Puszczę cię – powtórzyła. Patrzyła mu prosto w oczy, ale to nie było to, czego mógł się po niej spodziewać. Po prostu patrzyła. – Zrobiłam, co mogłam. Teraz ona – wskazała na patrzącą tępo w ścianę Maryshę.

Nagle zrobiła się jakaś taka normalna. Jej oczy nie świeciły już dziwnym blaskiem. Nie były nawet niebieskie. Wydawała się w tej chwili całkiem zwyczajną, upierdliwą, bardzo starą kobietą.

– Masz szansę – szepnęła. Ledwie mógł ją zrozumieć, tak bełkotała. – Mam nadzieję, że przeżyjesz. Mam nadzieję, że dowiesz się... – spojrzała na niego uważnie. – Pod żadnym pozorem nie opuszczaj żony – podniosła palec ostrzegawczo. – Zrób jej dużo dzieci. I pamiętaj o jednym... Masz teraz w rękach straszliwą broń.

Drgnął zaskoczony.

– Masz w rękach straszliwą broń – powtórzyła. – Straszliwą, potworną, upiorną. Ostateczną! Bądź uczciwy. Nie wykorzystaj jej przeciwko innym ludziom.

Potrząsnął głową. O co jej chodziło? Jego znieczulony mózg nie działał za dobrze tego dnia.

– Wykorzystaj ją do walki z tym czymś. Tylko do tego... – powieki nagle opadły jej na oczy, a kiedy po sekundzie podniosły się znowu, tęczówki były tak strasznie niebieskie, tak młode i tak stare zarazem. – Puszczam cię – mruknęła stara. – Muszę iść i załatwić to, żeby cię nie ścigali ci wszyscy od szpitali i opieki... jak już się obudzą.

Teraz wydawała się sama podlegać jakimś somnambulicznym wpływom.

– Nie opuszczaj jej – powtarzała. – Musisz się dowiedzieć. Musisz się bronić.

– Kupię sobie karabin maszynowy – usiłował zażartować.

– Masz broń tysiąc razy bardziej zabójczą niż karabin maszynowy – uśmiechnęła się smutno. – Powodzenia.

Jej oczy błysnęły jeszcze raz i zgasły nagle. Były stare, brzydkie, przezroczyste i zaropiałe. Stara, chora kobieta odwróciła się powoli i odeszła, podpierając się kijem.

Stał długo w otwartych drzwiach swojego pokoju. Dealerzy z naprzeciwka patrzyli na niego, wymieniając ciche uwagi, ale żaden go nie zaczepił. Wieczór przerodził się w noc, a Dunn stał, nie wiedząc. co myśleć o tym wszystkim. Wreszcie zamknął drzwi.

Potrząsnął głową. Powoli wracała mu zdolność do odczuwania czegokolwiek. W co on się dał wrobić? Znieczulenie mózgu najwyraźniej mijało.

Wyjął spod toaletki książkę telefoniczną. Dłuższą chwile przewracał bezmyślnie kartki. Potem odnalazł numer kancelarii adwokackiej, której nazwę zapamiętał z papierów doktora Bernsteina. Wystukał numer. W biurze odezwał się automat, ale na tyle „inteligentny", że podał numer domowy. Dunn wystukał nową kombinację cyfr.

Tym razem odezwał się człowiek.

– Jeśli nie masz ważnej sprawy, to lepiej odłóż słuchawkę – w zmęczonym głosie zabrzmiała wyraźna groźba.

– Dunn Myers – przedstawił się. – Właśnie przejąłem opiekę nad panią Maryshą Borowski. Czy to coś panu mówi?

– Greg Malansky – usłyszał w odpowiedzi. – Owszem. Gdzie pan jest?

Dunn z trudem przypomniał sobie adres motelu.

– Dobrze. Zaraz u pana będę.

Odłożył słuchawkę oszołomiony. W co właściwie dał się wrobić? Nagle przyszła mu do głowy myśl, że starucha to matka Maryshi. Przypadkowo była świadkiem jego samobójczej próby. Wykorzystała jego stan, żeby zapewnić opiekę swojej niedorozwiniętej córce... naprawdę mógł już myśleć i odczuwać cokolwiek. Pomyślał o żonie i swoim synku. Czuł żal, czuł miłość, czuł się winny... ale... po raz pierwszy od dnia ich śmierci nie miał ochoty skończyć ze sobą natychmiast. Co go opętało? Przypomniał sobie swój skok z wiaduktu pod pociąg. Jakim cudem przeżył? Dreszcze przebiegały mu po plecach.

Podszedł do dziewczyny siedzącej nieruchomo na brzegu łóżka. Dokładnie w tej samej pozycji, w której ją zostawili. Pociągnął ją za rękę. Wstała. Zamarła jak posąg, patrząc ciągle w ten sam punkt. Popchnął lekko, zrobiła krok i znowu zamarła. Chwycił ją za ramię, odwrócił i ruszył kilka korków. Posłusznie szła za nim. Kiedy się zatrzymał ona zatrzymała się również. Ok. Zrobił jeszcze kilka testów. Dziewczyna mogła chodzić, kiedy się ją prowadziło, mogła usiąść, położyć się i wstać na powrót – właściwie sama, trzeba było tylko ją pociągnąć. Wyjął z torby czekoladowy baton, jedyną rzecz do jedzenia, którą miał przy sobie. Rozerwał opakowanie i włożył jej baton do ręki. Zacisnęła palce.

– No jedz!

Nic. Najmniejszego ruchu. Usiłował podnieść rękę do ust. Owszem trzymała podniesioną dłoń, tak jak ją zostawił. Czekolada rozpuszczała się powoli. Zabrał baton, wyczyścił jej rękę chusteczką. Potem otworzył jej palcem usta, włożył baton i... Ugryzła. Zaczęła żuć. Chociaż tyle... Zerknął na zegarek i przestraszył się nagle. Szlag! Jeśli ten adwokat będzie punktualny, to zobaczy dziewczynę w kitlu i zadzwoni do szpitala.

Wybebeszył swoją torbę. Potem zdjął z niej kitel i koszulę. Szlag. Rzeczywiście była ładna... ale co z tego? Z trudem udało mu się nałożyć jej swoje dżinsy, musiał kilka razy zawinąć nogawki, żeby odnaleźć stopy dziewczyny. Z koszulą poszło łatwiej. Natomiast jego bluza sięgała jej prawie do kolan. Ale najgorzej było z butami. W jego najmniejszych, obcisłych, sportowych Trekach stopy dziewczyny dosłownie pływały. A kiedy wypełnił je z przodu zmiętymi w kulki kleenexami... wyglądała jak Pinokio.

Ledwie zdążył ukryć w torbie szpitalny kitel, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Greg Malansky miał już pod sześćdziesiątkę. Był wysokim, dość grubym mężczyzną, w szarym, znoszonym garniturze. Podał rękę Dunnowi i otarł zroszone potem czoło. Zerknął ze dwa razy na Maryshę, zanim usiadł w fotelu z wystrzępionym pokryciem, kładąc sobie na kolanach staromodną, skórzaną teczkę.

– Przejął pan opiekę nad panią Borowski – ni to spytał, ni stwierdził oficjalnie. – Czy mógłbym zobaczyć jakiś dokument?

Dunn przygryzł wargi. Teczka z faksami została zniszczona w szpitalu. Jak starucha wyobrażała sobie ich dalsze funkcjonowanie w opartym na dokumentach świecie.

– Prawdę powiedziawszy ona... jest teraz moją żoną – pokazał prawnikowi jedyny oficjalny papier, jaki miał, akt małżeństwa.

Malansky ledwie zerknął.

– Mam nadzieję, że jesteś uczciwym człowiekiem Dunn. Że to nie jakaś afera z odszkodowaniami, ani nic w tym stylu... – przez chwilę patrzyli sobie w oczy. – Zresztą i tak nie mogę sprawdzić – uśmiechnął się wymuszenie. – Jakbyś kręcił lewy biznes, to byś mnie nie wezwał, prawda?

Dunn wzruszył ramionami.

– Chciałbym się czegoś o niej dowiedzieć – mruknął.

Malansky otworzył swoją skórzaną teczkę.

– Niewiele ci pomogę – ostrzegł. – Opinię lekarzy na pewno znasz. Przypadek jest beznadziejny – znowu zerknął na dziewczynę. – Co do jej historii również niewiele wiem. Chociaż ode mnie się zaczęło.

Dunn spojrzał pytająco.

– Dokładnie czternaście lat temu ktoś zadzwonił do moich drzwi. Kiedy otworzyłem, stała tam już tylko dziewczynka z nieobecnym wyrazem twarzy. Ktoś na czole napisał jej długopisem: „Marysha Borowski". Na prawym przedramieniu miała wykonany również długopisem krótki list: „Proszę się nią zaopiekować, ze mną grozi jej straszne niebezpieczeństwo. Niech pan jej pomoże, proszę!". Do lewego przedramienia miała przyklejone plastrem prawie czternaście tysięcy dolarów. W gotówce, ma się rozumieć.

Malansky westchnął nagle.
– Nie ma pan jakiegoś drinka?
Dunn zaprzeczył ruchem głowy.
– W tym motelu chyba nie istnieje obsługa pokojowa – mruknął.
Prawnik skinął głową. Podjął swoją opowieść.
– Była małą, bardzo zadbaną dziewczynką. Szybko odkryłem, że było z nią coś nie tak. Nie mówiła, była jak martwa, mogła iść, jeśli się ją prowadziło za rękę, mogła usiąść i jeść, jeśli włożyło jej się pokarm do ust. Eeeee... Była bardzo zadbana – powtórzył. Nie miała na sobie kosztownego ubrania, ale wszystko było bardzo czyste i starannie wyprasowane. Miała we włosach... taką wielką kokardę... – Malansky podrapał się w czubek nosa. – Oczywiście zawiadomiłem policję. Małą poddano szczegółowym badaniom lekarskim. Specjaliści sądowi orzekli, co następuje – prawnik wyjął z teczki nowy dokument. – Dziewczynka ma cztery, pięć lat, jest cofnięta w rozwoju... nie będę wymieniał licznych schorzeń umysłowych, które z niewielkim prawdopodobieństwem stwierdzili... była dobrze odżywiona, czysta, zadbana. Nie stwierdzono żadnych śladów znęcania się, molestowania czy bicia, była dziewicą... Jedyny ślad ingerencji zewnętrznej to usunięcie, a raczej zniszczenie jej strun głosowych. Ale to nie był skalpel ani tym bardziej nóż kuchenny. Wyglądały jak spalone, może laser, może... przypomnę, że mówimy o czasach sprzed czternastu lat. Trudno wyobrazić sobie, że ktoś miał wtedy chirurgiczny laser u siebie w garażu... Właściwie nie wiadomo, co się z nią stało. Jak mówię, była dobrze odżywiona. Analiza treści żołądka i paru innych rzeczy wykazała obecność warzyw, tabletek witaminowych i czekolady. Najprawdopodobniej wychowywała ją więc rodzina wegetariańska. Ktoś dawał jej cukierki.
Malansky znowu otworzył torbę i wyjął z niej szeleszczącą torebkę, najprawdopodobniej kupioną w markecie po drodze tutaj. Rozerwał celofan. Podniósł się z fotela i włożył cukierek do ust dziewczyny. Marysha zaczęła intensywnie ssać.
– Lubi je do dzisiaj – uśmiechnął się smutno. Położył opakowanie na stoliku obok.
– Poczułem się „ustanowiony w sprawie". Dzięki czternastu tysiącom dolarów i paru moim znajomościom załatwiłem jej stosunkowo niezły szpital. Wtedy jednak rozszczekała się prasa – wyjął z teczki plik gazetowych wycinków. – Nazwano ją nowym Kasparem Hauserem. Podejrzewano, że to nieślubna córka polskiego dyplomaty, którą chciał ukryć... Nie co dzień znajduje się perfekcyjnie utrzymane dziewczynki z przyklejonymi do przedramienia czternastoma tysiącami dolarów! Nie co dzień ktoś niszczy dziecku struny głosowe.
Policja zwróciła się o pomoc do polskiego konsulatu. A przypomnę, że był wtedy co prawda schyłek, ale jednak... zimnej wojny. Konsulat wykluczył udział

w sprawie jakiegokolwiek polskiego dyplomaty. To była naprawdę jeszcze zimna wojna i ich wywiad dobrze wiedział, co robi personel placówek w każdej chwili... Poza tym stwierdzili, żaden Polak nie napisałby „Marysha Borowski". Te dwa słowa zawierają aż dwa błędy. W oryginale, po polsku, powinno to brzmieć: „Marysia Borowska". Takich podstawowych błędów nie zrobiłby nikt z ich kraju. Wniosek: Marysha jest w takim razie co najwyżej Amerykanką polskiego pochodzenia. Konsulat umył więc ręce. Gazety ujadały jeszcze jakiś czas, ale potem, z braku nowych faktów, ucichły.

Mniej więcej trzy lata później otrzymałem dziwny list. Zaczynał się od słów: „Strasznie panu dziękuję! Muszę odejść. Przekazuję panu wszystko, co mam, niech pan zapewni jej jakąś przyszłość".

Dunn drgnął, słysząc: „Muszę odejść". Usiłował jednak nie dać po sobie niczego poznać.

– Dostałem w liście pewien przekaz – kontynuował Malansky. Wyjął z torby firmową kopertę AT&T, poszarzałą już i bardzo grubą. – Cztery tysiące dwieście szesnaście dolarów i trzydzieści trzy centy.

Musiały to być bardzo drobne banknoty. Koperta była tak gruba, jakby zawierała co najmniej sto tysięcy.

– Dostałem też to – położył na stoliku ozdobiony wieloma pieczęciami dokument. – To akt własności domu w Nowej Anglii. Nie uważaj się tylko za latyfundystę... Sprawdziłem. To malutki domek w lesie i równie mała działka. Niemniej... przekazuję ci to Dunn. Teraz dom jest twoją własnością. Forsa też. Wiem, że to niezbyt uczciwe, co robię, ale co się miały upaść łapiduchy na jej skromnej własności? Jakbym to przekazał szpitalowi, to Maryshi i tak nie byłoby przez to lepiej. Daję więc tobie.

Malansky wstał ciężko.

– To wszystko, co wiem. To wszystko, co mogę ci przekazać, Dunn. Zostawiam też cukierki – uśmiechnął się lekko. – Powodzenia życzę! A ja idę się upić – otworzył drzwi. – Mam nadzieję, że w dobre ręce przekazałem... Jeśli nie, to niech Bóg mi wybaczy! – wyszedł na korytarz i trzasnął drzwiami tak, że mało nie wyleciały z futryny.

Dunn siedział nieruchomo dłuższy czas. Nie mógł się tamtemu dziwić. Facet, który żeni się z psychicznie chorą, z wariatką, roślinką prawie. Ciekawe, o co go Malansky podejrzewał. Że ubezpieczy swoją żonę na maksimum, a potem wepchnie pod pociąg i zainkasuje forsę? Czy można sobie wyobrazić lepszego kandydata do takiej operacji niż Marysha? Toż wlazła pod koła sama! Mam trzech (opłaconych) świadków, że byłem za daleko, żeby zapobiec nieszczęściu! Robiłem,

co mogłem. Biegłem, krzyczałem, ale wiadomo... wariatka... Jak zeznali świadkowie. To ile dostanę? Milion? Dwa?

Jezu. On mógł tak myśleć. Ten podejrzany motel, nagły ślub. Kurde blade. Zawiadomi policję? Nie. On czuł, że Dunn nie zabije Maryshi. Nie zostawiłby przecież pieniędzy i aktu własności.

Dunn odnalazł w książce telefonicznej numer biura pośrednictwa spedycji, zadzwonił i złożył ogłoszenie, że zapewnia przejazd do Nowej Anglii za darmo dla jednej, dwóch osób, plus wyżywienie i noclegi, w zamian za opiekę nad obłożnie chorą.

Dał Maryshi nowego cukierka. Położył ją na łóżku. Wystarczyło popchnąć. Zgasił światło, położył się obok i zasnął w ubraniu natychmiast.

Obudził się tak rozgrzany i wypoczęty jak rzadko dotąd. Taki stan pamiętał co najwyżej z młodości. Jako dziecko budził się wypoczęty idealnie, potem kłopoty, głupie myśli i sprzeczki ze wszystkim, co ruszało się wokół, uniemożliwiały już osiągnięcie nirvany.

Popatrzył na śpiącą obok dziewczynę. Zamknął oczy i otworzył na powrót. A miał dotąd wrażenie, że to był sen. Podniósł się na łokciu. Marysha zsikała się w spodnie. Szlag! Nigdy nie opiekował się nikim chorym, jeśli nie liczyć poprzedniej żony chorej na grypę, i nie wiedział, że trzeba takiego czasem wyprowadzić do toalety. Szlag! A... i tak... mogło być gorzej. Zmienił jej spodnie, znowu musiał podwinąć nogawki. Te zmoczone wrzucił do kosza w łazience. Spakował swoje nieliczne rzeczy, łącznie z kopertą wypełnioną banknotami i aktem własności.

Był już zupełnie trzeźwy. W sensie wczorajszego znieczulenia umysłu. Mógł i myśleć, i czuć niezależnie. Jednak nie mógł sobie wyobrazić, co wczoraj pchnęło go do samobójczej próby. Każda myśl o byłej żonie, o ich dziecku kończyła się żalem... Żalem – a nie kompletną destrukcją. Kiedy analizował wczorajsze wypadki, nie mógł zrozumieć wielu rzeczy. Nie, nie wszystko wydawało się snem. Raczej czuł się jak człowiek, który zapił się równo, poszalał i teraz ma kaca, głównie moralnego. Ale nie było to szczególnie drażniące odczucie.

Spojrzał na Maryshę. I co dalej z tą dziewczyną? To była największa zadra w jego skołatanym umyśle.

Wziął ją pod rękę i wyprowadził z pokoju. Właściciel motelu tak jak i wczoraj nie wykazał cienia zainteresowania. Ciekawe, czy tkwił na swoim posterunku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dealerzy omijali go wielkim łukiem. Wizyta Malansky'ego wczoraj wieczorem nie mogła przejść niezauważona – a był to chy-

ba jedyny facet, który wszedł tu, mając na sobie garnitur. Dunn, według prawideł narkotycznego świata, mógł być więc wyłącznie kapusiem, prowokatorem albo nawet funkcjonariuszem.

Zapakował Maryshę do samochodu (ale nie do bagażnika, tylko, choć z trudem, na przednie siedzenie). Przypiął dziewczynę pasami i ruszył w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogli zjeść śniadanie.

Zatrzymali się w „Roller On", jedynym chyba barze w Vegas, który sprawiał wrażenie, że nie trzeba będzie tu zostawić całych czterech tysięcy dwustu szesnastu dolarów i trzydziestu trzech centów, które miał w kopercie. Dunn wziął sobie cheesburgera, jajka i frytki, a dla dziewczyny zamówił sałatkę i bułkę z serem. Pamiętał, że wychowała się w rodzinie wegetariańskiej, choć nie miał pojęcia, czym karmiono ją w szpitalu. Wkładał jej do ust łyżkę za łyżką jeszcze długo potem, jak poradził sobie ze swoją porcją. Bułkę na szczęście zjadła sama, choć też musiał jej podtykać. Nie umiała pić przez słomkę. Musiał zdjąć wieczko z kubka i poić ją colą, wycierając jednocześnie brodę.

Nagle zdał sobie sprawę, że powinien ją zaprowadzić do toalety. Jezuuuu... Którą wybrać. Damską czy męską? O żeby to wszystko szlag! O żesz jasna cholera... Oddychał głęboko. Czerwieniąc się na twarzy, wziął ją pod ramię i poprowadził do damskiej. Ledwie otworzył drzwi – czerwony na twarzy jak burak– jakaś kobieta, która właśnie wychodziła, odepchnęła go z całej siły.

– Gdzie się pchasz, zboczeńcu jeden? – krzyknęła. – Nie widzisz, że to babska ubikacja???

Cofnął się skonfundowany. Poczerwieniał, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej.

– Kurwa mać!!! – usłyszał za plecami. Właściciel baru był tak wściekły, że strzelił trzymaną w ręku szmatą w blat lady. – Ty pindo jedna! Nie widzisz, że facet prowadzi chorą dziewczynę???

– Jak śmiesz tak... – kobieta urwała nagle, widząc, że jeszcze chwila i dostanie w twarz od właściciela.

– Aż tak ci macica na mózg uderzyła??? – krzyczał. – Aż tak? Nie widzisz, że dziewczyna jest chora?

Dunn rozejrzał się odruchowo. Patrzyli na nich wszyscy. Ale... po raz pierwszy w życiu zobaczył krąg wrogich twarzy i wściekłych spojrzeń. Po raz pierwszy w życiu zobaczył, jak ludzie jednoczą się w złości do... tej baby, która go zaatakowała.

– Pomogę panu – jakaś młoda kobieta w koszulce z napisem KISS MY BACK wzięła Maryshę za rękę. – Zrobię wszystko, co trzeba. Niech pan dokończy swoją colę.

Oszołomiony wrócił do stolika. Bał się podnieść oczy. Ale kumulująca się wokół złość była najwyraźniej skierowana przeciwko komuś innemu.

– Widziałeś tą głupią dupę??? – słyszał głosy.

– No żesz szlag... powinno się chyba wezwać policję!

– Normalnie... kurew tu nie brakuje!

Kobieta w koszulce ozdobionej napisem przyszła po kilku minutach, prowadząc Maryshę.

– W porządku – szepnęła. – Tylko dziewczynie zaczyna się okres. Dałam jej własnego tampaxa i... własne majtki. Ale... będziesz musiał kupić nową paczkę i... nowe majtki.

– Strasznie pani dziękuję – policzki paliły coraz bardziej, nie wiedział, jak się zachować.

– Trzymaj się – mrugnęła i klepnęła go w ramię.

Usiłował wyjść jak najszybciej. Właściciel jednak zatrzymał go w drzwiach.

– Przepraszam pana – też nie wiedział, co zrobić z oczami. – Powodzenia.

Z automatu na parkingu zadzwonił do pośrednictwa spedycyjnego. Na jego ogłoszenie odpowiedziały dwie studentki medycyny. W sumie była to dla nich gratka, za darmo do Nowej Anglii, za darmo posiłki i noclegi, w zamian tylko opieka nad chorą. Wypytywały o stan chorej, ale operatorka nie umiała niczego powiedzieć. Chciała umówić ich w centrum, ale Dunnowi się spieszyło, mógł zabrać dwie dziewczyny z miejsca, gdzie mieszkały. Podał numer swojej karty kredytowej. Miał nadzieję, że w jego banku będzie jeszcze tak drobna suma, by opłacić umieszczenie ogłoszenia. Dostał adres: Drury Lane 1159.

Studentki zaliczyły właśnie pierwszy rok. Były szczęśliwe. Jak zobaczyły Dunna i Maryshę (a konkretnie jej stan, który nie zwiastował większych kłopotów), były jeszcze bardziej szczęśliwe. Jedna miała na imię Trish, wyglądała na bardziej dojrzałą, była ubrana z powagą godną przyszłego lekarza. Druga, Kattie, blondynka ostrzyżona tuż przy samej skórze, z wielkim kolczykiem w uchu i pomalowanymi na czerwono brwiami, wyglądała jak chłopak. Obie były już spakowane, ilość klamotów, które musiał zabrać, wypełniła cały bagażnik. Resztę poukładały we wszystkich wolnych miejscach w samochodzie.

Kiedy ruszyli, obie rozszczebiotały się na tylnym siedzeniu. Dowiedział się, że ruszają właśnie na wakacje, ale najpierw do rodziców w Nowej Anglii, wiadomo, po pieniądze, a wybrały Vegas bo tu najłatwiej przyjąć się do pogotowia ratunkowego, żeby zarobić na studia (Dunn współczuł pacjentom pogotowia, którzy mieli

nieszczęście natknąć się na te dwie), Trish nie miała chłopaka, a Kattie miała (Dunn współczuł jej chłopakowi), obie zamierzały pojechać na Hawaje, o ile tylko uda się odpowiednio wydoić rodziców z forsy (Dunn współczuł rodzicom), a jak się nie uda, to jadą na festiwal do Bangor, może kogoś poderwą, a jak i to się nie uda, to do Nowego Jorku, bo tam dużo płacą w pogotowiu ratunkowym, a wtedy, jak już zarobią, to na Hawaje! I tam dopiero zaczną podrywać.

Kiedy opuszczali Vegas, Dunn wiedział o dwóch studentkach wszystko. A kiedy zatrzymali się na pierwszy nocleg w motelu „3 Drive", mógł cytować z pamięci dowolne fragmenty życiorysów wszystkich członków ich licznych rodzin. Położył się spać z bólem głowy.

Następny dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Dziewczyny mimo chorobliwej gadatliwości, potrafiły dobrze zadbać o Maryshę. Były też uczciwe. Kiedy zatrzymali się na lunch, nie zamówiły wszystkiego, co było w barze (choć dla nich, dzięki ofercie Dunna, było za darmo). Trish wzięła warzywa gotowane na parze, Kattie zapiekankę i burito. Karmiły Maryshę sałatką i pieczonym serem (powiedział oczywiście, że jest wegetarianką), opowiadały dowcipy, po raz pierwszy naprawdę były zabawne.

Kłopoty zaczęły się, kiedy do baru weszło dwóch facetów w roboczych ubraniach. Jezu! Dwa podpite wsioki wzięły się za rabowanie podróżnych. Policja złapie ich lub zastrzeli przed zachodem słońca. Nie mieli żadnych szans, nawet nie zasłonili twarzy... Ale, to nie zawodowi gangsterzy i w związku z tym byli nieobliczalni. Ten wyższy, z kręconymi, rudymi włosami, miał w rękach automatycznego Rugera. Jeśli broń się nie zatnie, mógł skosić pół sali w dwie sekundy. Ten drugi, mniejszy i prawie łysy, miał rewolwer pamiętający chyba czasy, kiedy jeździły tu karawany mormonów.

– Wszyscy na ziemię!!!

Dwie studentki w jednej chwili znalazły się pod stołem. Jak i Dunn zresztą, jak wszyscy klienci wokół. Jedynie Marysha siedziała jak przedtem, żując powoli pieczony ser. Szlag! Dunn miał w kieszeni kopertę z czterema tysiącami dolarów – to była pierwsza myśl. Jezu, zaraz zastrzelą Maryshę - to była druga myśl.

– A ty kurwo, co? – lufa Rugera prawie dotknęła głowy dziewczyny. – Głuchaś?

Dunn przełknął ślinę.

– Ona jest chora, proszę pana – podniósł ręce jak mógł najwyżej i usiłował wstać. – Ja...

– Ty leż, gnoju! A ta pinda... Na ziemię!!!

– Ona jest chora – Dunn podniósł się tak przerażony, że dosłownie chwile dzieliły go od zsikania się we własne spodnie. Czuł się goły. Jezu, czy jak kula przewierca ciało to bardzo boli? – Ja ją przeniosę.

Rudy ściągnął spust.

Dunn zamarł, wciągając gwałtownie powietrze. Ale nic się nie stało. A właściwie stał się cud.

Strzał nie padł. Marysha, po raz pierwszy odkąd ją widział, odwróciła głowę sama. Rozległ się suchy trzask, spust Rugera, który dotąd coś blokowało, dotarł do końca swej drogi. Iglica uderzyła w spłonkę. Broń eksplodowała w rękach napastnika, urywając mu palec.

Łysy podskoczył natychmiast. Marysha znowu odwróciła głowę. Łysy spojrzał na nią może przez ułamek sekundy, podniósł rewolwer do ust i strzelił sobie w głowę. Jezuuuuu... Trzy razy!!! Trzy razy... Czy ktoś widział samobójcę, który zdoła strzelić sobie trzy razy w łeb???

Ciało zwaliło się w tył, masakrując jakiś stolik. Rudy zagryzł wagi i wyjął z kieszeni nóż. Lewą ręką. Dunn rozglądał się gorączkowo, czym może mu przyłożyć. Miał do wyboru miękką, plastikową butelkę z keczupem, malutki słoiczek z majonezem, taki sam z musztardą i jakimś sosem. Mógł też wbić tamtemu w oko plastikowy widelec albo słomkę od coli.

Rudy zrobił krok do przodu. Wtedy rozległ się strzał. To trup łysego (a właściwie exłysego, ponieważ nie można było nigdzie dostrzec jego czaszki) zwarł palce. Kula z leżącego na ziemi rewolweru rozorała podłogę, rykoszetując gdzieś na drzwiach toalety. Rudy zamachnął się nożem. Dunn osłonił Maryshę. Jakiś mężczyzna przypierniczył rudemu krzesłem w tył głowy.

Pierwszy radiowóz, z patrolu drogowego, przyjechał po jakichś pięciu minutach. Karetki i telewizja mniej więcej po kwadransie. Ekipa dochodzeniowa może po pół godzinie.

Szeryf tylko kiwał głową.

– Ale pan to jest dziecko szczęścia... – szeptał do Dunna zszokowany, choć nie takie numery w życiu widział. – Jednemu eksplodowała broń w ręku, a drugi sam się zastrzelił. Jezu Chryste. A jakby nie? Wie pan, co by z panem było?

– Dajcie mu spokój – mężczyzna, który zdzielił rudego krzesłem, nazywał się Marty Bohrer i był ekonomistą z uniwersyteckim dyplomem.

Trish potrząsała głową.

– Odważny jesteś – mruknęła.

Kattie wylazła spod stołu dopiero po przybyciu dochodzeniówki. Przejęła Maryshę z rąk Trish. Wyraźnie było jej głupio.
– Ty... daj stówę. Zajmiemy się tą twoją babą porządnie.
Zerknął zdziwiony.
– Daj dwie stówy – włączyła się Trish. – I kluczyki. Chora, nie chora, przecież przeżyła szok... Trochę ją odstresujemy w miasteczku.
– Daj trzy stówy to zrobimy jej całą terapię.
Trish wyciągnęła rękę.
– Czterysta dolców i kluczyki. Za dwie godziny będziemy z powrotem.
Oszołomiony dał pieniądze i kluczyki od wozu. Porucznik z dochodzeniowej złożył mu właśnie propozycję nie do odrzucenia. Albo pojedzie z nimi na komisariat złożyć zeznania, albo zrobi to tutaj, może być w samochodzie, jeśli nie chce przebywać we wnętrzu baru. Miał do wyboru jeszcze zadekowanie się w jakimś motelu i złożenie zeznań nazajutrz. Bez złożenia jechać dalej nie mógł.
Natomiast telewizja zrobiła z nich bohaterów. To znaczy z Dunna i Bohrera. Dunn prosił tylko, żeby nie pokazywać jego twarzy. Nie wiedział, jaki zasięg ma tutejsza stacja. Nie wiedział, komu sprzedadzą materiał. Wolałby, żeby doktor Bernstein nie zobaczył go na ekranie.
Było już po wszystkim, kiedy wróciły dziewczyny. Kiedy wysiadły z samochodu, dopiero zobaczył je w całej okazałości. Trish, Kattie i, Chryste... Maryshę. Jego żona miała na sobie króciutką dżinsową minispódniczkę, czarną bluzkę, która podkreślała jej kształtne piersi, ciemne, sportowe buty i czarne getry, które sięgały nad kolana. Coś zrobiono z jej włosami. Miała teraz grzywkę nad oczami, jakieś malutkie, obciążone kolorowymi kulkami warkoczyki po prawej stronie głowy i gruby, sięgający pośladków warkocz z tyłu. Jej paznokciami zajęła się najwyraźniej manikiurzystka. Oczy zasłonięto przeciwsłonecznymi, lotniczymi okularami (akurat wiedział, dlaczego studentki wybrały ten model – okulary lotnicze miały z tyłu specjalne sprężynki i nie mogły spaść z twarzy). Maryshi zrobiono makijaż i... i... była śliczna. Kilku mężczyzn w pobliżu obejrzało się mimochodem. Dziewczynom nawet udało się zamknąć jej usta, po raz pierwszy, odkąd ją widział, miała zamknięte usta! Była naprawdę piękna.
– Masz swój towar z powrotem – uśmiechnęła się Trish. – Odstresowana zupełnie. Bo wiesz... my sobie zdajemy sprawę, co może pomóc dziewczynie tak naprawdę.
Kattie bez słowa wcisnęła mu do ręki resztę z czterystu dolarów. Było tego trochę ponad pięćdziesiąt centów.
Zaklął cicho. Aczkolwiek widok był wart czterystu dolców.

Ruszyli dalej prawie o zmierzchu. Dunn, po raz pierwszy z uczuciem, że inni mężczyźni mu zazdroszczą.

Kiedy rozstawali się kilka dni później na przedmieściach Bangor (Dunn nie chciał wjeżdżać do miasta), Trish powiedziała:

– Ty wiesz... jesteś nawet fajny.

– Histeryk – mruknęła Kattie. – Jak każdy mężczyzna.

– No fakt – zgodziła się Trish. – Nie mam pojęcia na cholerę byłyśmy ci potrzebne. Przecież ona – wskazała na Maryshę – wszystko robi sama.

– O czym wy mówicie? – spytał niezbyt przytomnie.

Studentki spojrzały po sobie, a potem obie na niego.

– Nooo... na początku był kłopot – powiedziała Trish – ale po tej rozróbie w knajpie ten twój towarek załatwia się sam.

Patrzyli na siebie w milczeniu krótką chwilę. One nie wiedziały, o co mu chodzi, on nie wiedział z kolei, co one mają na myśli.

Dziewczyny zaczęły wyjmować swoje klamoty z bagażnika. Trish wyplątała Maryshę z pasów i wyprowadziła z samochodu.

– Fajną masz żonę – stwierdziła.

– Skąd wiesz, że to moja żona? – zdziwił się Dunn. – Ani razu o tym nie wspomniałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Tak mi się wydawało – pocałowała Maryshę w policzek, a potem dała jej klapsa w tyłek. – Cześć towarek, jesteś całkiem fajną laską!

– Cześć Marysha, cześć Dunn – powiedziała Kattie. – Powodzenia.

Odeszły obie obładowane jak wielbłądy.

Dunn posadził Maryshę na przednim siedzeniu i przypiął pasami. Nie rozumiał kobiet. Po to, żeby się pożegnać, te dwie głupie dupy sprawiły, że musiał spędzić prawie dziesięć dodatkowych minut na parkingu, szarpiąc się z chorą dziewczyną. Szlag. A... o czym one mówiły?

– Marysha? – powiedział cicho, jakby bał się rzeczywistości, która zniszczy jego nadzieje.

Żadnej reakcji. Zdjął jej okulary, żeby spojrzeć w oczy i wtedy zobaczył. Wyraźny grymas na twarzy. Zmarszczenie brwi, jakby niezadowolenia.

– Lubisz te okulary? – włożył jej z powrotem wojskowe szkła. – Nie będę ci ich zabierał.

Uśmiechnął się nagle i pocałował ją w policzek. Ruszył ostro. A kiedy sa-

mochód wreszcie wyrwał się z miasta, z radością patrzył jak strzałka przekracza osiemdziesiątkę.

– Jechałem właśnie do Cypruss Hill – zaczął śpiewać. – Ale armia wzięła mnie!!!

Otworzył szybę, gwałtowne podmuchy wiatru wtargnęły do wnętrza.

– Maszerowaliśmy do zatoki Cheespeake, McKellog dowódcą naszym był... Angole w forcie Bonhart, zetrzemy ich na pył! Hej, karabin w dłoni mieć i iść na Bonhart, czyż lepszy może być los?

Wcisnął gaz do oporu. Podmuchy wiatru zamieniły się w wicher. Musiał śpiewać głośniej.

– Nie płacz miła, ja z karabinem na Bonhart muszę iść. Sprytne Angole ruszyły właśnie się!

Silnik wył na najwyższych obrotach. Samochód na prostej drodze rwał do przodu jak burza.

– Od Cheespeake dzieli bagnetów las... Ale nie bój miła się. McKellog kawalerię ruszył już.

Za samochodem powstawała burza z pyłu. Wzniecany pędem tuman walił za samochodem jak gazy wylotowe startującego wahadłowca.

– I nam kazano iść. Ale nie płacz miła ma... Jeszcze tylko sześćdziesiąt kroków i wrócę do ciebie, na Cypruss Hill.

Dunn zwolnił przed mostem, a potem znowu wcisnął gaz do oporu.

– Angole strzelają ostro... ale... tylko trzydzieści kroków dzieli mnie od Cypruss Hill.

Dunn wjechał między drzewa. Zrobiło się chłodniej, podkręcił szybę.

– Nie bój się miła, jeszcze pięć kroków, bagnet podniesiony mam... Pięć kroków stąd do Cypruss Hill...

Samochód zwolnił nieco sam z siebie, kiedy droga wspinała się na wzgórze, a potem runął znowu całą swoją mocą do przodu.

– I nie płacz miła tylko kości me... każ przewieźć do Cypruss Hill! Nie płacz miła ma... Widziałem jeszcze jak koledzy doszli do Cheaspeake Bay!

Urwał nagle i zwolnił. Coś się popsuło w silniku? Jezu, skąd ten dźwięk? Nagle zrozumiał. To Marysha usiłowala zagwizdać piosenkę, którą śpiewał.

Zatrzymał się na poboczu.

– Marysha!

Żadnej reakcji. Zagwizdał fragment „W moich żyłach płynie boogie". Nic. Zagwizdał „To już ostatnia taka noc z Mary Lane". Nic. Powtórzył „Cypruss Hill". I nagle... zaczęła gwizdać. „Stars and Strips over Vietnam". Nic. „High Mountain Rock". Zagwizdała melodię całkiem nieźle.

Pocałował ją w policzek.

Fargo Junction było chyba najbardziej zapadłą dziurą w Nowej Anglii. Dunn odnalazł to miejsce tylko dzięki temu, że na jego tylnim siedzeniu piętrzył się coraz wyższy stos samochodowych map. Zatrzymał się przy wysokim domu, przed którym jakiś facet piłował drewno.

– Przepraszam – wysiadł z samochodu, żeby zmusić tamtego do wyłączenia mechanicznej piły. – Gdzie jest Syire Mansion?

– Mansion? – udało się. Facet wyłączył piłę. – Dobrze słyszałem? Mansion?

Podszedł bliżej i podał Dunnowi rękę.

– Brad Hotchkiss – przedstawił się. – Jestem tu cieślą. – Zerknął przez ramię Dunna. – Ale masz fajną laseczkę w wozie.

– To moja żona – Dunn nie wiedział jak się zachować.

– No... – Hotchkiss nie był ani trochę skonfundowany. – Powiedz jej cześć ode mnie. I powiedz jej, że jest fajną laską!

– A gdzie jest Syire Mansion?

– Syire jest tam – wskazał kierunek. – Za rzeką na lewo i w las. Droga sama powiedzie... Ale taki z tego Mansion jak ze mnie krokodyl! Kiedy mam przyjechać?

– Słucham?

– Jestem tu najlepszym cieślą – wyjaśnił Hotchkiss. – Chcesz dupczyć, to możesz się przespać nawet w swoim wozie. A jak chcesz tu mieszkać, to będę ci potrzebny.

– Rozumiem – mruknął Dunn, choć nie rozumiał niczego. – A kiedy mógłbyś przyjechać, Brad?

– Choćby dzisiaj. Powiedz tej swojej lasce, że jest śliczna. Moja żona nauczy ją piec ciasto z jabłek.

Wbrew temu, co zaczął podejrzewać po rozmowie z Hotchkissem, Syire Mansion sprawił na nim przyjemne wrażenie. Mały domek z ciemnego drewna, na podmurówce z rzecznych kamieni, z wielkimi (wcale nie wybitymi, jak już sądził) oknami i śliczną werandą był położony wśród drzew, właściwie w środku lasu, jeśli nie liczyć drogi. Wydawał się domem z bajki. Dunn wysiadł z wozu i przeszedł kilka kroków po zarośniętej chwastami ścieżce. Nie wiedział, co zrobić z brudną szybą. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął trzeć. Potem wyjął drugą, napluł i powtórzył zabieg. Dopiero użycie trzeciej i czwartej przyniosło jakiś efekt. Pod nogami rósł mu stos brudnych, pomiętych kleenexów. Ale po chwili mógł już zajrzeć.

– Yob tvoiyoo mat! – to było rosyjskie przekleństwo, które pamiętał z jakiegoś szpiegowskiego filmu. Hotchkiss miał rację.

Wrócił do samochodu i ruszył z powrotem w stronę miasteczka. Na szczęście

nie musiał przejeżdżać jeszcze raz obok cieśli i narażać się na jego kpiący uśmiech. Odkrył nową drogę biegnącą wprost od mostu do „centrum" (cha, cha, cha) Fargo Junction. Gdzieś między stacją benzynową a kościołem odkrył sklep z artykułami (tak tam było napisane: „Sklep z artykułami") – największy z tych, co widział tu dotąd. Zostawił Maryshę w samochodzie, otworzył niewielkie drzwi i z pewnym zaciekawieniem rozglądał się po ciemnawym wnętrzu. Wreszcie wziął największy wózek i zaczął pakować do niego dwa komplety pościeli, zestaw naczyń i sztućców, konserwy, dwa grube koce i...

– Hej, ty jesteś Dunn?

Starsza już, może pięćdziesięcioletnia kobieta w dżinsach stała między półkami. Skinął głową.

– Pam Hotchkiss – przedstawiła się, podając mu rękę. Potem zaczęła odkładać towary z jego wózka z powrotem na stojaki. – Chyba, że jesteś milionerem i twoje meble jadą tu kilkoma ciężarówkami? – zawahała się na moment.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– No... tak myślałam. Mąż, ten cieśla, mówi mi, że jedzie z chłopakami zabrać się za robotę, bo ten palant, mówi, pewnie będzie chciał tam nocować. No i żony chłopaków też już pojechały. A ja, mówi mi Brad, mam pojechać do miasta i, mówi, pomóc temu palantowi, bo... – odchrząknęła – pewnie nakupuje jakichś gówien, a na milionera, mówi, to ten palant nie wygląda zupełnie. Chociaż laskę ma fajną, mówi – zrobiła kolisty ruch na wysokości piersi – no i... – odchrząknęła znowu – się wybrałam, odnaleźć cię tutaj i mówię, żebyś nie kupował gówien, nie?

Nie można było się na nią obrazić. Pam po opróżnieniu jego kosza zaczęła ładować to, co sama uważała za stosowne. Materace, ale turystyczne, dwa śpiwory, dwie ciepłe wojskowe kurtki, bieliznę dla jego żony, swetry, palniki do kuchenki gazowej, płyn przeciwko moskitom...

Pomogła mu wypchnąć wózki na podjazd.

– I gdzie to zamierzałeś zmieścić? – spytała. – Do bagażnika w tym twoim wielkomiejskim samochodziku? – roześmiała się.

– Nie planowałem aż takich zakupów.

– Ładuj na mojego pick-upa! – machnęła ręką. – Brad rzadko ma rację. Ale jak ma, to do końca. Aż do bólu!

Miał nadzieję, że nie chodziło jej o określenie „palant", którym tak chętnie szafował jej mąż.

– No! – Pam wyglądała na zadowoloną, kiedy spocony skończył pracę dokera przy jej wozie. – To teraz jedź, kup ćwiartkę galona i wracaj szybko!

– Ćwiartkę galona? Benzyny?

Wzniosła oczy ku niebu.

– Słuchaj – wskazała trzy zgrzewki piwa, które kupiła w jego imieniu. Coors, Skool i Heineken. – To chłopakom nie wystarczy do wieczora. Kup ćwiartkę albo nawet pół. A ja przywiozę steki... Ta twoja żona musi chyba zjeść coś ciepłego, nie?

Wsiadła do swojego pick-upa, mamrocząc pod nosem: „Brad jak już ma rację... to do bólu!".

Dunn oszołomiony, odnalazł jakoś sklep z alkoholem i kupił whisky. Potem ruszył w stronę Syire Mansion.

Drzwi były wyłamane. Dwóch ludzi, w tym Brad Hotchkiss, kręciło się na dachu, w każdej chwili balansując na krawędzi równowagi. Dwóch innych wybebeszało instalacje. Jakaś kobieta pieliła ogród glebozgryzarką, dwie inne szorowały szyby w oknach. Okazało się, że kobiety pomagały w ramach sąsiedzkiej przyjaźni, mężczyźni przeciwnie, zamierzali wystawić rachunki. Pam sprzątała wnętrze odkurzaczem, który wielkością i mocą przypominał czołg generała Pattona.

– Kominek masz już przetkany – wyjaśniła. – Drewno przyniesione, tylko se musisz narąbać... Chłopaki już naprawiły barbecue w ogrodzie. Wódę masz?

Skinął głową oszołomiony.

– No to do wieczora będzie spokój. Przyjedzie Wills i podłączy butlę z gazem. Jeszcze parę dni i Brad skończy na zicher! – roześmiała się chrapliwie. – Będziesz mógł robić fiku miku z tą twoją lalą.

Dunn podrapał się w brodę.

– Marysha! – krzyknęła Pam.

Na szczęście wysadził swoją żonę z samochodu.

– Weź tę skrzynkę i postaw tutaj! – pokazała palcem.

Właśnie zamierzał coś wyjaśnić, kiedy jedna z kobiet podała skrzynkę z ciuchami jego żonie, a ta... Boże... Marysha zrobiła kilka kroków i z nieobecnym wyrazem twarzy postawiła skrzynkę tam, gdzie wskazała jej Pam. Potrząsnął głową.

Wieczorem przyjechał Pitt Mallory, właściciel sklepu muzycznego, z butlą napełnioną „najlepszym gazem, jaki można spotkać tak daleko od Teksasu!". Kończyli właśnie puszki z piwem. Wzięli się za whisky Dunna. Pam piekła steki w ogrodzie, który już nawet przypominał ogród. Dunn patrzył, jak Pam rozdziela mięso. Marysha dostała swoją porcję na plastikowym talerzu. Sheddy pokroiła jej porcję. Nie mógł zrozumieć tych ludzi. Byli aż tak wrażliwi? W trakcie całego dnia nie padło żadne pytanie, żadna, najmniejsza sugestia co do stanu jego żony. Nie-

mowa... Owszem. Ale przecież ona cierpi na coś znacznie gorszego. Ci ludzie zdawali się tego nie zauważać. Traktowali ją jak normalną dziewczynę. Szlag jasny... Co się za tym kryło?

Najdziwniejsze jednak było przed nim. Marysha powoli, jakby przełamując jakiś wewnętrzny opór, sięgnęła do swojego talerza. O Boże! Odzyskiwała sprawność? Czy tylko tak mu się wydawało? Czy wysokokwalifikowany personel nowoczesnego szpitala mógł sobie nie zdawać sprawy, że to... być może... jest uleczalne?

Marysha nie poradziła sobie. Sheddy wzięła w palce kawałek mięsa i zaczęła ją karmić. Jakby mimowolnie. Nikt wokół nie zwracał uwagi na ten, bądź co bądź, niecodzienny akt. Zupełnie tak, jakby karmienie żon wszystkich przyjezdnych należało do porządku dziennego. „Pamiętasz tę rudą z Connecticut? Tej to trzeba było włożyć sondę...". „Eeeee... A ta gruba z Utah? Kroplówka mi się wtedy zacięła".

Wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co dalej. Z resztką pieniędzy w kieszeni, z niesprawną żoną, którą trzeba było się opiekować... Jego firma budowlana splajtowała tuż po śmierci Ravena. Niespłacony do końca dom poszedł na długi. Szlag... Na karcie mógł mieć jakieś kilkadziesiąt centów, o ile w ogóle jej już nie zablokowali. Co miał robić?

– Dobra – Sheddy skończyła karmić Maryshę. – Myślę, że już czas zabrać panią Borowski do domu.

– Skąd znasz jej nazwisko? – podskoczył Dunn. – Ani razu go nie wymieniłem.

Sheddy zmarszczyła brwi.

– N... nie wiem – mruknęła. – Tak jakoś mi... Jezu... przyszło do głowy.

– Widzisz? – roześmiał się któryś z pomocników cieśli. – To babsko ma dar jasnowidzenia! Cha, cha, cha...

Dunn przygryzł wargi. Podniósł Maryshę. Nie pamiętał, gdzie zostawił dres, w którym zamierzał ją położyć. May, która poszła sikać, wracała właśnie trochę zmarznięta. Wraz z zapadnięciem nocy zrobiło się chłodno.

– Co? – krzyknęła, rozcierając swoje gołe ramiona. – Marysha Borowski już nas opuszcza?

– Skąd znasz jej nazwisko? – tym razem zainteresował się Brad Hotchkiss. – Przecież, kurde, nie mogłaś słyszeć!

May zatrzymała się i zmarszczyła brwi jak przedtem Sheddy.

– Jezu, nie wiem... – przestała masować zziębnięte ramiona. – Nie wiem, skąd wiem – roześmiała się nerwowo z własnej przypadkowej gry słów. – A zgadłam chociaż?

Brad tylko machnął ręką.

– Widzisz te baby, kurde? Plotkary stare, niewyżyte...

– Zamknij się! – mruknęła Pam. – Daj, ja ją odprowadzę – wyjęła rękę Maryshi z dłoni Dunna i poprowadziła ją do domu.

Poza Bradem i Pittem Mallorym nikt chyba nie zauważył zajścia. Oni dwaj wymienili się spojrzeniami. Nie jakimiś znaczącymi, bynajmniej. Obaj byli wyraźnie zdziwieni.

Dunn usiadł i zapalił papierosa. Jak one to odgadły? Gdyby chodziło o nazwisko Smith, Masters, Rogers czy choćby nawet, Myers... Ale Borowski?

Impreza dogorywała powoli. Kobiety sprzątały naczynia, mężczyźni pakowali sprzęt. Na szczęście Fargo Junction nie cierpiało na nadmiar drogowej policji, a szeryf i tak wiedział kto, kiedy, gdzie i z jaką dawką alkoholu we krwi jedzie. Pewnie miał to już od dawna wpisane do kalendarza. Nikt z obecnych po wesołym pożegnaniu z gospodarzem nie miał najmniejszych wątpliwości, czy może usiąść za kierownicą.

Kiedy pojechali, Dunn wyjął z paczki następnego papierosa. I co dalej? Bez pieniędzy, bez perspektyw, z chorą żoną? Otworzył drzwi prowadzące na oświetloną sztormową lampą werandę. Potem drzwi wewnętrzne i... Drgnął gwałtownie, czując czyjąś obecność. Odwrócił się przestraszony.

To była Pam. Jakby nieobecna. Powieki drżały jej lekko.

– Powiedziałam, że muszę sikać... – wyjaśniła martwym głosem somnabulika. – Przybiegłam tu, bo... – ukłoniła się Dunnowi głęboko.

– Pam, no co ty?

– Muszę ją powitać.

Weszła głębiej i zobaczyła, że Marysha śpi. Uklękła i ukłoniła się tak, że jej dość krótkie przecież włosy dotknęły drewnianej podłogi.

– Twój lud dziękuje ci pani za to, że wróciłaś – szepnęła tak cicho, że ledwie mógł zrozumieć.

Podniosła się szybko, wręczyła mu malutkie zawiniątko. Była czymś tak rozradowana, że ukłoniła mu się jeszcze raz i pocałowała w rękę. Nie zdążył wyszarpnąć. Pobiegła w ciemność, śmiejąc się cicho.

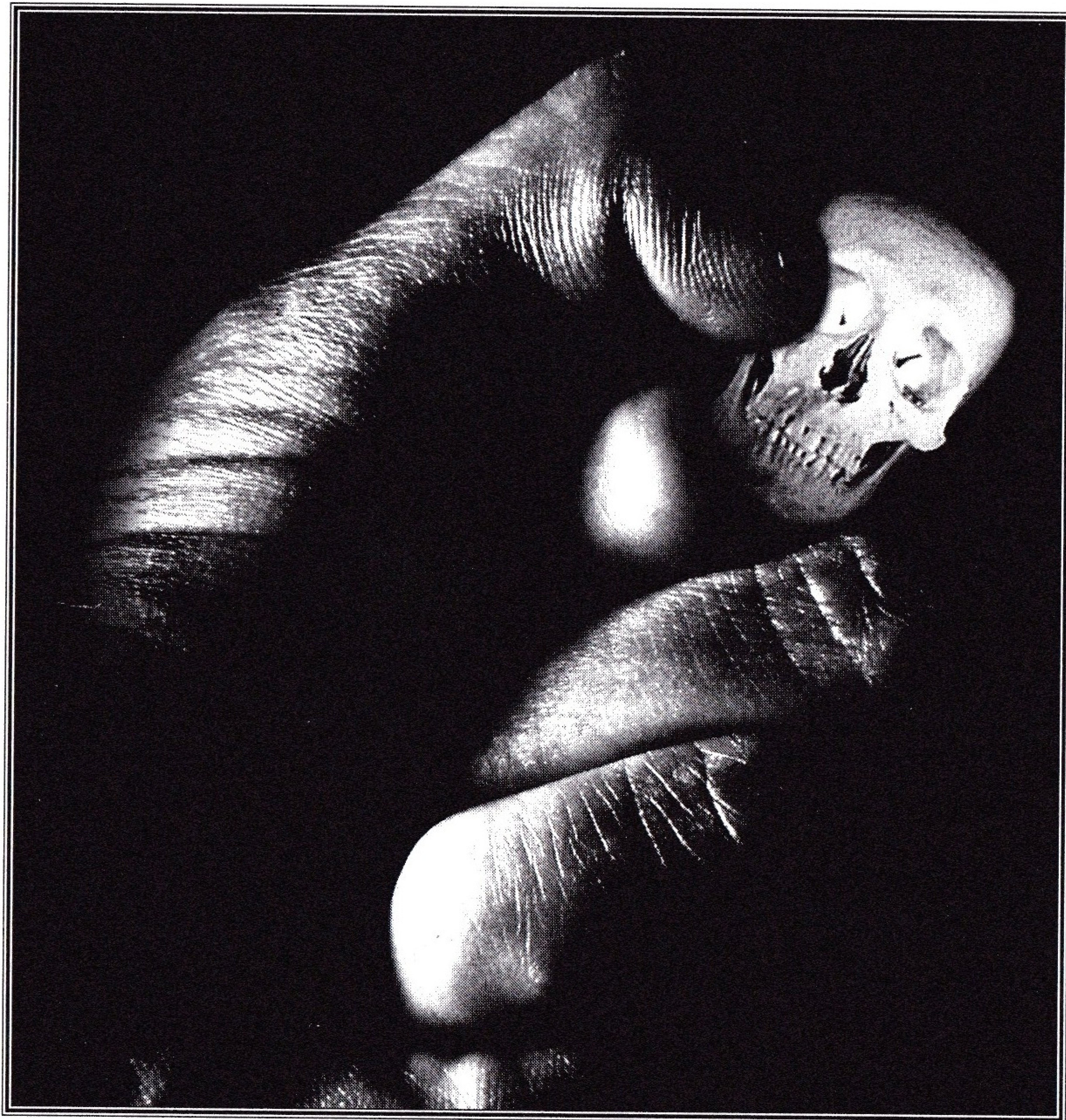
Dunn zaciągnął się głęboko. Rozwinął trzymany w dłoni skrawek płótna. W środku był upleciony z jakichś leśnych ziół mały pierścionek. Zaklął pod nosem. Popatrzył na swoją śpiącą w puchowym śpiworze żonę.

Dopiero teraz zrozumiał słowa starej, które słyszał w Vegas. „Masz broń tysiąc razy bardziej zabójczą niż karabin maszynowy". Dunn zaciągnął się jeszcze raz, a potem odrzucił ledwie napoczętego papierosa.

Na posłaniu tuż obok spała młodziutka śliczna czarownica. Jego własna.

Akwizytor

Rafał Ziemkiewicz



Rafał Aleksander Ziemkiewicz (1964) – jest polonistą z wykształcenia, ale od lat pracuje jako publicysta i komentator polityczny. Został nagrodzony najważniejszą w Polsce nagrodą dziennikarską imienia Kisiela, co wywołało stan przedzawałowy u nieznoszącego go szefa *Gazety Wyborczej* – Adama Michnika. Ziemkiewicza dziesięciokrotnie nominowano do nagrody Zajdla, a otrzymał ją trzy razy. Najważniejsze książki to: powieści *Czerwone dywany*, *Odmierzony krok* oraz *Walc stulecia*, zbiór opowiadań *Cała kupa wielkich braci* i bestsellerowy zbiór publicystyki *Viagra Mać*.
Jeśli marzysz czasami o tym, by ukarać złodziei, naciągaczy, kombinatorów, posłów na Sejm oraz innych wszarzy i chciałbyś jednym pstryknięciem dać im naprawdę popalić, to to opowiadanie zostało napisane dla ciebie!

Możliwe, że spotkanie z Akwizytorem było nam obu pisane i doszło by do niego tak czy owak, nawet gdyby pewnego dnia nie okradziono mnie w tramwaju linii 22, gdzieś między Niedopałkiem a Dworcem Centralnym. Ale gdyby nie to zdarzenie, spotkalibyśmy się znacznie później i w innych okolicznościach: na pewno nie wybrałbym się tego dnia na komisariat, co za tym idzie – firma „Sprawiedliwa Magia GmbH" nie miałaby okazji kusić mnie swoją promocyjną ofertą.

Na komisariacie dyżurny policjant ochrzaniał akurat jakąś roztrzęsioną kobietę.

– No kto, jak rany, nosi pieniądze w torebce! Jak można być tak nieodpowiedzialnym! To pani, dorosła kobieta, nie wie, że złodzieje wyrywają kobietom torebki? No i co ja teraz mogę komuś tak niemądremu pomóc?

Kobieta broniła się słabo, że właśnie odebrała pensję i niosła ją do domu, ale – no trudno, proszę pani, trzeba było myśleć! – sprowokowała tylko rozmówcę do tyrady, że mądrzy ludzie używają do rozliczeń konta bankowego, a nie noszą całą pensję, jak za króla Ćwieczka, w torbie. Logika wywodu gliniarza była nie do ugryzienia i w końcu natrętna interesantka, popłakawszy sobie trochę, musiała dać mu święty spokój.

Odniesione zwycięstwo najwyraźniej wprawiło dyżurnego policjanta w przekonanie, że i ze mną poradzi sobie równie łatwo.

– Ukradziono mi telefon komórkowy – oznajmiłem, nie czekając na pytanie, które zapewne od razu ustawiałoby mnie na pozycji natręta i ofermy.

– No i co? Może życzy pan sobie, żebym biegł go szukać? – policjant najwyraźniej miał dobry humor.

– A wyglądam na idiotę?

– No, to czego pan chce?

– Protokołu zgłoszenia kradzieży. Komórka była w promocji – uciszyłem od razu jego protesty – i bez tego kwitu każą mi bulić półtora tauzena, więc i tak nie ustąpię.

Westchnął ciężko, po czym z miną „a-taki-był-piękny-dzień" zaczął wyciągać z różnych szuflad i składać przede mną na stos rozmaite formularze.

– Dla pana to jeden protokół – burczał – a ja będę musiał, o, ile tego nawysyłać! Proszę – podał mi długopis i kilka wielkich, złożonych w pół płacht. – Niech pan to wypełni.

Zaśmiałem się.

– To jednak wyglądam, co?

– Jasna cholera – teraz już zirytował się nie na żarty, ale nie miał innego wyjścia, niż zabrać się do obowiązków służbowych. – Nazwisko? Imię? Data urodzenia...

Nie dręczyłem policjanta z czystej złośliwości – nowa komórka, a co za tym idzie, stosowny kwit, stwierdzający utratę poprzedniej, były mi naprawdę potrzebne. Wydobywszy wreszcie papier z trzewi policyjnej biurokracji, ruszyłem nie tracąc czasu zanieść go do dilera i wymienić na nowy aparat.

Z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy przyjrzeć się po wyjściu, co obrażony na cały świat gliniarz raczył tam wpisać. Wydobyłem bumagę z plastikowej teczki: na oko, najnormalniejszy w świecie urzędowy protokół, z niezbyt równo odbitymi rubrykami, wypełnionymi nieczytelnym pismem.

Tylko w prawym górnym rogu było coś, co przyciągało wzrok. W pierwszej chwili sądziłem, że to rodzaj hologramu. Diabli wiedzą, może robią teraz takie zamiast stempli, pomyślałem, przybliżając papier do oka. Jeśli był to hologram, to wykonany zupełnie mi nieznaną techniką, dającą tym doskonalsze złudzenie głębi, im dłużej się w niego wpatrywałem. Owa głębia wypełniona była migocącymi we wszystkich kolorach punkcikami, jakby ktoś nasiał świetlistym brokatem. Światełek przybywało, nabierały intensywności, aż w końcu zaczęła się na ich tle formować twarz dziewczyny. Dziewczyny o bujnych, rudych włosach, falujących w brokatowym uniwersum jak kępy wodorostów w spokojnej wodzie. Pomyślałem, że gdyby modelka miała bliznę na szyi, nadawałaby się idealnie na Hellę w „Mistrzu i Małgorzacie". Tym bardziej, że poza rudą grzywą chyba nie miała na sobie nic; niestety, dolny skraj obrazka wypadał mniej więcej w tym miejscu, gdzie zwykle lokuje się górną krawędź przyzwoitej wieczorowej sukni.

– Z największą radością mogę poinformować, że został pan wybrany do udziału w naszej specjalnej promocji – poinformowała mnie z lubieżnym uśmiechem. – W imieniu firmy „Sprawiedliwa Magia" zachęcam do skorzystania z naszych usług i sprawdzenia ich jakości.

Wpatrywałem się w nią z takim zainteresowaniem, że omal nie wyrżnąłem głową w latarnię. Zatrzymałem się i odszedłem parę kroków na bok pod ścianę pobliskiego budynku.

– Jakich znowu usług?

– Oczywiście usług magicznych. W naszej specjalnej promocji adresowanej do ofiar przestępstw oferujemy pełny zestaw klątw, zarówno przypisanych do chronionego przedmiotu, jak i personalnych. Czy nie chciałby pan, aby człowieka, który pana okradł, spotkała zasłużona kara?

– Pewnie. Żeby tak zdechł, swołocz.

– Niestety, tak silnej klątwy nie jesteśmy w stanie zaoferować w ramach promocji. Czy nie zadowoli pana, jeśli uschnie mu ręka?

– Bardzo dobrze. Niech mu uschnie.

– Stanie się według pana życzenia. Dziękuję za skorzystanie z naszej promocji. Szczegółowe informacje o działalności firmy znajdzie pan w swojej skrzynce pocztowej.

Dziewczyna uśmiechnęła się raz jeszcze i puściła do mnie oko, po czym obrazek znikł i znowu miałem w ręku najzwyklejszy w świecie urzędowy kwit ze stemplem osiedlowego komisariatu.

– Stary, przestań mnie robić w konia – zezłościł się oderwany od swoich redakcyjnych bieżączek Grabula. – Tu nic nie ma.

– Ale było, rozumiesz? Właśnie o to mi chodzi, w jaki sposób mogli to zrobić.

– Nie mogli. Nie ma takich cudów. Najzwyklejszy papier pod słońcem. Przestań mi zawracać głowę, mam czas do szóstej, żeby obrobić panienkę z rozkładówki.

Nie miejcie głupich skojarzeń – Grabula obrabiał panienki z rozkładówek komputerowo, w fotoszopie. Powiększał im na zdjęciach piersi, zwężał biodra, wydłużał i wyszczuplał nogi, nadawał gładkość i złocisty połysk skórze, zagęszczał włosy i tak dalej. Żadna z gwiazdek ekranu, dla których rozebranie się w piśmie dla panów stanowiło niezbędny etap kariery, nie szła do druku bez takiego retuszu. Kiedyś próbowałem wzbudzić w nim wyrzuty sumienia z powodu wszystkich tych nastoletnich frajerów, którzy myślą, że kobieta naprawdę wygląda tak, jak jego obrazki, i za parę lat zapełnią z ciężkimi frustracjami poczekalnie seksuologów. Był odporny: i dobrze tak gówniarzom, odpowiedział, niech uprawiają sport i biorą zimne prysznice, tak jak nam to doradzali katecheci, kiedy byliśmy w ich wieku.

– Posłuchaj, Grabula, jesteś najlepszym specem od grafiki komputerowej, jakiego znam – wcale mu nie kadziłem, gdyby nie poszedł w robienie kasy, stałby się

z czasem ozdobą Polskiej Akademii Nauk. – Więc od razu przyszedłem z tym do ciebie. Może to się pojawi jeszcze raz. Może trzeba czymś naświetlić albo...

– Człowieku, taka animacja, jaką opisałeś, wymaga komputera jak gdańska szafa! I jeszcze mówisz o interaktywności. A to, do cholery – zaszeleścił policyjnym protokołem – jest zwykły papier, nawet prostego scalaka nie byłoby gdzie ukryć. Przyznaj się od razu, że zarzuciłeś grzybka, i daj mi spokój, bo Basia z „Wesołego posterunku" pójdzie do druku z cyckami jak koza, a tego fani serialu mogą nie przeżyć.

– Jesteś pewien, że nie ma żadnej możliwości, żeby coś takiego zrobić? – upierałem się, niezrażony faktem, że redaktor Grabowski siada już do komputera, na ekranie którego widniał, w istocie niezbyt okazały, biust gwiazdy popularnego serialu.

– Tylko jedna: czary.

Oczywiście, to była właśnie odpowiedź, której się spodziewałem. Ale zawsze dobrze mieć pewność.

Sprawa gryzła mnie przez cały wieczór. Miałem akurat wolne, chciałem się trochę odprężyć – a tymczasem, zamiast kontemplować głębię telewizyjnej rozrywki, co i raz łapałem się na myślach o „Sprawiedliwej Magii". Inna sprawa, że nowy przebój TVN „Żona czy kochanka?" okazał się lepszy w pomyśle, niż w wykonaniu. Wynik audiotele stał się oczywisty, a tym samym siadła cała dramaturgia widowiska w pięć minut po tym, jak gość programu przedstawił widzom obie konkurujące o niego kobiety. Żona, nie dość, że nadgryziona zębem czasu, to jeszcze stale usiłowała widownię wzruszyć tanimi, sentymentalnymi chwytami, opowiadając o wspólnej przeszłości, dzieciach i tak dalej, podczas gdy jej rywalka w kolejnych konkurencjach bez trudu oczarowywała publikę godnym pozazdroszczenia wdziękiem i seksapilem.

W końcu zaczęło to być męczące i postanowiłem przełączyć na „Polsat" – tam akurat leciał ten teleturniej z falowcem i kotem: dzwoniący telewidz miał za zadanie pod okiem przebranego za kaprala prezentera maksymalnie przeczołgać gracza w studiu. Jeśli falowiec umiał wymyślić taką torturę, żeby kot spękał, kasa należała do niego, w przeciwnym razie brał ją ten ze studia. Program może i szedł już od wielu miesięcy, ale jakoś wciąż jeszcze nie nudził.

Tym razem jednak go nie obejrzałem. Kiedy sięgałem po pilota, roziskrzony kolorowym brokatem kwadrat przestrzeni objawił się nagle na samym środku mo-

jego stolika do kawy. Podobnie jak poprzednio, trwało kilka sekund, nim obraz wyostrzył się i nabrał głębi. Wtedy dopiero pojawiła się Ruda.

– Z największą radością mogę poinformować, że pańskie zlecenie zostało już wykonane. Złoczyńca, który podniósł rękę na pańską własność, został ukarany zgodnie z wyrażonym życzeniem. Serdecznie polecamy nasze usługi na przyszłość.

– Chwileczkę! – nie chciałem, żeby znowu zniknęła. – Czy mogę to jakoś sprawdzić?

– Proszę na nas polegać – uśmiechnęła się. – Nasza firma w karaniu złoczyńców dysponuje doświadczeniem wielu tysięcy lat. Wszelkich szczegółów dowie się pan niebawem od naszego akwizytora.

I tyle. Świetlisty kwadrat zamigotał i zgasł, pozostawiając mnie opukującego i obwąchującego z ogłupiałą miną blat stolika. Minęło ładnych parę minut, zanim dotarło do mnie, że robię z siebie idiotę.

Przyszedł mi do głowy Zbyszek; nie bacząc na późną porę, wystukałem jego numer. Zresztą wyznaję zasadę, że na komórkę wypada dzwonić o każdej porze dnia i nocy – jeśli ktoś akurat śpi albo wykonuje czynności uniemożliwiające rozmowę, to może ją wyłączyć. Zbyszek nie spał ani nie wykonywał czynności.

– Słuchaj – zacząłem niepewnie – wiem, że to pytanie może się wydać dziwne, ale z medycznego punktu widzenia czy to możliwe, żeby komuś uschła ręka?

– Jak temu brzydkiemu chłopczykowi, który podniósł kończynę na mamusię?

– Coś w tym stylu. To możliwe?

– O ile dobrze pamiętam tę pouczającą opowieść, chłopczykowi uschnięta ręka miała potem wystawać z grobu i przechodzący ludzie się o nią potykali...

– Zbyniu, nie chodzi o szczegóły, tylko tak ogólnie, czy medycyna zna podobne schorzenia?

– Nie wiem, na czym by to miało polegać. Owszem, medycyna zna rozmaite rodzaje niedowładów i porażeń kończyn, zarówno o genezie neurologicznej, jak i miażdżycowej, ale osobiście nie widziałem niczego, co by pasowało do tego malowniczego określenia. Sądzę, jeśli to masz na myśli, że pomysł musiał poddać komuś paraliż po udarze mózgu. A co, piszesz coś o niedowładach?

– Dokumentuję temat. Dzięki za pomoc.

Oglądania telewizji odechciało mi się już definitywnie. Pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu wyszedłem z mieszkania i zjechałem na dół sprawdzić moją skrzynkę pocztową. Była pusta.

Do jutra zwariuję, myśląc o tym dukacie – pamięć podsunęła usłużnie słowa wieszcza. A niedoczekanie.

– Dość tego, cholera – powiedziałem na głos, stanąwszy z powrotem na progu swojego dużego pokoju. – Prysznic, kielonek i do łóżka.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Rafał? – Zbyniu był wyraźnie podniecony. – Kurde, wiesz co się stało? Właśnie nam przywieźli faceta z jakimś dziwnym paraliżem prawej ręki. Na oko wygląda dokładnie tak, jakby mu uschła. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Facet sprawia wrażenie drobnego złodziejaszka?

– Jak w mordę strzelił! Słuchaj, o co tu chodzi?

– Tak prawdę powiedział, chłopie, to sam nie wiem. Ale mam przeczucie, że w najbliższym czasie dostaniesz takich przypadków więcej. Może to nawet sprawić wrażenie epidemii.

Wbrew zapowiedziom Rudej następnego dnia w poczcie nie było żadnych materiałów reklamowych firmy „Sprawiedliwa Magia". Nie pojawił się też zapowiadany akwizytor. Albo mieli tam niezłą biurokrację, albo liczyli, że ciekawość skłoni mnie do samodzielnych poszukiwań.

Normalnie pewnie nie miałbym czasu za dużo główkować, ale dziwnym zbiegiem akurat odpadły mi redakcyjne bieżączki. Przede wszystkim, odwołała swoje posiedzenie krajówka „Solidarności". Zamiast jej nowych decyzji, musiałem komentować spekulacje, dlaczego nie doszło do posiedzenia, bo oczywiście oficjalnej wersji – problemy zdrowotne przewodniczącego i kilku szefów regionów – nikt nie traktował poważnie. Musiało to być jakoś związane z wewnętrzną walką w związku przed zjazdem, ale jak i o co właściwie chodziło, nikt nie miał pojęcia, więc na wystukanie komentarza starczyło mi pół godziny. A sprawa szefa „pabianickiej ośmiornicy" (domniemanego szefa, oczywiście, cała Polska wiedziała, że to ten, ale w gazecie musi człowiek udawać idiotę, bo jeszcze go gangster poda do sądu i wygra) nie podpadała pod mój dział. Szkoda zresztą; gdybym chwilę nad nią pomyślał, wcześniej bym pojął, na jaką skalę rozkręca się nowy biznes.

Pasztetówa z całą swoją „ośmiornicą" był zasadniczo poza zasięgiem prawa. W porę zakończył pionierski etap działalności – czy, jak to ujmują podręczniki, okres pierwotnej akumulacji kapitału – wyrzucił spluwę, łom oraz inne bandyckie narzędzia do rzeki i zamiast napadać na TIR-y, włamywać się, porywać dla okupu czy wymuszać haracze, zainwestował w zatrudnianie młodych, ambitnych księgowych i finansistów. Zakładał w całym kraju legalnie działające firmy, sprzedające sobie nawzajem własne zobowiązania płatnicze i podatkowe, a nierzadko

oferujące także uprawniające do oddłużeń transakcje, z obopólnym zyskiem, dużym firmom państwowym. I na końcu całego łańcucha oczywiście kasował zwrot VAT-u. Dowcip polegał na tym, że działał całkowicie legalnie, wykorzystując dziury w prawie. Idę zresztą o zakład, że większość tych dziur sam wyborował, kupując albo podpuszczając posłów, żeby je na komisji wpisali jako poprawki. Udowodnić nic oczywiście nie można, a używani do tego posłowie zazwyczaj wierzą, że ich poprawki służą walce z obcym kapitałem albo zabezpieczaniu interesów ludu pracującego. Skąd taki poseł, głąb po zawodówce rolniczej albo wieczorowym kursie marksizmu-leninizmu, ma wiedzieć, że wprowadzając w najlepszych intencjach do przepisów jakieś niezdefiniowane prawnie sformułowanie, paraliżuje skutecznie całą ustawę i odwraca do góry nogami starania prawników, którzy ją pisali? A raz wrzuconego do ustawy szczura już się z niej nie wyciągnie, bo inni posłowie nie są mądrzejsi od tego pierwszego. Nawet gdyby byli, żaden nie ma głowy do czytania całych ton papierzysk, zwłaszcza że odrywałoby go to od smakowania uroków poselskiego życia.

W każdym razie Pasztetówie (bardzo nie lubił tej ksywy przypominającej o początkach jego działalności) można było skoczyć – kiedy w końcu o „ośmiornicy" zaczęło się pisać i mówić w telewizji, ustawy pozmieniano, ale tego, co już nakradł, mógłby używać w spokoju do późnej starości, gdyby właśnie w tych dniach w tajemniczy sposób nie wyniósł się ze świata podczas wystawnej kolacji w należącej do niego drogiej knajpie pod Gdańskiem. Oficjalnie śmierć miała przyczyny najzupełniej naturalne – zadławienie. Tylko, że – zdaniem wykonującego sekcję zwłok lekarza nie było do tego żadnej przyczyny. Denatowi nic nie utkwiło w przełyku, nic nie zawadzało drożności dróg oddechowych – wyglądało to tak, jakby ktoś po prostu przytrzymał mu kęs w ustach tak długo, aż się przekręcił. Ale musiałaby to zrobić Niewidzialna Ręka, bo facet udusił się pośrodku licznego towarzystwa – albo też wszyscy obecni byli uczestnikami spisku, mającego za podłoże zadawnione gangsterskie porachunki, co zresztą część prasy sugerowała.

Nikt nie wpadł na pomysł, by sformułować tego niusa najprościej: domniemany oszust, znany jako Pasztetówa, po prostu udławił się tym, co ukradł, tak jak tego zazwyczaj życzymy w gniewie swym bezkarnym krzywdzicielom.

Ale tego dnia, jak wspominałem, na sprawę Pasztetówy jakoś nie zwróciłem uwagi. Poddałem się atmosferze lenistwa, która zapanowała w redakcji na okoliczność odwołania kilku oficjałek. W ogóle liczba odwołanych konferencji prasowych i innych politycznych „wydarzeń" rosła w ostatnim czasie z dnia na dzień. Przy komputerach działu politycznego zrobiło się luźniej niż zwykle i tknięty nagłą myślą postanowiłem skorzystać z tej okazji, żeby coś sprawdzić.

Ten błogi bezruch dotyczył jednak tylko mojego działu. W miejskim urywały się telefony ze skargami na zaburzenia w pracy przychodni i różnych urzędów, głównie skarbowych, a Bulba, przydzielony ostatnio do kryminałków, biegał po redakcji jak kot z pęcherzem. Oderwał mnie na chwilę pytaniem, czy nie mam kogoś zaufanego w pogotowiu, bo do nikogo ze swoich nie może się dziś dodzwonić. Zapisując komórkę do Zbyszka, opowiedział mi pokrótce „ekstra, kurde, story", którą właśnie wpalcowywał z przejęciem do wydania: trzej dresiarze, którzy w Parku Skaryszewskim skroili wracającego ze szkoły małolata, ledwie parędziesiąt kroków dalej w nagłym ataku ni to szału, ni to padaczki, porozbijali sobie łby o kamień upamiętniający brytyjskich lotników. Dodatkowo ten, który dzieciaka uderzył, w ciągu kilku godzin pokrył się cały ropiejącymi parchami. Gliniarze wysunęli hipotezę, że chłopak musiał niepostrzeżenie opylić napastników jakimś wyjątkowo parszywym gazem, pewnie kupionym na pobliskim stadionie od Ruskich – według zeznań świadków szedł za dresiarzami, jakby czekał na ten efekt, po czym odebrał skradzioną kurtkę i dał nogę. Świadkowie zresztą nie chcieli wcale pomagać w ustaleniu tożsamości małolata. Byli po jego stronie i to, co spotkało dresiarzy, bardzo im się podobało. Podobnie jak i Bulbie, i mnie, i nie mieliśmy cienia wątpliwości – wszystkim naszym czytelnikom.

Bulba bardzo chciał znaleźć tego małolata, broń Boże nie żeby go sypnąć, tylko pogadać, ale w tej sprawie nie mogłem mu pomóc. Co najwyżej wskazówką, że jego rodzice musieli być raczej dziani: wyglądało mi to na klątwy silniejsze niż oferowano w promocji, i to aż dwie naraz, biorąc pod uwagę te parchy. Zbyszek też Bulbie nie pomógł. Kiedy mojemu redakcyjnemu kumplowi udało się dodzwonić na jego komórkę, usłyszał tylko od jakiejś kobiety, pewnie pielęgniarki, że pan doktor absolutnie nie ma czasu na rozmowy i że to, co się dzisiaj dzieje w warszawskim pogotowiu, to prawdziwy sądny dzień. Dokładnie takie słowa powtórzył mi w drzwiach redakcji, kiedy wreszcie znalazłem potrzebny mi list, strawiłem dobrą godzinę na bezowocnych próbach dodzwonienia się do jego autorki, i ostatecznie postanowiłem pofatygować się do niej osobiście.

List, którego szukałem, przysłano mi mejlem sam nie pamiętałem ile miesięcy wcześniej. Po każdym felietonie przychodzi takich kilkanaście, a jeśli napisze się coś złego o kotach albo piłce kopanej, to nawet kilkadziesiąt – kto by spamiętał. Tekst, do którego odnosił się ten konkretny list, też obrodził mnóstwem polemik, chociaż nie dotyczył żadnego z powyższych tematów. Tym, co w nim rozsierdziło czytelników, było nabijanie się z feng-szui. Napisałem coś w tym guście, że gdy-

by Chińczycy naprawdę posiedli, i to już od starożytności, wiedzę, jak za pomocą zwykłego przestawiania mebli zapewnić sobie szczęście, pieniądze i długowieczność, musieliby być narodem zauważalnie szczęśliwszym, zdrowszym i bogatszym od innych. Tymczasem ich poziom życia, zwłaszcza w części kontynentalnej, bliższy jest standardom Albanii niż USA i dopóki nie ulegnie to zmianie, w żadne magiczne srułki nie uwierzę. Nie mam nawet żalu do tych wszystkich którzy mi potem listownie ubliżali. Ludzie tak mają, jeśli ktoś już dał kasę wydrwigroszom, za nic nie uwierzy, że pozwolił się wystrychnąć na dudka, prędzej znienawidzi tego, kto mu to usiłuje tłumaczyć.

Ale list, którego szukałem, nie dotyczył głównego wątku mojego felietonu; na marginesie sformułowałem spostrzeżenie, że szerząca się w naszej cywilizacji wiara w duchy i czary jest śmiesznie niekonsekwentna. Pisma kobiece, popularne tygodniki i telewizja na każdym kroku reklamują rozmaite zabiegi magiczne, twierdząc, że mogą nam one pomóc w karierze, miłości, mówiąc najogólniej – że można w ten sposób robić różne rzeczy dobre. A przecież, jeśli tak, to musi istnieć i druga strona zagadnienia. Jeśli czarami można pomagać, to można i szkodzić. Jeśli odpowiednio rozmieszczając w swoim gabinecie palemki, dzwonki i akwaria, możesz sobie zapewnić awans, to podkładając dyskretnie fengszujowego szczura do gabinetu rywalki, możesz ją awansu pozbawić i ściągnąć jej na głowę kłopoty, ze zdrowotnymi włącznie. Albo doprowadzić czarami konkurencyjną firmę do utraty zamówień publicznych i bankructwa. Zresztą nie ma znaczenia, czy wbijając szpilki w woskową lalkę twój wróg naprawdę może ci zrobić krzywdę – ważne, że próbuje to zrobić, prawo przecież każe za samą próbę zamachu na czyjeś życie lub zdrowie, nawet tak głupią czy nieudolną, że predystynuje ona niedoszłego mordercę do nagrody Darwina. Słowem: jeśli współczesne media zupełnie serio traktują horoskopy, feng-szui, numerologię i tarota, to logika nakazuje, by wreszcie odchrzaniły się od polowań na czarownice i przeprosiły autorów „Malleus maleficarum" tudzież radnych miasta Salem.

Czytelniczka, podpisująca się jako właścicielka „renomowanego salonu wróżby Studio Cośtam", poczęstowała mnie w odpowiedzi kilkustronicowym wykładem, utrzymanym w tonie łagodnej i nawet dosyć dla mnie życzliwej perswazji. Strawiwszy parę akapitów na ani w ząb niezrozumiałe definicje rozmaitych rodzajów działań magicznych, mające mi uświadomić, że wymieniając je na jednym oddechu, zaprezentowałem się jako zupełny laik, wywiodła renomowana wróżka, dlaczego mianowicie poważnej magii nie można używać do wyrządzania zła. Bez wdawania się w zawiłości, dlatego, twierdziła, iż zła energia zawsze wrócić musi w tej lub innej formie do tego, kto zapoczątkował jej cyrkulację. Kto chciałby ma-

gicznie zaszkodzić innej osobie, prędzej czy później oberwie rykoszetem, dlatego żaden liczący się profesjonalista podobnego zamówienia nie zrealizuje. List nie pozostawiał wątpliwości, że „liczący się profesjonalista" od magii to oczywiście sama autorka, i w ogóle był mocno autoreklamiarski – wróżka zapewne liczyła na publikację i spopularyzowanie tą drogą swego interesu.

Rzecz oczywista, nie dałem listu do druku ani nie traciłem czasu na odpisywanie. Wątpię nawet, czy chciało mi się wzruszać ramionami – po prostu naciśnięciem klawisza odesłałem go na twardy dysk i gdyby nie „Sprawiedliwa Magia" oraz jej promocyjna oferta, w życiu bym sobie o renomowanym salonie wróżby nie przypomniał. Ostatecznie: salon nazywał się „Studio Futura", jego właścicielka podpisała się zawodowym pseudonimem Serenita, podany telefon nie odpowiadał, a siedziba firmy mieściła się niedaleko mojego mieszkania, przy rogu Alei Jerozolimskich i Poznańskiej. To znaczy, poprawiłem w myślach, przy rogu Pepsi-Coli i Marlboro. Korespondencja pochodziła jeszcze sprzed tego historycznego momentu, kiedy to warszawscy radni, uświadomiwszy sobie, że rozkradli i przehandlowali już wszystko, wpadli na pomysł, żeby jeszcze posprzedawać nazwy ulic, placów i skwerów na reklamy.

Najpierw jednak pojechałem do domu, jak się domyślacie – sprawdzić skrzynkę pocztową. Wciąż była pusta. Ruszyłem najkrótszą drogą, przez dworzec. Wprawdzie zdążyło się już zrobić ciemno, ale moja strona dworca uchodziła za dość bezpieczną. Od czasu do czasu zachodziły tu nawet patrole policji, co było znakiem nieomylnym – na pewno nie zapuszczałyby się w okolice niebezpieczne.

Kiedy zbliżałem się do zejścia w podziemia Centralnego, które przed laty oszalowano prowizorycznie nieheblowanymi dechami i tak już pozostało, dobiegł mnie przeciągły, bolesny jęk. Rozejrzałem się. Jęczał facet, na oko powyżej pięćdziesiątki, o raczej ubogim wyglądzie, zgięty w pół na ławeczce pobliskiego przystanku.

– Proszę pana... Proszę pana... – wyrzucił zbolałym głosem w moim kierunku. – Pan pomoże...

– Co się Panu stało?

– Kurde, jak mnie nagle zaczęło, panie, w brzuchu rżnąć... Uuuu! Kurr... hhh... mać... - chyba rzeczywiście się męczył, na niezdrowo bladej twarzy pobłyskiwały drobne kropelki potu. – Pan mi poda rękę... Tylko tu obok, do domu...

Zbliżyłem się. Z wyświeruchtanej foliowej torby, rzuconej obok na ławce, wystawał gruby plik kolorowych pism, głównie tych z obrobionymi przez Grabulę babkami. Rzut oka – wszystkie przedatowane, ale jak nowe. Niedaleko, koło peronów WKD, rozstawili parę miesięcy temu stoisko złodzieje handlujący wycofaną z kiosków prasą. Piszę złodzieje, bo zgodnie z umowami „Ruch" miał obowią-

zek zwroty niszczyć, ale oczywiście jego pracownicy opylali je za grosze hurtownikom, a ci z kolei dziadkom podobnym do tego na przystanku, którzy też chcieli sobie popatrzeć na gołe laski, a szkoda im było tych siedmiu czy dziewięciu złotych. Moja gazeta traciła na tym mniej niż luksusowe magazyny, ale choćby przez solidarność z okradanymi kolegami po fachu starałem się gazetowy szaber zwalczać.

– Wyrzuć pan to i przestań kupować kradzione rzeczy, to przejdzie – rzuciłem oschle i zszedłem na dół. Minąłem tasiemcową kolejkę kłębiącą się przy całodobowej aptece, ruszyłem przez perony i ostrożnie wychynąłem na powierzchnię po drugiej stronie, za „Mariottem". Byłem już koło salonu „Futura", kiedy zobaczyłem chuderlawego policjanta w czarnym drelichu i bejzbolówce. Wyglądał jak ostatnia ofiara losu. Wszyscy gliniarze tak wyglądali, odkąd zamiast w porządne mundury poubierano ich w workowatą odzież ochronną. Stał przy rogu ulicy, rozglądając się czujnie, podczas gdy za jego plecami rozlegało się jakieś dziwne popsykiwanie. Schowałem się wśród drewnianych szalunków oplatających remontowaną od niepamiętnych czasów przychodnię i z zawodowym zainteresowaniem śledziłem zza nich stróża prawa.

Nie trwało to długo – popsykiwanie ucichło, zza rogu wyłonił się drugi policjant, równie chuderlawy jak ten pierwszy, i obaj pośpiesznym krokiem oddalili się w stronę Domów Centrum. Poszedłem z ciekawości za róg. Obelgi wobec policji, wypisane kiedyś przez kogoś na ścianie pierwszego za rogiem budynku, zostały niedbale zamazane, a ponad nimi pysznił się krzywy, pryśnięty sprejem w wyraźnym pośpiechu napis „Jebać lumpów!".

Znalazłem właściwą bramę – jej fasadę ozdabiały dziesiątki tabliczek z nazwami firm i jeszcze więcej dziur po tabliczkach już poodrywanych. Nigdzie nie było ani słowa o „salonie wróżby Futura". Z wydobytą z kieszeni kartką zbliżyłem się do domofonu, wystukać na nim numer mieszkania. Klawisze były głuche, martwe. Nikt nie odpowiedział, nie zapaliło się żadne światełko, nie zaświergolił elektroniczny sygnał. Spróbowałem raz i drugi, w końcu z rezygnacją popchnąłem drzwi ręką. Otworzyły się bez najmniejszego oporu – zamek był wyłamany.

Również na solidnych wysokich drzwiach o przedwojennym wyglądzie, do których doprowadziła mnie klatka schodowa kamienicy, nie było żadnego szyldu. Ale można było dopatrzyć się dziur po śrubach, które zapewne kiedyś go mocowały.

Zapukałem mocno – raz, drugi, trzeci. Byłem już bliski rezygnacji, kiedy po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos:

– Kto tam?

Fatalne pytanie, jak na renomowaną wróżkę. Odchrząknąłem.

– Dobry wieczór. Nazywam się Rafał Aleksandrowicz, jestem dziennikarzem...

– Proszę mi dać spokój! Salonu już tu nie ma, zamknięty.
– Ale ja w innej sprawie. Umawiałem się z panią Serenitą.
Głos po drugiej stronie drzwi aż zaniósł się oburzeniem:
– Nieprawda! Z nikim się nie umawiałam!
– Ależ tak – uśmiechnąłem się z uczuciem triumfu. – Napisała pani kiedyś do mnie do redakcji list, a w nim zaproszenie, żebym się skontaktował, jeśli chciałbym się dowiedzieć o prawdziwej magii. Chodziło o mój felieton, pamięta pani? No, więc właśnie potrzebuję się czegoś na ten temat dowiedzieć i chciałbym z tego zaproszenia skorzystać.
Długotrwałą ciszę przerwał zgrzyt zasuw i rygli. Drzwi otworzyły się gwałtownie; wychynęła z nich sucha, wysoka kobieta z mnóstwem czarnych, nierozczesanych włosów, owinięta w wytarty szlafrok. Nie zwracając na mnie uwagi, starannie lustrowała korytarz – popatrzyła w lewo, w prawo, znowu w lewo, po czym gwałtownym ruchem złapała mnie za wszarz, wciągnęła do środka i natychmiast znowu zajęła się zamykaniem imponującej liczby zasuw.
Znalazłem się w ogromnym jak na współczesne standardy przedpokoju, z którego widać było pogrążony w półmroku pokój.
– Kogo się pani tak boi?
Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Skończywszy zabezpieczanie drzwi, Serenita milcząco wskazała mi drogę do pokoju, w którym niegdyś zapewne przyjmowała klientów. Wyjąwszy kilka rekwizytów w rodzaju wielkiej kryształowej kuli czy trupiej czaszki na stole, wystrój przyćmionego wnętrza bardziej niż z magią kojarzył mi się z perskim burdelem.

Serenita rozsiadła się, zapewne z przywyczajenia, po drugiej stronie stołu z trupią czachą. Z odpowiednio zrobionym makijażem i w należytym oświetleniu miała szansę wyglądać odpowiednio do swej profesji. Ale w tej chwili sprawiała wrażenie starego, skiepszczonego kaszalota. Umiejętnie zresztą to wrażenie uwydatniła, wyciągając z kieszeni szlafroka i zapalając jakiegoś okrutnie cuchnącego sierściucha bez filtra.
– No, więc cóż się takiego stało, że po tylu miesiącach raczył pan na moją ofertę odpowiedzieć? – zapytała, odkasławszy i odrzęziwszy swoje po pierwszym, głębokim machu.
Opowiedziałem pokrótce, jak zetknąłem się z promocyjną ofertą „Sprawiedliwej Magii". Skinęła głową; wiadomość o tej firmie wyraźnie nie była dla niej nowością.
– I skorzystał pan?

– A kto by nie skorzystał?

– Uhm. Współczuję. No cóż, rozumiem prostych ludzi, ale pan przecież został ostrzeżony. Zresztą, nie moje zmartwienie. W ogóle nic mnie to wszystko już nie obchodzi.

– No tak, widzę, że zwinęła pani interes. Można spytać, dlaczego?

– A czyż nie jest to oczywiste? Jak to ujął pewien były minister: nie zamierzam się kopać z koniem.

– Konkurencja? Coś jak hipermarket wykańczający małe sklepiki?

– Raczej coś jak mafia wykańczająca wszystkich, którzy nie chcą jej płacić haraczu. Trudno, znajdę sobie inne zajęcie.

Skinąłem głową, udając zrozumienie.

– Pisała pani, że żaden prawdziwy profesjonalista nie podejmie się zleceń mających przynieść komuś szkodę. Ale żeby komuś uschła ręka, pokrył się ropiejącymi parchami czy doznał podobnych sensacji, tego chyba byle amator nie sprawi?

Przyjrzała mi się uważnie.

– Widzę, że nie dotarło jeszcze do pana, z kim mamy do czynienia. Oczywiście, podtrzymuję to, co panu pisałam. Żaden zajmujący się magią człowiek, normalny człowiek, suwerenny w swoich decyzjach, nie podejmie działań, które wprowadzają w normalną cyrkulację mocy dodatkowe negatywne energie. Ale w wypadku „Sprawiedliwej Magii" nie mamy do czynienia z ludźmi. W każdym razie nie z ludźmi normalnymi. Dla nich doprowadzenie do eksplozji zła, do wybuchu niekontrolowanej nienawiści to nie zagrożenie. To cel, do którego dążą, i na dodatek nic ich w żaden sposób nie ogranicza w doborze stosowanych dla jego osiągnięcia środków. Podjudzanie do zemsty, nakręcanie spirali nienawiści, to ich ulubiona metoda działania: niech ludzie sami niszczą się nawzajem i sami padają ofiarą spowodowanego przez siebie zła, niech się gryzą i rzucają na siebie klątwy. I to najlepiej w przeświadczeniu, że w ten sposób staje się zadość sprawiedliwości. Człowiek nigdy nie jest w stanie wyrządzić więcej szkód niż wtedy, gdy ma głębokie przekonanie, że tylko wymierza sprawiedliwość.

Zaciągnęła się ponownie głęboko cuchnącym dymem, a potem przez dłuższą chwilę wpatrywała mi się w oczy, ponad czerepem ustawionej na stole czaszki.

– Panie redaktorze – podjęła wreszcie. – Jeżeli naprawdę jeszcze się pan nie domyślił, kto stoi za spółką „Sprawiedliwa Magia", to dziwię się, jak prasa może zatrudniać równie nieinteligentnych pracowników.

Owszem, domyślałem się i nie będę udawał – kiedy wracałem do domu i kiedy po raz sam nie wiem który sprawdzałem swoją skrzynkę pocztową – czułem na ple-

cach zimny dreszcz. A już szczególnie mocno poczułem go następnego dnia rano, kiedy wreszcie w moim domu pojawił się zapowiedziany przez Rudą Akwizytor.

Ale trzymajmy się kolejności wydarzeń. Najpierw zadzwonił Zbyszek. Po wieczorze, kiedy długo nie mogłem zasnąć, zastanawiając się nad skutkami działalności „Sprawiedliwej Magii", wyrwał mnie z łóżka pierwszym, bladym świtem, kiedy są w stanie funkcjonować tylko emeryci, księża i lekarze. Sam sobie byłem winien – zapomniałem z tego wszystkiego wyłączyć komórkę.

– Cześć Rafał. Wiesz coś nowego?

Wydałem z siebie słabo artykułowany pomruk, coś pomiędzy „aha" a „mhm".

– No, o tej epidemii?

Z przykrością uświadomiłem sobie, że nie zdołam uniknąć uruchomienia narządów mowy.

– Jakiej epidemii?

– Stary, skup się. Wczoraj, jak mówiłem ci o tym z uschniętą ręką, zapowiadałeś, że się szykuje więcej takich wypadków, pamiętasz? A dziś mieliśmy przez całą noc formalne oblężenie. Zresztą my to pikuś, podobno to, co się działo na Wołoskiej i w Aninie, to był prawdziwy Sajgon.

– I wszystko uschnięte ręce?

– Trochę niedowładów też. Ale w ogóle mnóstwo przedziwnych wypadków. Jakieś nagłe paraliże, apopleksje, paskudne egzemy, a przede wszystkim mnóstwo dolegliwości trawiennych. Przeważnie w jakiś nieswoistych, trudnych do zdiagnozowania formach. Nie jest to oczywiście epidemia w znaczeniu medycznym, po prostu jakby wszyscy zawzięli się chorować jednocześnie.

– Pozwól, że zgadnę. Najmniej było wśród nich ludzi, którzy się uczciwie utrzymują z własnej pracy? Co ja gadam najmniej, w ogóle. Trafiłem?

– Wiesz, u nas, na pogotowiu, zawsze przywożą mnóstwo nurów i menelstwa. Jeśli cokolwiek było ostatnio odmiennego, to wiek. Pacjenci w większości młodzi, a zazwyczaj mamy mnóstwo emerytów.

– Zgadza się. Emeryci przecież pobierają świadczenia uczciwie, wpłacali na nie składki przez całe aktywne zawodowo żyeie. Więc na pewno nie są złodziejami. Raczej okradzionymi, bo w stosunku do tego, co zapłacili, dzisiaj dostają grosze.

– A co tu ma do rzeczy złodziejstwo? – zdziwił się. – Zresztą mówię ci, że na Wołoskiej i w Aninie mieli jeszcze gorzej, a sam wiesz, że tam wstęp ma tylko erka, posłowie, ministrowie, wyżsi funkcjonariusze administracji...

– Zbyniu – ziewnąłem. – Powoli zaczynam jarzyć, o co w tym wszystkim chodzi, ale daj mi jeszcze trochę czasu. Obiecuję, że jak do czegoś dojdę, będziesz pierwszą osobą, z którą się podzielę swoimi odkryciami.

Rozmowa, tak czy owak, trwała zdecydowanie zbyt długo, żeby przyłożywszy głowę do poduszki, mieć jeszcze nadzieję na dogonienie uciekających snów. A jeżeli nie spać, to należało się budzić. Nie wiem, jak kogo, ale mnie nic nie budzi skuteczniej niż śniadanie. Właściwie nie uznaję innych sposobów. Od biedy mogę nie zjeść obiadu ani kolacji, ale śniadanie, zaraz po wstaniu z łóżka, muszę i żaden diabelski pomiot nie zdoła mi w jego spożywaniu przeszkodzić.

Akwizytor chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo odczekał, aż wepchnąłem do paszczy i pogryzłem ostatni kęs. Znany już, rozmigotany kwadrat pojawił się na moim stole dopiero w chwili, gdy zabierałem się do sprzątania talerzy. Usiadłem wygodnie, podparłem się łokciem i cierpliwie czekałem na pojawienie się Rudej.

Spotkało mnie rozczarowanie. Zamiast urodziwej wiedźmy w rozgwieżdżonym oknie pojawił się facet – w trudnym do określenia wieku i z gębą jak kobyła Raskolnikowa. Staranna fryzura i dobrze dobrane oprawki grubych okularów nie były w stanie osłabić wrażenia, jakie robiły jego szerokie czoło i cofnięta, wygolona na stalowy kolor szczęka.

– Dzień dobry, panie Aleksandrowicz – uśmiechnął się całą swoją końską fizjonomią. – Jestem z firmy „Sprawiedliwa Magia" i chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać. Czy nie będę teraz przeszkadzał?

– W porządku, już zjadłem.

Świetlisty kwadrat zblakł i zgasł tak samo jak poprzednio. Tym razem już nie próbowałem obwąchiwać stolika. Nie upłynęło więcej niż trzy sekundy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Oczywiście stał za nimi jegomość o końskiej twarzy. Teraz dopiero było widać, że nosi garnitur z najdroższej pracowni w Warszawie; ostatni raz widziałem taki u Leppera, kiedy SLD robiło go marszałkiem Sejmu. Ale ten dużo lepiej leżał.

– No, to proszę – starałem się nie okazać podenerwowania. – Pan wybaczy nieporządek, ale...

– Ależ, panie redaktorze! – nie pozwolił mi dokończyć. – To ja muszę pana gorąco przeprosić. Po pierwsze za to, że pojawiam się tak późno. Niestety, nie doceniliśmy popytu na nasze usługi. Od kilku dni harujemy wszyscy ponad 24 godziny na dobę. Naprawdę, zainteresowanie przerosło nasze najśmielsze oczekiwania.

– Uhm. Wiem coś o tym. Proszę – wprowadziłem Akwizytora do gościnnego pokoju i wskazałem mu fotel. – Powiedziałbym nawet, że efektów waszej działalności trudno było w ostatnich dniach nie zauważyć.

– Wie pan, jak to jest, kiedy wprowadza się na rynek coś zupełnie nowego; trudno z góry ocenić potrzeby. Dosłownie zostaliśmy zasypani zamówieniami, i to nie tylko od osób prywatnych, także instytucji... Ale zanim o tym, jest ważniejsza sprawa, za którą muszę pana, panie redaktorze, przeprosić. Otóż przez karygodne niedopatrzenie mój personel nie poznał się, z kim ma do czynienia. Potraktowano pana jak zupełnie przeciętnego klienta, a przecież...

– A przecież co? – rozsiadłem się naprzeciwko.

– A przecież pan jest kimś szczególnym – kobyla twarz rozjaśniła się uśmiechem. – Szczególnie cennym. Wiem, skromność każe panu zaprotestować, ale proszę się powstrzymać.

Prawdę mówiąc, nawet mi do głowy nie przyszło, żeby protestować.

– Wie pan sam, jakie mamy czasy. Kryzys. Zwłaszcza kryzys osobowości. Świat pełen ludzi o mentalności cinkciarzy, sklepikarzy, kombinatorów; małe cele, małe ideały... A tymczasem nasza firma stale potrzebuje ludzi pełnowartościowych, że tak powiem, całą gębą ludzi.

– Do akwizycji magicznych ubezpieczeń przed złodziejami? Czy to nie przesada?

Poprawił się w fotelu, odchrząknął i podjął o ton poważniejszym głosem, jakby dotąd tylko odgrywał jakiś narzucony rytuał.

– Panie Aleksandrowicz, grajmy w otwarte karty. Przecież już dawno się pan domyślił, z kim ma do czynienia. Ja też wiem o panu to i owo. Właściwie, co tu ukrywać, wiem o panu wszystko, taka już specyfika naszej pracy. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść osobiście, zamiast posyłać niższy personel.

Powstrzymałem się od uwagi, że pobłądził: widok Rudej zrobiłby na mnie zdecydowanie lepsze wrażenie od jego końskiej gęby. Zwłaszcza, gdyby przysłali ją w stroju organizacyjnym.

– Mam rozumieć, że rozmawiam z szefem tego całego interesu?

– Ach, nie. Jestem tylko... kimś w rodzaju urzędnika. Ale firma, którą reprezentuję, ma naprawdę wiele do zaoferowania. „Sprawiedliwa Magia" to tylko najnowsze dziecko w holdingu, przyznam, że mnie akurat szczególnie drogie. Tak, proponowałbym, żeby zaczął pan pracę u nas właśnie od akwizycji zamówień, bo przecież od czegoś musi pan zacząć. Ale można u nas awansować, jak wszędzie.

– Nie – sam się zdziwiłem, że umiałem to powiedzieć tak stanowczo i zarazem beznamiętnie.

Mój rozmówca bynajmniej nie przejął się odmową. Uśmiechnął się tylko wyrozumiale.

– Wszyscy najpierw odmawiają. To zresztą ciekawe, dlaczego. Może wszyscy mamy w sobie coś z panienki, która zanim się zgodzi, najpierw musi parę razy

powiedzieć „nie“, bo inaczej straciłaby dla siebie szacunek? Kwestia konwencji, panie redaktorze. Bo chyba pan, autor tylu tak przenikliwych tekstów, które miałem przyjemność czytać, nie ulega temu czarnemu pijarowi, jaki zrobiła nam konkurencja?

– Dlaczego miałbym nie ulegać? Przecież pan wie, w jakiej gazecie pracuję.

– No tak. Ale wiem też, że ceni pan sobie chłodną, logiczną argumentację, a nie znosi manipulowania emocjami. Więc chyba zgodzi się pan, że zdemonizowano nas zupełnie bezpodstawnie. A my po prostu jesteśmy, powiedziałbym, testerami porządku świata. Czy potępi pan kierowców fabrycznych dlatego, że zajeżdżają nowe samochody w ekstremalnych warunkach? Albo pracowników fabrycznego laboratorium, którzy miażdżą nieskończoną ilość kadłubów tychże samochodów o ściany czy słupy? Co jest złego w pomyśle, że zanim wpuści się na nowy most normalny ruch, przeprowadza się na nim próbę obciążeniową? Proszę wybaczyć, to nie najlepsze przykłady, ale na pewno rozumie pan, co mam na myśli. Jakże mogłoby się powieść stworzenie czegoś tak skomplikowanego jak ten świat, z miliardami obdarzonych wolną wolą jednostek, gdyby w ramach projektu nie wyodrębniono specjalnej drużyny, testującej jego słabości?

Musicie przyznać, że facet był wygadany.

– Oczywiście, nikt nie lubi, kiedy znajduje się dziury w jego robocie. Nazwano naszą działalność złem i w sposób zupełnie irracjonalny uwarunkowano przeciętnego człowieka, żeby na samą wzmiankę reagował negatywnie. Ale tak naprawdę...

– Tak naprawdę jest pan częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro...

– Coś w tym jest. Stary Goethe miał ten temat nieźle przemyślany.

– Ale, pan wybaczy, to jeszcze nie powód, aby się przyłączać. Ja na przykład cieszę się, że szlag trafił Związek Sowiecki, doceniam rolę, jaką odegrały w tym reformy Gorbaczowa, ale też wiem, że on te reformy wprowadzał po to, żeby Sowiety uratować, a nie dobić. Nie dość, że komunista, to jeszcze nieudacznik; ostatnia rzecz, na jaką mogę się zdobyć, to żeby go szanować. Z wami jest podobnie...

– Och, niech pan nie bierze tak dosłownie tych kilku słów starego poety... Który, nawiasem mówiąc, przyjął naszą propozycję. Widzi pan, ta robota jest wyjątkowo niewdzięczna, dlatego oferujemy za nią gratyfikacje odpowiednio rekompensujące jej uciążliwość. I nie kiedyś tam, w odległej przyszłości, o ile się komuś nie odwidzi i nie zabraknie kasy w budżecie. Płacimy teraz, od razu, że tak powiem: na rękę. I w takiej walucie, jakiej pan potrzebuje. Może to być sława, powodzenie u kobiet, kariera...

– Powiedzmy. I co mi pan proponuje?

– Jak już mówiłem, na początek akwizycję. Wszyscy od tego zaczynaliśmy, ja też. Choć dla pana chętnie zrobiłbym wyjątek jako, poniekąd, pomysłodawcy. Promocja pokazała oszałamiające zainteresowanie, będziemy musieli rozszerzyć asortyment...

– Oczywiście, kontrklątwy dla złodziei, dresiarzy i paserów. A w następnym rzucie specjalne zaklęcia przestępcze, przeciwko którym z kolei „Sprawiedliwa Magia" albo jakaś inna firma holdingu będzie sprzedawać czary ochronne.

Końską twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Panie Aleksandrowicz, pan jest po prostu stworzony do tej roboty! Rzecz jasna, skoro weszło się na rynek, trzeba być konsekwentnym, oferować coraz to nowe produkty i usługi. Tak, żeby każdy, kto czuje się pokrzywdzony, mógł tanio się zemścić na swoim prześladowcy, a tamten z kolei równie tanio zemścić się potem na tym pierwszym... Swego czasu udało nam się tą metodą rozkręcić koniunkturę na parę stuleci. I widzi pan, kiedy wpadł mi w ręce pański artykuł, bo przecież musimy starannie monitorować media, od razu sobie pomyślałem: ależ tak, wszystko sprzyja temu, żeby powtórzyć tamte sukcesy. I to właśnie tu, u nas. Och, pan to doskonale rozumie. Klnę się, że nie posiedzi pan długo w akwizycji.

– W ogóle nie posiedzę. Już powiedziałem: nie. Uprzejmie dziękuję za propozycję, nie skorzystam, chyba wyrażam się jasno. Ale nie taję, że przyjmuję tę waszą... akcję z dużą sympatią. Podoba mi się jej aspekt pedagogiczny.

Uśmiechnął się. Chyba nie rozumiał.

– Cóż, niektórzy zaliczają to do naszych ubocznych zadań – ucichł na chwilę, a potem zapytał. – A co pan konkretnie ma na myśli?

– Jeśli dobrze rozumiem, wykupiona u was klątwa działa tak, że na każdego, kto okradnie waszego klienta, sprowadza jakieś nieszczęście...

– To jedna z usług. Można także zapewnić sobie bezpieczeństwo osobiste.

– Klątwa – podjąłem – spada także na pasera i na każdego, kto korzysta z dokonanej kradzieży. Oczywiście w stopniu odpowiednim do udziału w niej. Temu, kto gwizdnął mi komórkę, uschła ręka. Ten, kto ją od niego kupił, pewnie swoją złamał. A jeśli i on oddał fant komuś następnemu, tamten wykpił się już tylko atakiem bólu nadgarstka?

– Wiele zależy od intencji tych kolejnych osób. Jeśli ktoś kupuje komórkę za kilkanaście złotych, to przecież wie doskonale, że jest kradziona.

– Oczywiście. A czy zauważył pan – przeszedłem do sprawy – że wystarczyło kilka dni waszej działalności, aby nastąpił prawdziwy pomór w niektórych dziedzinach życia publicznego? Część urzędów państwowych w ogóle przestała dzia-

łać, a ich personel gremialnie stawił się w rządowej klinice w Aninie, pochorowali się przywódcy związków zawodowych, no i cała rzesza rozmaitych drobnych beneficjentów państwowej sprawiedliwości społecznej.

– Zauważył pan? No, rzeczywiście, mamy drobne kłopoty z wyregulowaniem mocy klątw, ale...

– Panie szanowny – nie lubię, gdy mi się przerywa. – Nie przypadkiem mówiłem tu o Gorbaczowie. Ludziom można wciskać różne kity i prać im mózgi, ale w magii, cokolwiek nią tam zawiaduje, pojęcia pozostają proste. Dla czaru nie ma żadnej „redystrybucji", „sprawiedliwości społecznej" czy innego bełkotu. Jeżeli odebrano komuś pod przymusem część jego dochodu, żeby ją przeznaczyć na potrzeby kogoś innego, to wasza klątwa reaguje na to jak na każdy inny rodzaj kradzieży.

– Ależ nie... – zaprotestował. – Podatek to rodzaj składki na wspólne cele...

– Tak, i tam, gdzie ta pierwotna zasada została zachowana, tam nie będzie problemu. Nie sądzę, żeby jakaś epidemia powaliła nagle policję czy sądy. Ale za zdrowie rolników, którzy korzystają z interwencyjnego skupu, górników czy pracowników innych dotowanych przedsiębiorstw nie dałbym teraz złamanego grosza. Czerpiąc inspirację z mojego artykułu, zapomniał pan, że to już nie szczęśliwe Średniowiecze, gdzie dużym podatkiem wydawała się dziesięcina, tylko kraj, w którym dwadzieścia milionów obywateli żyje z rozmaitych zasiłków, a tylko niecałe czternaście na nie pracuje. Wie pan co? – podniosłem się energicznie i podszedłszy do barku, otworzyłem szeroko. – Musimy to oblać.

Chyba z wolna zaczynało do niego docierać to, co mówiłem, bo zamilkł z niemądrze opuszczoną szczęką.

– Niech pan pomyśli – ciągnąłem, nalewając do szklaneczek. – Wystarczyło parę dni, żeby pod aptekami zrobiły się kolejki, a pogotowie miało pełne ręce roboty. Wszystkich zaczęło nagle strzykać, mdlić, nudzić, pobolewać i oczywiście nikt nie rozumie, dlaczego. Na razie nie rozumie. To miara, do jakiego stopnia w tym ustroju zostaliśmy wplątani w taki, rozumie pan, złodziejski łańcuch pokarmowy. Prawie każdy jest okradany i prawie każdy korzysta z jakichś ochłapów, które pozostają państwu po wykarmieniu polityków i rzesz urzędasów od wyrównywania szans... Traciłem nadzieję, że ktoś kiedyś zdoła to Polakom wyjaśnić, a tu proszę, sposób pewny, poglądowy, stuprocentowo skuteczny. I kto z nim wystąpił? Aż się nie chce wierzyć. Proszę bardzo, chyba pan nie odmówi?

– Jeśli można, to i ja poproszę kropelkę – odezwał się z boku dystyngowany głos, przypominający trochę barwą i intonacją Gustawa Holoubka.

– A, służę panu – sięgnąłem po trzecią szklaneczkę. – Gość w dom... Eee, hm... – omal od razu na dzień dobry nie strzeliłem gafy.

Właściwie należało się go tutaj spodziewać. Siedział w głębokim, staroświeckim fotelu, który pojawił się razem z nim, niczego podobnego wcześniej w domu nie miałem. Starszy jegomość, w eleganckim, letnim garniturze z szarej flaneli. Skinął uprzejmie głową, kiedy podałem mu napitek.

– No, durniu – odezwał się do skulonego pod jego spojrzeniem Akwizytora. – Może umiesz jakoś odpowiedzieć panu redaktorowi?

– Ale, panie prezesie... – wił się tamten. – No, może rzeczywiście... niedopatrzenie... ale to dopiero program pilotażowy...

– Milcz, kretynie – nazwany prezesem zerwał się nagle, w jego dłoni pojawił się pejcz, którym, zupełnie zapominając o dystynkcji, zaczął prać po gębie swojego pracownika. – Pod stół, idioto! W tej chwili pod stół!

Okładany Akwizytor zanurkował z bolesnym kwikiem pod blat i w jednej chwili rozpłynął się tam bez śladu. Pejcz w ręku prezesa zamienił się ponownie w szklaneczkę whisky.

– Proszę wybaczyć – usiadł, wracając do pełnego godności tonu. – Niestety... Ludzie nie zdają sobie sprawy, co to znaczy kierować równie rozległym przedsięwzięciem. Wydaje im się, że ja mogę wszystko... I oczywiście to prawda. Ale przecież nie dopatrzę wszystkiego osobiście. Muszę, niestety, polegać na idiotach. A oni ciągle wszystko psują. Gdybym miał odpowiednie kadry, już wiele pokoleń temu byłoby po meczu.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

– Ależ właśnie może pan, może, panie Aleksandrowicz! Ten cymbał przecież powiedział prawdę. Jest pan człowiekiem, jakich angażujemy natychmiast. Ci durnie przygotowali i rozpoczęli całą akcję nie pomyślawszy nawet, jak to uderzy w nasz największy w dotychczasowej historii sukces, jakie fatalne może mieć skutki propagandowe. A pan przejrzał uboczne skutki w jednej chwili.

– Zapewne dlatego, że ten pański historyczny sukces zupełnie mi nie odpowiada. I chętnie dołożę starań, żeby nie trwał zbyt długo.

– Ech, wie pan, jak to jest. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Zmieni się pańska sytuacja, to i zmieni się pański pogląd na rzeczywistość. Niech pan żąda, czego tylko pan zamarzy, a ja i tak przebijam to potrójnie. No, jak?

– W ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut odpowiadałem na to pytanie już dwa razy. Czy to naprawdę nie wystarczy?

Przypatrywał mi się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

– Wystarczy. Znam się na ludziach i widzę, że istotnie nie da się pan zwerbować. Cóż, nie lubię takich, ale szanuję. Niech pan tylko za bardzo nie wbija się w dumę. Stać mnie na to, żeby odpuścić, bo doskonale wiem, że nigdy mi pan w żaden

sposób nie zaszkodzi. Nikogo nie zdoła pan przekonać ani niczego zmienić, ot, poprzygaduje pan sobie trochę, pozrzędzi i tyle. Cóż, pański wybór.

Podniósł się z fotela.

– Jedna sprawa, tak z zawodowej ciekawości – zatrzymałem go. – Jestem ciekaw, dlaczego. Czy to jest naprawdę tak, jak to mówił pański pracownik, że macie szukać w nas słabych punktów?

– Owszem, można to tak ująć. Ale szczerze mówiąc, mam swój osobisty powód – uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że na chwilę stał się łudząco podobny do capiej fizjonomii ze średniowiecznych polichromii. – Po prostu cholernie was nie lubię.

Sięgnął ręką za plecy, do regału z książkami. Bez patrzenia, jakby był u siebie, wyciągnął i podał mi jeden z tomów. Chwilę później już go nie było.

To było „Akwarium" Suworowa; w moich rękach samo otworzyło się na tej stronie, gdzie sowiecki szpieg, zakonspirowany w Niemczech, zwierzał się ze swego marzenia. Skromnego marzenia – żeby już po wszystkim, kiedy wyzwolicielska Armia Czerwona przetoczy się pancernym cielskiem przez syte i rozbawione miasta Zachodu, zostać komendantem łagru, najlepiej w malowniczych górach Szwarcwaldu. I mieć w nim tych wszystkich, z którymi jako szpieg pracował i którzy mu oddawali nieocenione usługi, pacyfistów, postępowych intelektualistów, lewaków – wszystkich swoich ochotniczych pomagierów, co to nigdy nie zaznali sowieckiego piekła, ale dla jakiejś intelektualnej perwersji albo w geście znudzonych dobrobytem dzieciaków gotowi mu byli służyć. Umieścić ich wszystkich w osobnym sektorze, nie dawać ani kęsa i tylko codziennie patrzeć. „Niech pożerają się nawzajem. Niech każdego dnia ustalają, kto z nich jest najsłabszy. Niech każdy boi się zmrużyć oka, żeby nie udusili go we śnie i nie zjedli. Wtedy może zrozumie..."

Może zrozumiałem – co mi chciał powiedzieć i dlaczego w taki sposób. Odstawiłem książkę na półkę.

Pomyślałem, że zanim jeszcze zadzwonię do Zbynia ucieszyć go wiadomością, że spiętrzenie roboty już ma się ku końcowi, wywalę na śmietnik fotel pozostawiony w stołowym przez Prezesa. Kiedy wynosiłem mebel z klatki schodowej, omal się nie poślizgnąłem na rozsypanych listach; gówniarze znowu wybebeszyli skrzynki pocztowe. Oczywiście wśród walającej się po ziemi korespondencji nie było reklamówki „Sprawiedliwej Magii". Do dziś nie wiem, czy nie przyszła, czy gwizdnął ją osiedlowy złodziejaszek, czy też firma, tak jak inne wchodzące w skład reklamowanego przez Akwizytora holdingu, zadbała o zlikwidowanie śladów swej działalności.

październik 2002

Strefa Mroku nie leży na drugim końcu świata, ona jest w nas. W naszych poczynaniach i w naszych myślach. To tu właśnie czai się koszmar.

Zobaczcie, co przygotowali dla was Apostołowie Grozy